

AGATHA CHRISTIE

# TAJEMNICZY PRZECIWNIK

PRZEŁOŻYLI: EWA KRASNODEBSKA JAN ZAKRZEWSKI

TYTUŁ ORYGINAŁU: *THE SECRET ADVERSARY*

*Dedykuję wszystkim,  
którzy toczą monotonne życie  
— w nadziei,  
że przez tę lekturę doświadczą,  
choćby z drugiej ręki,  
rozkoszy i niebezpieczeństw  
Wielkiej Przygody.*

## PROLOG

Była druga po południu siódmego maja tysiąc dziewięćset piętnastego roku. „Lusitania” trafiona dwiema torpedami zaczęła tonąć. Z wielkim pośpiechem spuszczano na wodę łodzie ratunkowe. W kolejce do nich ustawiano kobiety i dzieci. Niektóre tuliły się jeszcze z rozpaczą do mężów i ojców. Matki przyciskały maleństwa do piersi.

Nieco na uboczu stała dziewczyna — prawie już kobieta, choć nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat. Patrzyła prosto przed siebie, nie widać było po niej lęku. Z zamyślenia wyrwał ją dopiero męski głos:

— Czy pani pozwoli...?

Obróciła głowę i rozpoznała w mężczyźnie pasażera pierwszej klasy, którego spotkała kilkakrotnie podczas rejsu. Zwróciła na niego uwagę, ponieważ otaczała go jakaś aura tajemniczości. Nigdy do nikogo nie odzywał się pierwszy, a jeśli ktoś go zagadnął, ucinął rozmowę. Poza tym często rzucał wokół niespokojne, podejrzliwe spojrzenia.

Dziewczyna zauważyła, że mężczyzna jest teraz bardzo zdenerwowany, a na jego czole perli się pot. Najwyraźniej był w wielkim strachu, mimo że nie wyglądał na człowieka, który bałby się stawić czoło śmierci.

— Słucham pana, w czym mogłabym pomóc? — Patrzyła na niego badawczo.

— Tak, nie mam innego wyjścia... — powiedział na pół do siebie, na pół do niej. Na jego twarzy malowało się niezdecydowanie. Po chwili opanował się jednak i już znacznie spokojniej i głośniejszym głosem zadał pytanie:

— Pani jest Amerykanką?

— Tak.

— Patriotką?

Dziewczyna zaczerwieniła się.

— Wydaje mi się, że nie ma pan prawa do zadawania podobnych pytań! Ale skoro już pan pyta, odpowiedź brzmi: tak.

— Nie chciałem pani urazić. Chodzi o rzecz wielkiej wagi. Sytuacja jest przymusowa. Muszę komuś zaufać i tym kimś musi być kobieta...

— Dlaczego?

— Dlatego, że obowiązuje zasada „pierwszeństwo mają kobiety i dzieci”. — Rozejrzał się dokoła i zniżył głos. — Wiozę dokumenty o niesłychanie doniosłym znaczeniu. Mogą okazać się decydujące dla aliantów. A nawet wpłynąć na wynik wojny. Rozumie pani teraz? Te dokumenty muszą ocaleć. Większą szansę mają w pani rękach niż w moich. Weźmie je pani?

Kiwnęła zdecydowanie głową.

— I jeszcze jedno. Muszę panią ostrzec. Z tym wiąże się szalone ryzyko — w wypadku gdyby mnie śledzono. Nie sądzę, żeby tak było, jednakże taka możliwość istnieje. Wówczas pani również groziłoby niebezpieczeństwo. Czy podejmie pani to ryzyko?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Dam sobie radę. I jestem dumna, że mnie pan wybrał. Co mam z tymi papierami zrobić?

— Proszę przeglądać drobne ogłoszenia w „Timesie”. Jeśli w ciągu tygodnia nie pojawi się anons zaczynający się od słowa „Rozbitek”, będzie pani wiedziała, że mnie już nie ma na tym świecie. Proszę wtedy jak najszybciej odnieść dokumenty do ambasady amerykańskiej i doręczyć do rąk własnych ambasadora. Wszystko jasne?

— Całkowicie jasne!

— No to proszę... Pożegnajmy się. — Ujął jej rękę i powiedział głośniejszym głosem: — Żegnam i życzę szczęścia.

Dziewczyna zacisnęła dłoń na pakietku owiniętym w nieprzemakalną ceratę.

W chwilę potem „Lusitania” wyraźnie pochyliła się na sterburtę. Ponaglona suchym, krótkim rozkazem dziewczyna zajęła miejsce w łodzi.

## MŁODZI ŁOWCY PRZYGÓD, SP. Z O.O.

Tommy, jak się masz, ty ofermo!

— Cześć, Tuppence, staruszek. Kopę lat!

Dwoje młodych ludzi uściskało się serdecznie. Ponieważ blokowali wyjście ze stacji kolejki podziemnej przy Dover Street, by kontynuować rozmowę odsunęli się nieco na bok. „Oferma” i „staruszek” liczyli sobie łącznie nie więcej niż czterdzieści pięć lat.

— Od stuleci cię nie widziałem! — wykrzyknął uradowany Tommy. — Dokąd tak pędzisz? Może wpadniemy gdzieś na rogalika? Tutaj zabiją nas wzrokiem, jeśli będziemy tamowali ruch. Chodźmy!

Ruszyli Dover Street w kierunku Picadilly.

— No to, gdzie idziemy?

Czuły słuch Tuppence wychwycił pewne wahanie w głosie Tommy’ego. Panna Prudence Cowley, z jakichś tajemniczych powodów obdarzona przez przyjaciół pieszczotliwym określeniem dwupensówki — „tuppence” — nie była w ciemni bita.

— Jesteś bez grosza? — spytała.

— Ależ skąd, pławię się w forsie.

— Zawsze byłeś straszliwym łgarzem — stwierdziła surowo Tuppence. — Raz nawet wmówiłeś siostrze Greenbank, że doktor przepisał ci piwo na wzmocnienie, tylko zapomniał wpisać w kartę chorobową. Pamiętasz?

Tommy zachichotał.

— Pewnie! Ale była wściekła, kiedy się wydało. Dobry stary szpital! Pewnie już zdemobilizowany, jak my wszyscy.

Tuppence westchnęła.

— Ty też?

Tommy skinął głową.

— Przed dwoma miesiącami.

— Odprawa? — spytała Tuppence.

— Zostało po niej tylko wspomnienie.

— Tommy, jak mogłeś?

— Nic z tych rzeczy, staruszek. Wcale nie roztrwoiłem. Niestety. Koszty utrzymania. Nawet proste życie, na ławce w parku, kosztuje... Jeśli nie wiesz, to mogę ci wyliczyć...

— Mój drogi chłopcze — przerwała Tuppence — wiem absolutnie wszystko, co wiedzieć można, na temat kosztów utrzymania. O patrz, tutaj jest Lyons, przybytek dla zbankrutowanych a zgłodniałych. Wchodzimy na tego rogalika i każdy płaci za siebie. — I poprowadziła Tommy’ego na piętro wielkiej popularnej restauracji.

Gigantyczną salę wypełniał ludzki tłum. Tommy i Tuppence chodzili między stolikami, szukając wolnych miejsc, a w uszy wpadały im strzępy przypadkowych rozmów:

— ...i wiesz co, ona usiadła i rozpłakała się, kiedy jej powiedziałam, że mieszkanie już wynajęte...

— ...Co ty mówisz?...To dopiero okazja! I zupełnie taki sam jak ten, który Mabel Lewis przywiozła z Paryża...

— Śmieszne rzeczy można czasami usłyszeć — mruknął Tommy. — Na przykład dziś na ulicy dwaj faceci opowiadali o jakiejś Jane Finn! Słyszałaś kiedy podobne nazwisko?

Tuppence nic nie odpowiedziała, bo właśnie tuż obok dwie starsze panie wstały od stolika. Sprawnie zajęła miejsca, ubiegając innych amatorów.

Tommy zamówił herbatę i rogalika.

Tuppence zamówiła herbatę i grzanekę z masłem.

— I żeby herbata była w osobnych czajniczkach! — dodała poważnie.

Siedzieli naprzeciw siebie. Teraz Tuppence mogła dobrze się przyjrzeć Tommy'emu — jego przczesany gładko płomiennorudym włosom i dość miłe brzydkiej twarzy, trudnej do opisanego, ale bez wątplenia twarzy dżentelmena i sportowca. Brązowy garnitur, który miał na sobie, był dobrze skrojony, ale kończył już swój żywot.

Ktoś, kto by im się przyglądał, doszedłby do wniosku, że oto patrzy na typowych przedstawicieli młodego pokolenia. Tuppence, podobnie jak Tommy, nie grzeszyła urodą, ale była pełna wdzięku, a rysy jej twarzy świadczyły o silnym charakterze i wielkim poczuciu humoru. Para szeroko rozstawionych szarych oczu patrzyła teraz marzycielsko spod prostych czarnych brwi. Na krótko przyciętych czarnych włosach tkwił jaskrawozielony toczonek. Spoglądając z boku pod stół widziało się najpierw dość znoszoną spódnicę, a niżej fragment bardzo zgrabnych nóg. Cały jej wygląd sugerował bohaterski wysiłek zadawania szyku.

Otrzymali wreszcie herbatę i Tuppence, porzucając pozę medytacji, zajęła się nalaniem jej do filiżanek.

— Wracając do rzeczy... — powiedział Tommy odgryzając spory kęs rogalika. — Wypełnijmy luki w życiorysach. Ostatni raz widzieliśmy się w szpitalu w szesnastym roku.

— Wobec tego zaczynam — oświadczyła panna Prudence Cowley, piąta córka archidiacona Cowleya z Little Missen—dell w hrabstwie Suffolku. Lecz tu nastąpiła cisza, ponieważ panna Cowley zabrała się z zapalem do chrupiącej grzanki. Dopiero gdy ta w połowie zniknęła, dziewczyna podjęła wątek: — A więc ukochane piąte dziecko pasterza dusz porzuciło rozkosze (i męki) domowego ogniska dość szybko po rozpoczęciu wojny i jak wiesz, przybyło do Londynu, aby w oficerskim szpitalu zmywać dziennie około sześciuset czterdziestu ośmiu talerzy. Oczywiście tylko przez pierwszy miesiąc. W drugim awansowałam i już tylko wycierałam wyżej wzmiankowane talerze. W trzecim miesiącu otrzymałam kolejny awans: skierowano mnie do obierania kartofli. W czwartym znów awans: krojenie chleba i przygotowywanie setek porcji masła. Piąty miesiąc: także nagroda za dobrą pracę i awans do kubła z wodą i szczotką. Zmywanie podłóg. Miesiąc szósty: podawanie do stołu. W siódmym mój miły wygląd i dobre maniere skłoniły siostrę przełożoną do mianowania mnie kelnerką w jadalni pielęgniarek. W ósmym miesiącu oszałamiająca kariera została niemalże złamana, gdyż siostra Bond zjadła jajko siostry Westhaven! Czyja wina? Oczywiście podającej! Brak uwagi na tak ważnym odcinku musi być surowo karany. Powrót do wiadra z wodą i ścierki. Jednakże już w dziewiątym miesiącu kolejna promocja: od sprzątania korytarzy do sprzątania oddziałów. I właśnie na jednym z nich spotkałam przyjaciela z piaskownicy, porucznika Tomasza Beresforda. Tommy, proszę o ładny ukłon! Wyżej wymienionego nie widziałam przez co najmniej pięć lat. Spotkanie było nadzwyczaj czule. Dziesiąty miesiąc: reprimenda ze strony siostry przełożonej za uczęszczanie do kina w towarzystwie jednego z pacjentów, tegoż mianowicie porucznika Beresforda. Miesiące jedenasty i dwunasty: jedno pasmo sukcesów przy zmywaniu podłóg korytarzy. Po upływie roku piąta córeczka tatusia opuściła szpital w poczuciu dobrze spełnionego patriotycznego obowiązku. Była też kolejno szoferem samochodu dostawczego, ciężarówki oraz generała. To ostatnie zajęcie wspominam najlepiej, jako że generał był całkiem młody.

— Który to z tych dudków? — spytał Tommy. — Aż nieprzyzwoite, jak ci generałowie kazali się stale wozie z Ministerstwa Wojny do hotelu Savoy i z hotelu Savoy do Ministerstwa Wojny!

— Jego nazwisko już mi wyleciało z głowy — wyznała Tuppence. — Wracając do życiorysu: wozenie generała stanowiło apogeum mojej kariery, w dalszej bowiem kolejności podjęłam pracę w rządowym biurze. Organizowałyśmy tam bardzo miłe herbatki. Miałam również inne plany: przydział do pomocniczej służby dla wsi, podjęcie pracy listonoszki lub konduktorki autobusowej. Nim udało mi się cokolwiek z tych planów zrealizować, przyszło zawieszenie broni. Jeszcze przez wiele miesięcy tkwiłam w biurze, kurczowo się go

trzymając, ale w końcu mnie wysiadano. No i od tego czasu szukam pracy. Oto cały życiorys! Teraz twoja kolej.

— Nie awansowałem tyle razy co ty — westchnął Tommy z żalem — no i nie doświadczyłem podobnej różnorodności zajęć. Jak wiesz, ze szpitala ponownie posłano mnie do Francji, a stamtąd do Mezopotamii, gdzie po raz drugi zostałem ranny i sporo czasu straciłem w szpitalu. Następnie, aż do zawieszenia broni, siedziałem w Egipcie, a po zawieszeniu nadal tam tkwiłem. Wreszcie mnie zdemobilizowano. Teraz, już od dziesięciu cholernych miesięcy, poszukuję jakiejś roboty. Ale pracy nikt nigdzie nie ofiarowuje, a jeśliby nawet — to nie mnie. Co ja potrafię? Co ja wiem o biznesie? Nie!

Tuppence smutno pokiwała głową.

— Do kolonii jechać nie chcę, bo ich nie lubię, a poza tym jestem pewien, że i one również by mnie nie polubiły...

— Bogaci krewni — podsunęła Tuppence. Tommy przecząco potrząsnął głową.

— Ooo, Tommy, nawet jednej bogatej ciotecznej babki?

— Mam starego wuja, który tarza się w forsie, ale nic z tego.

— Dlaczego?

— Chciał mnie kiedyś adoptować, a ja odmówiłem...

— Coś sobie przypominam — powiedziała Tuppence. — Chodziło o twoją matkę...?

— Tak. Byłoby to przykre dla mamy. — Tommy zaczerwienił się. — Byłem przecież jej jedynym synem, a ten wuj matki nienawidził. Wymyślił adopcję po to tylko, żeby mnie jej zabrać. Mściwy facet.

— Twoja matka nie żyje? — spytała Tuppence miękko. Tommy skinął głową.

— Dobry z ciebie chłopak, Tommy — oczy Tuppence zaszczyły mgłą. — Zawsze tak uważałam — dodała półszeptem.

— E tam, bzdura! — odparł szybko Tommy. — No więc widzisz, moja droga, że ze mną nietęgo... Jestem zdesperowany.

— Ja także — przyznała Tuppence. — Wytrzymałam tak długo, jak tylko było można, szukałam, stukałam, odpowiadałam na ogłoszenia prasowe, próbowałam absolutnie wszystkiego. Żyłam za psi grosz, ale co z tego, kiedy nie sposób zdobyć pracy. Dłużej nie dam rady, wracam do domu.

— To źle?

— Oczywiście, że źle. Co z tego, że jesteśmy uczuciową rodziną, że ojciec to kochany staruszek, że bardzo go kocham, a on strasznie się o mnie martwi. Wyznaje wiktoriańskie zasady, zgodnie z którymi krótkie spódnice i papierosy są amoralne. Możesz sobie wyobrazić, jakim jestem dla niego cierniem? Staruszek odetchnął z ulgą, kiedy wojna zabrała mnie z domu. Pamiętaj, że w domu jest nas siódemka. To straszne! Wieczne sprzątanie i herbatki z okolicznymi damami. A ja zawsze miałam niewyparzony język. Nie chcę wracać do domu, Tommy, ale co mam robić?

Tommy ze smutkiem potrząsnął głową. Zapadła cisza, którą przerwała Tuppence:

— Pieniądze, pieniądze, pieniądze! Myślę o pieniądzach rano, wieczorem i w nocy. To brzmi, jakbym była strasznie wyrachowana, ale cóż na to poradzę...!

— Ja myślę o tym samym — przyznał Tommy.

— Zastanawiałam się na tysiące sposobów, jak je zdobyć. Realne są jednak tylko trzy: otrzymać spadek, wyjść bogato za mąż albo zarobić. Pierwszy odpada. Nie mam żadnego krewniaka, który pachniałby forszą. Od lat pomagam przechodzić przez ulicę starszym paniom i podnoszę z ziemi paczki zdzieciniałym starszym panom. Może któreś z nich jest ekscentrycznym milionerem? Ale nikt mnie nigdy nie zapytał o nazwisko, a bywało że nie usłyszałam nawet „dziękuję”!

Zapadło milczenie.

— Tak więc pozostawałoby mi jedynie małżeństwo — wróciła do tematu Tuppence. — Kiedy byłam jeszcze bardzo młoda, obiecywałam sobie, że wyjdę bardzo bogato za męża. Każda rozsądna dziewczyna tak myśli. Wcale nie jestem sentymentalna... No powiedz, Tommy, prawda, że nie jestem sentymentalna?

— Nie, nie, oczywiście, że nie jesteś! — potwierdził szybko Tommy. — Nikt by ciebie o coś podobnego nawet nie posądził.

— Hmm, to niezbyt uprzejme z twojej strony — zauważyła Tuppence. — Ale chyba nie miałaś nic złego na myśli. No i tak to wygląda. Jestem gotowa poświęcić się dla tych pieniędzy, tylko że nie ma żadnych bogatych kandydatów. Wszyscy mężczyźni, których znam, są biedni jak myszy kościelne.

— No, a ten generał? — spytał Tommy.

— W czasie pokoju jest tylko właścicielem sklepu z rowerami. Ale ty, Tommy, mógłbyś się ożenić z jakąś zasobną panną.

— Sytuacja podobna do twojej. Żadnej takiej nie znam.

— To nieważne, że nie znasz. Zawsze możesz poznać. Twoja sytuacja jest zupełnie inna. Jeśli ja na przykład zobaczę jakiegoś pana w bobrowym futrze, który wychodzi z hotelu Ritz, to nie podbiegnę i nie powiem: „Pan jest pewnie bardzo bogaty, chciałabym pana poznać”. Ale ty...

— Sugerujesz, że ja mógłbym to powiedzieć do podobnie odzianej dziewczyny?

— Nie bądź głupi. Ty masz jej nastąpić na pantofelek albo podnieść chusteczkę, którą zgubiła, czy coś w tym rodzaju. Gdy kobieta widzi, że mężczyzna jest nią zainteresowany, odbiera to jako komplement. I sama ułatwi poznanie.

— Przecenisz moje męskie uroki — mruknął Tommy.

— Mój milioner natomiast — ciągnęła nie zbity z tropu Tuppence — wzięłby po prostu nogi za pas. Nie ma dwóch zdań, na drodze do małżeństwa jeży się zbyt wiele przeszkód. Pozostaje więc zarobienie pieniędzy.

— Tyle tylko, że ty i ja już próbowaliśmy tej metody i nie udało się — przypomniał jej Tommy.

— Próbowaliśmy klasycznymi metodami. A gdybyśmy tak sprawdzili czy nie zadziała coś innego? Wiesz co, Tommy? Zostańmy poszukiwaczami przygód!

— Chętnie — odparł Tommy. — Ale jak się do tego zabrać?

— W tym właśnie cała trudność. Najpierw bowiem musimy dać się poznać, wtedy ludzie mogliby wynajmować nas do różnych zadań. Dawaliby nam zlecenia. Na przykład na dokonanie jakiegoś przestępstwa w ich imieniu...

— Urocza propozycja! — wykrzyknął Tommy. — Zwłaszcza z ust córki duchownego.

— Obciążałoby to sumienie zleceniodawców, a nie nasze — zauważyła Tuppence. — Musisz przyznać, że jest duża różnica między kradzieżą diamentowego naszyjnika dla siebie i na czyjeś zlecenie?

— Nie stanowiłoby to najmniejszej różnicy, gdyby cię złapano.

— Może i nie. Ale jestem za sprytna, żeby mnie złapano.

— Skromność zawsze była jedną z twych głównych cnót — zauważył Tommy.

— Przestań wybrzydzać. No co, Tommy, spróbujemy? Zakładamy spółkę?

— Spółkę w celu kradzieży brylantów?

— To był tylko teoretyczny przykład. Zaraz, zaraz, jak to się nazywa w biznesie...?

— Pojęcia nie mam. Nigdy nie prowadziłem żadnego biznesu.

— Za to ja prowadziłam księgowość. Ale mi się zawsze mieszało, co wpisywać po stronie debetowej, a co po kredytowej. O, już sobie przypomniałam taką nazwę, a raczej typ spółki. Wspólne przedsięwzięcie. Bardzo romantyczna nazwa na zeznaniu podatkowym. Zawsze miałam staroświeckie ciągoty, lubiłam takie słowa jak galeon i dublon. Wspólne przedsięwzięcie! To tak staroświecko brzmi. I budzi zaufanie.



— Czy nie lepiej Młodzi Łowcy Przygód, spółka z o.o.?  
— Śmieję się, śmieję, Tommy, a ja i tak uważam, że to by nam wyszło!  
— A jak zamierzasz wejść w kontakt z... hm... potencjalnymi zleceniodawcami?  
— Ogłoszenie — odparła Tuppence bez chwili namysłu. — Masz kawałek papieru i ołówek, Tommy? Mężczyźni zwykle noszą takie rzeczy, tak jak my nosimy szpilki do włosów i puder.

Tommy podał jej porządnie wymiętoszony zielony notes i Tuppence zaczęła szybko pisać.

— Może zaczniemy tak: „Młody oficer, dwukrotnie ranny...”?

— Z pewnością nie tak.

— Niech ci będzie. Może więc inaczej. Ale ja twierdzę, że tego typu początek mógłby zmiękczyć serce jakiejś starej panny, która zechciałaby, na przykład, adoptować cię i wtedy nie musiałbyś już być Młodym Łowcą Przygód.

— Kiedy ja nie chcę być adoptowany!

— Zapomniałam, że masz uraz do czegoś takiego. Żartowałam... ale słuchaj! Co byś na to powiedział? „Dwoje młodych poszukiwaczy przygód do wynajęcia. Gotowi na wszystko. Wymagane wysokie honoraria”. To ostatnie jest bardzo ważne! Trzeba od samego początku jasno postawić sprawę. Moglibyśmy dodać jeszcze: „Tylko rozsądne propozycje”.

— A ja uważam, że w odpowiedzi na takie ogłoszenie otrzymamy tylko nierozsądne propozycje.

— Tommy, jesteś absolutnie genialny! To będzie znacznie lepiej brzmiało: „Przy odpowiednio wysokim honorarium przyjmujemy nierozsądne propozycje”.

— Nie pisałbym dwukrotnie o honorarium. Będzie wyglądało, że jesteśmy w beznadziejnej sytuacji.

— A czy nie jesteśmy? Ale może i masz rację. Przeczytam ci to jeszcze raz: „Dwoje młodych poszukiwaczy przygód do wynajęcia. Gotowi na wszystko. Wymagane wysokie honoraria. Przyjmujemy nierozsądne propozycje!”. No powiedz, co byś pomyślał, gdybyś przeczytał takie ogłoszenie?

— Że to jakiś kawał albo że ogłasza się wariat.

— Mój tekst nie jest wcale taki niemądry jak ogłoszenie, które przeczytałam dziś rano. Adresowane „Petunia”, a podpisane „Wspaniały Chłopiec”. To chyba było w „Time—sie”. Myślę, że za nasze ogłoszenie zapłacimy jakieś pięć szylingów. Masz tu pół korony mojego udziału.

Tommy odebrał notes z wpisanym tekstem ogłoszenia. Przeczytał raz jeszcze, a w trakcie czytania poczerwieniał jak burak.

— Więc ty naprawdę chcesz? Naprawdę...? Żeby tak dla kawału spróbować?

— Brawo, Tommy! Wiedziałam, że masz żyłkę do hazardu! Wypijmy za nasz sukces! — Wlała do filiżanek resztkę wystygłej herbaty z obu czajniczków. — Za nasze Wspólne Przedsięwzięcie! Oby się pomyślnie rozwijało!

— Nie, nie, nazwa brzmi: Młodzi Łowcy Przygód, spółka zo.o.!

Odstawili filiżanki i roześmieli się dość niepewnie. Tuppence wstała.

— Muszę wracać do moich apartamentów w schronisku młodzieżowym.

— A ja do mojego Ritza — odparł Tommy. — Gdzie się spotkamy? I kiedy?

— Jutro, dwunasta w południe. Stacja metra Picadilly. Odpowiada ci?

— Mój czas należy do mnie! — odparł dumnie pan Beresford.

— No to do widzenia, Tommy!

— Do widzenia, staruszek!

Młodzi ludzie rozeszli się w przeciwne strony. Schronisko, w którym mieszkała Tuppence, znajdowało się w dzielnicy przez litość nazywanej Południową Belgravią — w Bel—gravii bez przymiotnika znajdowały się jedynie pałacowe rezydencje. Z przyczyn finansowych Tuppence nie wsiadła do autobusu, lecz poszła pieszo.

Przechodziła właśnie przez park Świętego Jakuba, kiedy usłyszała za plecami głos mężczyzny:

— Bardzo przepraszam, ale czy mógłbym zamienić z panią kilka słów?

## PROPOZYCJA PANA WHITTINGTONA

Tuppence stanęła i obróciła się, już mając na końcu języka ostrą odprawę dla nieznanego, który zaczepia kobiety na ulicy. Jednakże ogólny wygląd mężczyzny oraz następne słowa powstrzymały ją.

— Zapewniam panią, że intencje moje są w pełni chwalebne! — powiedział.

Przyjrzała mu się uważniej: potężnej budowy, gładko ogolony, kwadratowa szczęka. Małe, chytre oczy, które umknęły przed spojrzeniem, gdy wlepiła weń wzrok. Intencje jego mogły być chwalebne, jednak ten człowiek zdecydowanie nie budził zaufania.

— O co chodzi? — spytała sucho.

— Zupełnie przypadkowo słyszałem część pani rozmowy z młodym dżentelmenem u Lyonsa — powiedział, uśmiechając się niby to szczerze.

— Więc co z tego? — padło kolejne szorstkie pytanie.

— Właściwie to nic... ale być może mógłbym służyć pomocą...

— I szedł pan przez cały czas za mną?

— Ośmieliłem się to uczynić.

— A w jakież to sposób zamierza pan służyć' pomocą? Mężczyzna wyciągnął z kieszeni pugilares, wyjął z niego bilet wizytowy i podał go dziewczynie. Na wizytówce widniał napis: „Edward Whittington, spółka Estońskie Szkło”. U dołu w rogu był jeszcze adres.

— Gdyby mogła pani przyjść do mojego biura jutro o jedenastej rano, to wyluszcze pani moją propozycję — oświadczył pan Whittington.

— O jedenastej? — powtórzyła Tuppence z wahaniem w głosie.

— O jedenastej.

W jednej chwili zdecydowała się.

— Dobrze. Będę.

— Dziękuję pani. Do widzenia! — Uchylił bardzo grzecznie kapelusza i odszedł.

Tuppence długo za nim patrzyła, potem wstrząsnęła ramionami jak pies, który otrząsa się po wyjściu z wody.

— Początek wielkiej przygody! — mruknęła pod nosem. Męczyło ją pytanie, czegoż ten facet mógł od niej chcieć?

Jest coś w panu, panie Whittington, co mi się bardzo, ale to bardzo nie podoba. Z drugiej strony, powiedzmy to sobie jasno, wcale się pana nie boję. I jak to już wielokrotnie mówiłam, i z pewnością będę miała okazję nieraz jeszcze powtórzyć, malutka Tuppence potrafi sobie dać radę w każdej sytuacji.

Potwierdziła tę prawdę zdecydowanym potrząśnięciem głowy i ruszyła w dalszą drogę, jednakże po namyśle zmieniła kierunek. Zamiast prosto do schroniska, poszła na pocztę. Wzięła z lady blankiet telegraficzny i na dłuższą chwilę zastygła w zadumie. Natrętna myśl o zbędnym w nowej sytuacji wydaniu pięciu szylingów na ogłoszenie kazała jej znacznie skrócić proces dojrzewania myśli. Lepiej było zaryzykować dziewięć pensów na depeszę, mając szansę ocalenia większej sumy.

Pogardzając drapiącą stalówką na drewnianym trzonku i gęstą mazią dostarczaną przez królewską pocztę nic nie podejrzewającym klientom, wydobyła z torebki nie zwrócony Tommy'emu ołówek i napisała drukowanymi literami: „OGŁOSZENIA NIE UMIESZCZAJ. WYJAŚNIĘ JUTRO”. Zaadresowała telegram do klubu Tommy'ego, z którego już wkrótce, chyba że bogini fortuna pomoże mu zapłacić składki, groziło mu wylanie.

— Może zdążę z telegramem — mruknęła pod nosem. — Warto spróbować.

Oddała blankiet urzędnicze i uiściwszy należność, ruszyła szybkim krokiem do domu. Po drodze zatrzymała się jeszcze w piekarni, gdzie kupiła za trzy pensy rogalików.

Nieco później w swojej klitce na najwyższym piętrze rozmyślała o najbliższej przyszłości, pogryzając rogaliki. Co to jest za firma owo Estońskie Szkło i jakie może mieć zapotrzebowanie na jej usługi? Przeszył ją podniecający dreszczyk przygody. Tak czy inaczej perspektywa powrotu na ojcowską plebanię chwilowo się oddaliła. Dzień jutrzejszy roztaczał nowe możliwości.

Długo nie mogła zasnąć, a kiedy wreszcie zmorzył ją sen, śniła, że zmywa całe stopy estońskiego szkła niesłychanie podobnego do szpitalnych talerzy.

Była za pięć jedenasta, kiedy Tuppence stanęła przed biurowcem, w którym znajdowała się siedziba firmy wymienionej na bilecie wizytowym pana Whittingtona. Przyjście przed czasem było niewskazane, gdyż mogło sugerować, że nazbyt jej na sprawie zależy. Postanowiła więc przejść się do rogu ulicy i z powrotem. Punktualnie o jedenastej weszła do budynku. Estońskie Szkło miało swoje biura na najwyższym piętrze. Była nawet winda, ale Tuppence zdecydowała się wejść po schodach.

Nieco zdyszana stanęła wreszcie przed drzwiami z wymalowanym na matowym szkle napisem „Spółka Estońskie Szkło”. Na jej pukanie odpowiedział zapraszający do wejścia głos. Otworzyła drzwi i znalazła się w dość obskurnym pomieszczeniu biurowym.

Z wysokiego stołka przed jeszcze wyższym pulpitem umocowanym tuż pod oknem zszedł urzędnik w średnim wieku.

Spojrzał na nią z niemym pytaniem w oczach.

— Jestem umówiona z panem Whittingtonem — powiedziała.

— Proszę za mną — odparł urzędnik i poprowadził ją do drzwi w przepierzeniu. Na drzwiach widniał napis „nie wchodzi”. Zapukał, otworzył i wpuścił Tuppence do środka.

Za wielkim biurkiem zarzuconym papierami siedział pan Whittington. Tuppence doznała podobnego uczucia, jak przy pierwszym spotkaniu. Coś tu nie pasowało. Przede wszystkim jego pozorna zamożność do przebiegłego spojrzenia.

— A więc przyszła pani — stwierdził pytająco i kiwnął z satysfakcją głową. — To bardzo dobrze. Proszę siadać.

Tuppence usiadła w krześle po drugiej stronie biurka. Tego poranka zachowywała się jak dobrze wychowana panienska. Siedziała skromniutko ze spuszczonej oczami, podczas gdy gospodarz przerzucał papiery. Wreszcie odsunął od siebie cały ich stos i pochylił się ku niej.

— A więc, droga pani, przystąpmy do interesu. — Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. — Szuka pani pracy? Doskonale, mam dla pani pracę. Co by pani powiedziała na sto funtów zaliczki plus koszty? — Pan Whittington rozparł się w fotelu, wsadziwszy kciuki za opinającą mu brzuch kamizelkę.

Tuppence przyglądała mu się podejrzliwie.

— Jaki to rodzaj pracy? — spytała.

— Rzecz prosta i łatwa. Po prostu miła podróż...

— Dokąd?

Pan Whittington uśmiechnął się ponownie.

— Do Paryża.

— Ooo! — wykrzyknęła Tuppence. Jednocześnie pomyślała: „O to chodzi! Gdyby mój drogi ojczulek to usłyszał, padłby pewnie trupem. Z drugiej strony pan Whittington nie wygląda na uwodziciela”.

— Tak, Paryż! — powtórzył pan Whittington. — Czy wyobraża sobie pani miłą wycieczkę? W pani wypadku można bez żadnych obaw cofnąć czas o kilka lat. Jestem tego pewien. Bez najmniejszego trudu dostałaby się pani na którąś z pensji dla młodych pańienek. Paryż obfituje w takie instytucje...

— Na pensję? — przerwała zdumiona Tuppence.

— Konkretnie na pensję madame Colombier przy Avenue de Neuilly.

Tuppence słyszała o tej pensji, najszacowniejszej ze wszystkich. Wiele jej amerykańskich przyjaciółek ją właśnie ukończyło.

— Chce pan, żebym się zapisała na pensję madame Colombier? Na jak długo?

— To zależy. Być może na trzy miesiące. — I to wszystko? Nic ponadto?

— Absolutnie wszystko. Oczywiście udałaby się pani na tę pensję jako moja wychowanka i przez cały czas nie wolno byłoby pani utrzymywać jakichkolwiek kontaktów ze znajomymi. Wymagam całkowitej dyskrecji. Na marginesie: pani jest Angielką, prawda?

— Tak.

— Ale mówi pani z lekkim amerykańskim akcentem?

— W szpitalu, w którym pracowałam, zaprzyjaźniłam się bardzo z pewną małą Amerykanką. To pewnie od niej przejęłam akcent. Ale szybko mogę się go pozbyć.

— Wprost przeciwnie. Byłoby wskazane, by grała pani rolę Amerykanki. To uprościłoby sprawę. Amerykańskiego życiorysu nikt nie sprawdzi. Angielską przeszłość trudniej jest spreparować. Tak, to byłoby zdecydowanie lepiej...

— Chwileczkę, panie Whittington! Pan mówi tak, jakbym już wyraziła na wszystko zgodę...

— Chyba nie myśli pani poważnie o odrzuceniu mojej propozycji? — Whittington wyglądał na zaskoczonego. — Zapewniam panią, że pensja madame Colombier jest bardzo szacowną instytucją. A zaproponowane przeze mnie warunki również są bardzo dobre.

— Otóż to! — odparła Tuppence. — Aż za dobre. Nie widzę sposobu, w jaki mogłabym zapracować na podobną sumę. Po prostu nie jestem jej warta.

— Naprawdę tak pani myśli? Z pewnością mógłbym znaleźć kogoś za skromniejszą kwotę. Ale płacę tyle, ponieważ zależy mi na osobie inteligentnej i bystrej, aby potrafiła dobrze zagrać wyznaczoną jej rolę, oraz takiej, która umie być dyskretna i nie będzie zadawać zbyt wielu pytań.

Tuppence uśmiechnęła się, przyznając, że pan Whittington wybrał właściwą kandydatkę.

— Jest jeszcze jedna sprawa — powiedziała. — Dotychczas nic nie wspomnieliśmy o panu Beresfordzie. Jaki miałby być j ego udział?

— O panu Beresfordzie?

— O moim współniku. Widział pan nas razem wczoraj...

— A tak, owszem. Niestety, nie skorzystam z jego usług.

— No to cała sprawa odpada! — Tuppence wstała. — Oboje albo żadne. Przykro mi, panie Whittington, ale tak to jest. Żegnaj pana! — Ruszyła ku drzwiom.

— Chwileczkę! Niech się pani tak nie spieszy. Może znajdziemy jakieś wyjście. Proszę usiąść, panno...?

Tuppence przypomniała sobie ojca archidiakona i poczuła wyrzuty sumienia. Prawdziwego nazwiska nie może podać, a nuż papa by się dowiedział.

— Jane Finn... — wymieniła pierwsze, jakie jej przyszło do głowy i urwała zdumiona nagłą reakcją na te dwa słowa.

Zniknęła cała przymilność i uprzejmość z twarzy jej rozmówcy. Pan Whittington zrobił się purpurowy ze złości, na skroniach wystąpiły mu sine żyły. Wychylił się przez biurko i wysyczał:

— A więc to taka gra!?

Tuppence mimo nagłego zaskoczenia zachowała trzeźwość umysłu, która kazała jej zachować pokerową twarz. Nie miała pojęcia, o czym mówi pan Whittington, niemniej jednak uznała, że należy słuchać dalej, jeśliby miał coś jeszcze do powiedzenia. I rzeczywiście miał.

— Przez cały czas bawiła się pani ze mną jak kot z myszą. Przez cały czas wiedziała pani doskonale, po co jest mi pani potrzebna, a jednak grała pani tę komedię! — Powoli jego złość opadała, a jednocześnie ciemna przedtem jak burak twarz jaśniała. Świdrował ją wzrokiem.

— Kto miał taki długi język? Rita?

— Nie — odparła bardzo szczerze. — Rita nic o mnie nie wie.

— A ile pani wie? — zapytał, nie spuszczać z niej wzroku.

— Muszę przyznać, że niewiele — powiedziała i z wielką przyjemnością stwierdziła, że jej odpowiedź miast uspokoić pana Whittingtona, jeszcze bardziej wyprowadziła go z równowagi. Być może zaczęłyby coś podejrzewać, gdyby powiedziała, że wie dużo.

— W każdym razie wie pani wystarczająco, aby tutaj się zjawić i niby to od niechcenia rzucić to nazwisko.

— A może ja się tak właśnie nazywam? — podsunęła Tuppence.

— Wielce prawdopodobne! — zakpił.

— Albo może mi to nazwisko ot tak przyszło do głowy, gdzieś je na przykład usłyszałam?

— kontynuowała zachęcona sukcesem, jaki zaczęło przynosić mówienie prawdy, w którą rozmówca najwyraźniej nie wierzył.

Pan Whittington uderzył pięścią w biurko.

— Niech pani przestanie się wygłupiać! Co pani wie? I ile pani chce? Ile pani żąda?

To ostatnie pytanie bardzo ją zainteresowało, zwłaszcza że cały poprzedni dzień przeżyła na paru rogalikach, a o śniadaniu tego poranka w ogóle nie warto było myśleć. Grana w chwili obecnej rola miała w sobie mniej z Wielkiej Przygody, a więcej z Wielkiego Oszustwa, ale stwarzała realne możliwości spełnienia doraźnego pragnienia zjedzenia porządnego posiłku. Rozsiadła się więc wygodnie, uśmiechnęła z pewnością osoby, która panuje nad sytuacją, i wygłosiła krótką mowę:

— Drogi panie Whittington, połóżmy karty na stół. I niech się pan nie gniewa, bo nie ma o co. Podśledzał pan wczoraj moją rozmowę, w której wspomniałam, że zamierzam prowadzić awanturnicze życie, polegając na własnej główce. Chyba udowodniłam panu, że tę główkę mam. Dobrze przykręconą! Nie zaprzeczam, że znane mi jest pewne nazwisko, ale być może na tym kończy się moja wiedza...

— A może się i nie kończy — warknął pan Whittington.

— Upiera się pan, by mi nie wierzyć. — Tuppence westchnęła.

— Już raz to powiedziałem: niech pani przestanie błaznować. Porozmawiajmy serio. Nie uda się pani odgrywać przede mną niewiniątka. Wie pani znacznie więcej, niż chce to przyznać.

Tuppence przez chwilę milczała, zajęta podziwianiem w duchu własnej przemyślności, a potem bardzo spokojnie oświadczyła:

— Nie wypada mi panu zaprzeczać, drogi panie.

— Wróćmy więc do pierwotnego pytania: ile pani żąda? Tuppence stanęła wobec dylematu. Dotychczas udało jej się wprost kapitalnie nabrać Whittingtona, jednakże wymienienie konkretnej sumy mogło obudzić jego podejrzenia. Doznała nagłego olśnienia:

— Powiedzmy, że zaliczka teraz, a o reszcie jeszcze porozmawiamy.

Whittington spojrział na nią ponuro.

— Mały szantażyk, co?

— Ach nie, skąd! Nazwijmy to zaliczką na poczet przyszłych usług. — Tuppence słodko się uśmiechnęła.

Whittington coś mruknął.

— Bo widzi pan, ja wcale tak nie lecę na pieniądze — dodała milutko.

— Brak mi słów na opisanie pani! — burknął Whittington, ale w jego głosie krył się podziw. — Dałem się całkowicie nabrać. Sądziłem, że mam do czynienia ze skromniutką panienką z odrobiną rozumu, jaka była mi w tej sprawie potrzebna...

— Życie jest pełne niespodzianek — stwierdziła Tuppence moralizatorskim tonem.

— Ktoś się jednak musiał wygadać, tego jestem pewien — powiedział Whittington. — Według pani, to nie Rita. A może...? Wejść! — krzyknął, słysząc pukanie do drzwi.

Do pokoju wsunął się cicho urzędnik i położył na biurku kartkę.

— Telefoniczna wiadomość, proszę pana! Whittington chwycił kartkę i przeczytał, marszcząc brwi.

— Dziękuję, Brown. Możesz wyjść.

Urzędnik wycofał się i zamknął za sobą drzwi. Whittington obrócił się w stronę Tuppence.

— Niech pani przyjdzie jutro o tej samej porze. Teraz jestem zajęty. Chwilowo daję pani pięćdziesiąt.

Wyciągnął z kieszeni zwitek banknotów, wybrał kilka 1 Położył na skraju biurka od strony Tuppence. Jednocześnie wstał. Wyraźnie chciał się jej jak najszybciej pozbyć. Tuppence spokojnie przeliczyła pieniądze, włożyła je do torebki i dopiero wtedy podniosła się z krzesła.

— Żegnam, panie Whittington. A raczej *au revoir*\* — powiedziała bardzo grzecznie.

— Właśnie! *Au revoir*! — Pan Whittington znowu wpadł w jowialny humor. Zmiana ta nieco zaniepokoiła Tuppence. — *Au revoir*, sprytna i urocza damo!

Tuppence jak na skrzydłach zbiegała ze schodów. Znajdowała się niemal w euforii. Uliczny zegar wskazywał za pięć dwunastą.

— Ale się Tommy zdziwi! — mruknęła dość głośno i zatrzymała nadjeżdżającą taksówkę.

Podjechała pod samo wejście na stację metra. Tommy już czekał. Ze zdumienia szeroko otworzył oczy i podbiegł, by pomóc jej wysiąść. W nagrodę otrzymał czuły uśmiech i polecenie:

— *Zapłać*, mój drogi! Zupełnie nie mam drobnych. Najmniejszy banknot to pięćofuntówka...

---

\* *fr.* Do widzenia.

## NIEPOWODZENIE

Triumf okazał się nieco mniejszy niż sobie Tuppence założyła, a to przede wszystkim z powodu mizernej zawartości kieszeni Tommy'ego. Udało się zgromadzić wymaganą kwotę, ale dopiero gdy dziewczyna wygrzebała z dna torebki jeszcze dwa pensy. Kierowca taksówki z garścią pełną drobniaków dał się wreszcie skłonić do odjazdu, choć zdołał jeszcze zadać chrapliwym głosem retoryczne pytanie:

— Czy też szanowny dżentelmen żartuje sobie, dając mi to wszystko?

— Chyba zapłaciłeś za dużo — odezwała się wówczas niewinnym głosikiem Tuppence. — Ten uczciwy biedak chce ci zwrócić nadpłatę, Tommy!

I najprawdopodobniej te słowa skłoniły wreszcie taksówkarza do zniknięcia z pola widzenia.

Pan Tommy Beresford głęboko odetchnął i nie mając już świadków mógł ostrym tonem zająć wyjaśnień:

— Co ci do łepetyny skoczyło, żeby brać taksówkę?

— Nie chciałam się spóźnić i narazić cię na czekanie — od—Parła spokojnie Tuppence.

— Spóźnić się na dwunastą? Ty sypiasz do południa? Boże, nic już nie rozumiem.

— I damę ci najprawdziwsze słowo — ciągnęła niewzruszenie Tuppence — że nie mam mniejszych banknotów niż pięćofuntowe.

— Bardzo ładnie to odegrałaś przed taksówkarzem, ale i tak ci nie uwierzył.

— Hmm... — zamyśliła się Tuppence. — Nie uwierzył! I tak jest zawsze, kiedy mówi się prawdę. Nikt w nią nie chce uwierzyć. Już to stwierdziłam dziś rano. Teraz pójdziemy sobie na lunch. Chciałbyś do Savoyu?

Tommy skrzywił twarz w uśmiechu.

— Może lepiej do Ritza?

— Wiesz, chyba jednak wolę restaurację w hotelu Picadilly. Znacznie bliżej i nie potrzebujemy brać taksówki. Chodź!

— W dobrym dziś jesteś humorze. A może coś z główką niedobrze? — zapytał Tommy.

— Takie przypuszczenie nie jest pozbawione pewnych podstaw. Wpadły mi do ręki pieniądze i doznałam w związku z tym takiego szoku, że ciągle jeszcze nie mogę przyjść do siebie. Jeden ze znanych lekarzy poleca na takie niedomaganie dobrą zakąskę, następnie kraba po amerykańsku, pieczoną kurę i na deser melbę. Idziemy się leczyć!

— Tuppence, drogie dziewczę, czy nie masz gorączki?

— Ty niedowiarku! — Tuppence otworzyła torebkę. — Patrz! — Wyciągnęła banknoty i zaczęła nimi powiewać.

— Nie powiewaj tak publicznie funciakami, dziewczyno!

— To nie są banknoty funtowe! To są banknoty pięciokrotnie lepsze! Nie, omyliłam się. Ten, który trzymam w ręku, jest dziesięć razy lepszy!

Tommy jęknął.

— Tuppence, musiałem się chyba upić, nic o tym nie wiedząc, i teraz zamiast białych słoni widzę białe banknoty! A może ja śnię?

— Już dobrze, mój królu. Za taki banknot zjemy lunch. Chodź!

— Pójdę za tobą, gdzie chcesz. Ale skąd je masz? Obrabowałaś bank?

— Wszystko ci opowiem. Co za okropne miejsce ten plac Picadilly. Uważaj, chce nas przejechać wstrętny autobus! To byłoby straszne, gdyby przejechał się po pięćofuntowych banknotach. I jednym dziesięćofuntowym!

— Parter? Główna sala? — spytał Tommy, gdy szczęśliwie przeszli na drugą stronę jezdni.

— Droższa jest ta mniejsza — powiedziała Tuppence.



— Grzeszna i godna potępienia ekstrawagancja! — oświadczył Tommy. — Chodź ze mną...

— Ale czy ja tam dostanę to, czego chcę?

— Mówisz o tym bardzo niezdrowym menu, które mi przed chwilą proponowałaś? Oczywiście, że dostaniesz. Może nie wszystko, bo byś pękła.

Kiedy już usiedli i na stole znalazły się zamówione przez Tuppence zakąski, Tommy nie mógł dłużej wytrzymać:

— No, jazda! — zażądał. — Strzelaj!

I panna Cowley wszystko mu opowiedziała.

— A najśmieszniejsze jest to, że ja naprawdę wymyśliłam to nazwisko: Jane Finn. Nie chciałam podać prawdziwego ze względu na ojczulka, którego by szlag trafił, gdyby jego córeczka wpakowała się w jakąś aferę niezbyt przyjemną Panu Bogu.

— Słusznie zrobiłaś, ale nazwiska wcale nie wymyśliłaś — poinformował ją Tommy.

— Jak to nie?

— Ja ci je podsunąłem. Nie pamiętasz? Powiedziałem wczoraj, że słyszałem na ulicy jakichś dwóch gości mówiących o kobiecie, która nazywała się Jane Finn. I stąd to nazwisko przyszło ci do głowy.

— Rzeczywiście! Teraz sobie przypominam! To nadzwyczajne... — Tuppence zatopiła się w myślach. Nagle usiadła prosto. — Tommy?

— No co?

— Jak wyglądali ci dwaj mężczyźni?

— Jeden był chyba bardzo tęgi i wysoki — odparł Tommy, marszcząc czoło. — I gładko ogolony. Ciemne włosy...

— To on, to on! — wykrzyknęła Tuppence podniecona.

— Ten sam. To jest właśnie Whittington! A jak wyglądał ten drugi?

— Zupełnie nie pamiętam. Jakoś go nie zarejestrowałem. Właściwie tylko to fińskie nazwisko zwróciło moją uwagę.

— A ludzie mówią, że nie ma zbiegów okoliczności!

— Tuppence z wielkim zadowoleniem pochłaniała melbę.

Tommy spoważniał.

— Słuchaj no, moja droga, ale co dalej? Dokąd to wszystko nas prowadzi?

— Do dalszych pieniędzy — odparła.

— Tylko o tym myślisz. Mnie interesuje inna sprawa. Co powinniśmy teraz zrobić? Jak chcesz kontynuować tę grę?

— W tym problem, Tommy. Trzeba się zastanowić.

— Długo swego blefu nie pociągniesz. Wcześniej czy później potkniesz się na jakimś słówku. A poza tym... to jest przecież karalne. Szantaż!

— Bzdura! Szantaż byłby wtedy, gdybyśmy zagrozili, że coś komuś powiemy, jeśli nie dostaniemy pieniędzy. A my przecież nie moglibyśmy nikomu nic powiedzieć, bo absolutnie nic nie wiemy.

— Hmm... — zastanowił się Tommy. — W każdym razie trzeba obmyślić dobrze, co dalej. Więc powiadasz, że Whittington nagle zapragnął się ciebie pozbyć i na odczepnego dał pieniądze. Ale następnym razem, nim da więcej, będzie chciał usłyszeć coś konkretnego. Co dokładnie wiesz i skąd. A może zdarzyć się jeszcze coś, czego nie można przewidzieć. Dasz sobie radę? Jak masz zamiar to wszystko rozegrać?

Tuppence zasępiła się, marszcząc czoło.

— Musimy pomyśleć. W związku z tym zamów kawę po turecku. Rozszerza komórki i stymuluje myślenie. O Boże, chyba się za bardzo objadłam!

— Jak prosię! Ale ja właściwie też, chociaż wybierałem dania chyba rozsądniej od ciebie. Dwie kawy! — Ostatnie słowa były skierowane do kelnera. — Jedna po turecku, druga z mlekiem.

Tuppence piła kawę małutkimi łyżkami. Gdy Tommy chciał się odezwać, ucięła krótko:

— Bądź cicho! Myśle!

— Oby cię nie opuściło natchnienie! — po tej krótkiej uwadze Tommy zapadł w milczenie.

— Jest! — wykrzyknęła wreszcie Tuppence. — Mam gotowy plan. Musimy oczywiście czegoś się jeszcze w tej sprawie dowiedzieć...

— Brawo!

— Nie kpjij sobie. A dowiedzieć się musimy, obwąchując, jeśli tak wolno rzec, szanownego pana Whittingtona. Gdzie mieszka, co robi... Ja nie mogę go śledzić, bo on mnie zna. Ale ty mignąłeś mu tylko w restauracji Lyonsa. Nie rozpozna cię. Młodzi mężczyźni są strasznie do siebie podobni.

— Kategorycznie odrzucam podobne pomówienie! Jestem absolutnie przekonany, że miła aparycja i schludny wygląd wyróżniają mnie od otoczenia.

— Mój plan jest taki... — kontynuowała Tuppence nie reagując wcale na uwagę Tommy'ego. — Jutro pójdę na spotkanie sama. Będę się starała ponownie odsunąć ostateczną rozgrywkę. Jeśli nie dostanę żadnych pieniędzy, to nic nie szkodzi. Pięćdziesiąt funtów powinno nam wystarczyć na kilka dni...

— Może nawet na dłużej.

— Ty natomiast będziesz się kręcił przed budynkiem. Kiedy wyjdę, udasz, że mnie nie znasz, bo on może patrzeć z góry. Zostanę jednak gdzieś w pobliżu, tak żebyś mnie widział, i kiedy z kolei on wyjdzie na ulicę, to ja upuszczę chusteczkę albo coś takiego i ty za nim pójdziesz...

— Dokąd?

— Tam gdzie i on, głuptasie! No, co sądzisz o moim planie?

— Czytałem o takich rzeczach w książkach. Ale robić to samemu? Strasznie głupio tak stać przez kilka godzin na ulicy, nie mając nic do roboty. Ludzie na pewno będą się dziwili, co ja kombinuję...

— Nie w mieście. Wszyscy się dokądś śpieszą. Nikt na ciebie nie zwróci uwagi.

— Już drugi raz mówisz, że nikt na mnie nie zwróci uwagi. Ale ci wybaczam. Bo ja wiem, to może być nawet zabawne. Co robisz dziś po południu?

— No właśnie — odparła Tuppence. — Myślałam o kapeluszu... i o jedwabnych pończochach. A może...

— Spokojnie, spokojnie! Pięćdziesiąt funtów to tylko pięćdziesiąt funtów. Ale może byśmy... może pójdziemy na kolację i trochę potańczymy?

— Doskonały pomysł!

Dzień minął zupełnie przyjemnie, a wieczór jeszcze bardziej. Dwie pięciofuntówki ulotniły się bezpowrotnie.

Spotkali się następnego ranka w umówionym miejscu i ruszyli ku śródmieściu. Tuppence weszła do biurowca, a Tommy pozostał na przeciwległym chodniku.

Ruszył spacerkiem do rogu, potem wolno wrócił. Gdy był na wysokości biurowca, wybiegła z niego Tuppence i pędem pokonała jezdnię.

— Tommy!

— Co się stało?

— Biuro zamknięte. Nikogo tam nie ma.

— Dziwne.

— Prawda? Chodź ze mną. Spróbujemy jeszcze raz. Tommy poszedł za Tuppence. Gdy znajdowali się na trzecim piętrze i zaczęli wchodzić na czwarte, na schodach pojawił się jakiś młody urzędnik i po chwili wahania spytał:

— Państwo do „Estonii”?

— Tak, właśnie.

— Już ich nie ma. Od wczoraj. Podobno firma jest zlikwidowana. Podobno. W każdym razie pomieszczenia są do wynajęcia.

— Dziękuję... dziękuję panu — odparła Tuppence. — Nie zna pan przypadkiem adresu pana Whittingtona?

— Nie, nie znam. Oni się wyprowadzili tak niespodziewanie.

— Bardzo panu dziękuję — odezwał się Tommy. — Idziemy, Tuppence!

Wyszli na ulicę. Stanęli, patrząc na siebie.

— No i koniec — stwierdził Tommy.

— Tego nie podejrzewałam — jęknęła Tuppence.

— Głowa do góry, staruszko, to jeszcze nie koniec świata! Nic nie poradzimy!

— Naprawdę? — Hardo podniosła głowę. — Myślisz, że to koniec? A właśnie, że nie! Dopiero początek.

— Początek czego?

— Wielkiej Przygody! Czy ty naprawdę nie rozumiesz, Tommy? Oni uciekli, co oznacza, że historia z Jane Finn to poważna sprawa. I my ją rozgryziemy. Odnajdziemy Whittingtona. Będziemy niezmordowanie węszyć!

— Kto ma węszyć? My? Nie jesteśmy detektywami — zaprotestował Tommy.

— To się nauczymy. Trzeba przygotować nowy plan działania. Pożycz mi ten twój ogryzek ołówka. Dziękuję. I nie przeszkadzaj, nie przerywaj. Daj mi pomyśleć i zapisać... Dobrze! — Tuppence oddała ołówek Tommy’emu, spoglądając z wielką satysfakcją na to, co nabazgrała na papierze.

— Coś tam napisała?

— Ogłoszenie.

— Więc jednak je dajemy?

— Nie to. Inne. Podała mu kartkę. Tommy odczytał na głos:

— „Jane Finn! Wszelkie informacje o tej osobie pilnie poszukiwane. MŁP”

## KIM JEST JANE FINN?

Dzień następny przetoczył się powoli. Należało ograniczyć wydatki. Czterdzieści funtów rozumnie wydawane mogło starczyć na długo. „Chodzenie pieszo tanio wypada”, stwierdziła Tuppence. Na szczęście pogoda była ładna. Za wieczorną rozrywkę musiało im wystarczyć dzielnicowe kino.

Środa była dniem złudnych nadziei. W czwartek ukazało się ogłoszenie. Dopiero w piątek zaś można się było spodziewać odpowiedzi, adresowanych na klub Tommy’ego.

Tommy dał słowo honoru, że żadnego z listów, jeśli w ogóle nadejdą, sam nie otworzy, lecz przyjdzie z nimi o dziesiątej na spotkanie w Narodowej Galerii Malarstwa.

Tuppence zjawiała się pierwsza, usiadła na kanapce obitej pluszem i bez entuzjazmu wpatrywała się w obraz Turnera, kątem oka zerkając ku wejściu. Wkrótce pojawił się Tommy.

— No i co? — spytała podniecona.

— A właśnie — odparł przekornie pan Beresford. — Który Turner najbardziej ci się podoba?

— Nie znęcaj się nade mną. Są jakieś odpowiedzi? Tommy potrząsnął głową z przesadnym smutkiem.

— Nie chciałem ci psuć humoru, staruszek, mówiąc, co sędzę o tym pomysle z ogłoszeniem. Zmarnowane pieniądze... — westchnął głęboko. — I teraz masz skutek. Ogłoszenie się ukazało i... są tylko dwie odpowiedzi!

— Dawaj, świntuchu! — wykrzyknęła Tuppence. — Dawaj natychmiast! Jesteś wstrętny!

— Język, moja droga! Bacz na język! W Narodowej Galerii szczególnie na to zważają, bo to państwowa instytucja, spuścizna pokoleń i tak dalej... A poza tym już ci chyba mówiłem, że córce osoby duchownej nie wypada...

— ...zadawać się z takimi jak ty nędznikami — dokończyła Tuppence.

— Niezupełnie to miałem na myśli. Skoro już jednak dzięki mnie, w dodatku całkiem za darmo, przeżyłaś tę chwilę euforii po długim okresie rozpacz, to może zabierzemy się wreszcie do przeglądania tak zwanej poczty?

Tuppence bezceremonialnie wyrwała mu z ręki obie koperty i przed otwarciem dokładnie je obejrzała.

— Gruby, czerpany papier! Kosztowny! Zostawimy to na deser. Najpierw ta druga...

— Racja. A więc raz, dwa, trzy, otwieramy! Tuppence szybko rozdarła kopertę i wyjęła z niej kartkę.

*Szanowny Panie,*

*Odpowiadając na Pańskie ogłoszenie w dzisiejszej gazecie, zawiadamiam, że być może będę mógł służyć pomocą. Jeśli to Panu odpowiada, proszę mnie odwiedzić pod podanym w nagłówku adresem jutro o godzinie jedenastej przed południem.*

*Z poważaniem, A. Carter*

— 27 Carshalton Terrace — Tuppence odczytała adres.

— To musi być gdzieś przy Gloucester Road. Mamy mnóstwo czasu. Zdażymy, jeśli pojedziemy metrem.

— A oto mój plan kampanii — oświadczył Tommy. — Teraz moja kolej rozpoczęcia ofensywy. Kiedy stanę przed obliczem pana Cartera, to najpierw, zgodnie z obyczajem, powiem sobie „dzień dobry”. Potem on poprosi: „Niech pan usiądzie, panie...?”. Na co ja mu odpowiem bez zwłoki ze znaczącym uśmiechem: „Jestem Edward Whittington”. Pan Carter poczerwienieje wówczas na twarzy i wykrztusi: „Ile pan chce?”. Otrzymam

zwyczajowe w tym wypadku pięćdziesiąt funtów, schowam je do kieszeni i wrócę do ciebie na róg ulicy. Następnie powtórzymy to samo, idąc pod drugi adres...

— Prześnij się wygłupiać, Tommy! Dawaj ten drugi list. Ooo, wysłany z hotelu Ritz!

— I może z propozycją stu funtów?!

— Przeczytam ci:

„Szanowny Panie,

W związku z Pańskim ogłoszeniem proszę uprzejmie o odwiedzenie mnie około południa.

Z poważaniem,

Julius P. Hersheimer”.

— Ha! — wykrzyknął Tommy. Pachnie mi Szwabem. Albo amerykańskim milionerem o niefortunnym rodowodzie. Południe to dobra pora. Kto wie, może darmowe papu na dwie osoby?

Tuppence skinęła głową.

— Możliwe, ale śpieszmy się do Cartera. Carshalton Terrace okazało się wyjątkowo szacowną

ulicą o „damskim aspekcie”, jak to określiła Tuppence. Nacisnęła dzwonek pod numerem dwadzieścia siedem i drzwi niemalże bez zwłoki otworzyła im pokojówka. Wyglądała równie szacownie jak ulica i dom, co nieco zmartwiło Tuppence, która spodziewała się raczej podejrzanых osób.

Na pytanie Tommy’ego o pana Cartera pokojówka bez słowa wskazała im mały salonik, po czym ich opuściła. Nie zdążyli się nawet dobrze rozejrzeć, kiedy do saloniku wszedł wysoki, szczupły mężczyzna o sępiej twarzy i zmęczonych ruchach.

— Pan MŁP? — spytał z uśmiechem, który zaskoczył Tuppence swoim czarem. — Siadajcie, proszę!

Usiedli. Pan domu uśmiechał się zachęcająco, a zarazem z zaciekawieniem, co nieco zbiło Tuppence z pantałyku.

Ponieważ pan Carter się nie odzywał, była zmuszona sama rozpocząć rozmowę:

— Chcieliśmy właśnie wiedzieć... to znaczy, czy byłby J pan łaskaw nam powiedzieć, co pan wie o Jane Finn?

— Jane Finn? Aaa! — Pan Carter jakby się zastanawiał.

— Problem wygląda nieco inaczej. To raczej ja chciałbym wiedzieć, co wy o niej wiecie, moi państwo!

Tuppence dumnie się wyprostowała.

— To, co my wiemy, nie ma tutaj znaczenia.

— Tak pani sądzi? Otóż jestem przeciwnego zdania.

— Znów się uśmiechnął, tym razem jakimś takim zmęczonym uśmiechem, i powtórzył: — Tak jest. Problem w tym, co państwo wiedzą o Jane Finn?

Tuppence milczała.

— No, proszę dalej! — powiedział dość ostro. — Musicie cokolwiek o niej wiedzieć, skoro daliście podobne ogłoszenie — J nie do gazety. — Pochylił się trochę, a jego głos zabrzmiał J nieco natarczywiej: — Może się wreszcie dowiem...!

Pan Carter miał w sobie coś zniewalającego, coś co przyciągało człowieka, a jednocześnie go podporządkowywało. Tuppence otrząsnęła się z tego wpływu i spytała Tommy’ego:

— Nie możemy tego zrobić, prawda, Tommy?

Ku jej wielkiemu zdziwieniu Tommy nie przytaknął. J Wpatrywał się intensywnie w twarz pana Cartera, a kiedy J się odezwał, głos jego wyrażał głęboki szacunek:

— Obawiam się, że to, co wiemy, nie pomoże panu. Niemniej jednak wszystko panu powiemy...

— Tommy! — wykrzyknęła z oburzeniem Tuppence. Pan Carter poprawił się na krześle. Jego wzrok wyrażał pytanie.

Tommy skinął głową potwierdzająco.

— Tak jest, *sir!* Od razu pana poznałem. We Francji należałem do jednostki wywiadu. Tam pana spotkałem. Gdy tylko wszedł pan do pokoju, wiedziałem...

Carter podniósł dłoń.

— Tylko bez nazwisk. Jestem tutaj znany jako pan Carter. To jest dom mojej kuzynki, która zawsze mi go użycza na mniej oficjalne spotkania. No więc, które z was wszystko mi opowie? — spoglądał to na Tuppence, to na Tommy'ego.

— Mów ty, Tuppence! To twoja przygoda!

— A więc słucham, młoda damo.

I Tuppence posłusznie opowiedziała całą historię od momentu powstania spółki „Młodzi Łowcy Przygód”, aż do chwili obecnej.

Pan Carter słuchał bardzo uważnie. Na twarzy malowało mu się zmęczenie. Od czasu do czasu przesłaniał dłonią usta, jakby chciał ukryć uśmiezek. Gdy Tuppence skończyła, pokiwał głową i powiedział:

— Niewiele tu informacji, ale brawo, brawo! Duże brawo! Niech wolno mi będzie powiedzieć, że stanowicie bardzo ciekawą parę. Kto wie, może właśnie wam się uda tam, gdzie zawiedli inni... Zawsze wierzyłem w szczęście. A wy je chyba macie...

Milczał przez dłuższą chwilę, a potem spytał:

— No więc, jak będzie? Poszukujecie Wielkiej Przygody? Odpowiadałaby wam praca dla mnie? Oczywiście nieoficjalnie. Skromna płaca, ale wszystkie wydatki pokrywam...

Tuppence ze zdumienia otworzyła usta, oczy zrobiły się jej zupełnie okrągłe.

— Co mielibyśmy robić? — zapytała w odpowiedzi.

— Po prostu to samo, co robicie teraz. Szukać i znaleźć Jane Finn! — Uśmiechnął się. — Tylko tyle.

— No tak, dobrze, ale kto to jest ta Jane Finn? Pan Carter pokiwał głową.

— Tak, racja — powiedział już poważnie. — Chyba macie f prawo wiedzieć...

Poprawił się na krześle, złożył palce obu dłoni i rozpoczął długą opowieść:

— Szczegóły związane z tajną dyplomacją (która, nawiasem mówiąc, przeważnie przynosi tylko rozczarowania i szkody) was nie dotyczą. Wystarczy więc, że powiem, iż w piętnastym roku powstał pewien dokument. Był to projekt tajnego porozumienia. Możemy go nawet określić mianem traktatu. Dokument sporządzono w Ameryce i przygotowano do podpisu przez zainteresowane strony. Ameryka była jeszcze wówczas neutralna. Wspomniany dokument zabrał, w celu przewiezienia do Anglii, specjalny kurier, młody człowiek nazwiskiem Danvers. Zainteresowane strony wierzyły, że zastosowano odpowiednie środki ostrożności, aby całą tę sprawę utrzymać w całkowitej tajemnicy. Niestety, podobne założenia i nadzieje okazują się przeważnie płonne. Ktoś się zawsze wygada!

Danvers popłynął do Anglii na liniowcu „Lusitania”. Tajny dokument, owinięty nieprzemakalną materią, miał ukryty pod ubraniem. Właśnie podczas tej podróży niemieckie torpedy zatopiły „Lusitanię”. Nieco później znaleziono ciało Danversa i zidentyfikowano je ze stuprocentową pewnością. Ale pakietu przy nim nie było!

Powstało pytanie, czy dokumenty skradziono już po a śmierci Danversa, czy też kurier zdołał je komuś przekazać? Pewne okoliczności wskazywały na to drugie. Już po storpedowaniu statku, w czasie kiedy spuszczano na wodę łódzie ratunkowe, widziano Danversa rozmawiającego z młodą Amerykanką. Nikt nie zauważył, by cokolwiek jej przekazywał, ale tak właśnie mogło być. Osobiście myślę, że kurier to zrobił, sądząc, że kobieta ma większe szanse ocalenia życia.

Ale w takim razie co się stało z ową dziewczyną i z powierzonymi jej dokumentami? Według nieco późniejszych informacji z oficjalnych kół amerykańskich, Danvers był śledzony. Kolejne pytanie: czy dziewczyna należała do śledzących, czy też ją z kolei zaczęto śledzić? A może nawet zmuszono do oddania pakietu...?

Zaczęliśmy poszukiwania owej osoby. Okazało się to niesłychanie skomplikowane i trudne. Nazywała się Jane Finn. Jej nazwisko znaleźliśmy na liście osób ocalonych, ale dziewczyna po prostu przepadła bez śladu. Próby odnalezienia jej rodziny nie przyniosły żadnego skutku. Była sierotą. Stwierdzono, że pracowała jako nauczycielka w małej szkole na zachodzie Stanów. Miała paszport wystawiony na podróż do Francji, wybrała się bowiem do Paryża z zamiarem pracy w szpitalu. W wojennym szpitalu. Zgłosiła się ochotniczo i po wymianie korespondencji przyjęto jej ofertę. Kierownictwo szpitala, wiedząc z opublikowanej przez prasę listy uratowanych rozbitków, że Jane Finn żyje, oczekiwało jej przybycia. Ale nie pojawiła się i nie dała znaku życia.

Uczyniono wszystko, aby odnaleźć młodą Amerykankę. Bez skutku. Ślad prowadził do Irlandii, a potem do Anglii. Tyle wiadomo. A potem już nic. Wrogie siły nie wykorzystwały treści dokumentu. Narzucał się więc wniosek, że jednak Danvers zniszczył pakiet. Wojna weszła w zupełnie nową tezę, zmieniły się racje polityczne i dyplomatyczne rozgrywki. Nigdy nie próbowano przeredagować traktatu w nowym kształcie. Plotki na temat istnienia jakiegokolwiek wcześniejszego projektu zostały zdementowane. apomniano o zniknięciu Jane Finn i w ogóle o całej sprawie.

Pan Carter zamilkł, z czego skorzystała Tuppence, by wtrącić pytanie:

— No to dlaczego teraz, tak nagle...? Przecież wojna się skończyła.

— Ponieważ się okazało, że dokument nie został jednak zniszczony i opublikowanie go dziś, mimo iż dotyczy przeszłości, wywołałoby wielki skandal. — Pan Carter po raz pierwszy okazał podniecenie, jakby się nagle otrząsnął ze zmęczenia.

Tuppence patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, czekając na wyjaśnienie.

— Tak, przed pięcioma laty traktat był bronią w naszym ręku. Ujawniony teraz stałby się instrumentem przeciwko nam. Popełniono straszny błąd. Opublikowanie tekstu dzisiaj byłoby po prostu katastrofą... Mogłoby wywołać następną wojnę. Tym razem nie z Niemcami. Istnieje prawdopodobieństwo, chociaż ja w to nie wierzę, że dokument ten kompromituje kilku naszych polityków, na co ze względów politycznych nie możemy sobie obecnie pozwolić. Traktat mógłby stać się potężnym orężem w ręku partii laburzystowskiej, której rządu — przynajmniej w mojej opinii — podważyłyby nasze układy i struktury handlowe. Ale nie to byłoby prawdziwą katastrofą. Istotne zagrożenie pochodzi z innej strony...

Zamilkł na chwilę.

— Słyszeliście zapewne, że za obecnymi strajkami kryją się bolszewicy? Pisała o tym prasa. Wyraźnie to sugerowała.

Tuppence skinęła głową.

— Otóż to prawda — kontynuował pan Carter. — Ale niecała. Do kraju płynie szeroką rzeką bolszewickie złoto w celu wzniesienia rewolucji i obalenia naszego ustroju. I działa tu pewna osoba, której prawdziwe nazwisko jest nam nieznane, a która za kulisami pociąga za sznurki. Niepokojom społecznym winni są bolszewicy, ale za bolszewikami kryje się ów człowiek. Nie wiemy kto to. Nazywany jest panem Brownem. Naszym zdaniem to największy zbrodniarz stulecia. Stoi na czele potężnej organizacji. Jeszcze w czasie wojny działał przeciwko ruchowi oporu. Wszędzie ma swoich szpiegów...

— Naturalizowany Brytyjczyk? Pochodzenia niemieckiego? — spytał Tommy.

— Ach, nie! Jesteśmy absolutnie przekonani, że to Anglik. I że w czasie wojny był niesłychanie proniemiecki. Jego prawdziwe cele są nam nieznane. Prawdopodobnie jest to człowiek żądny absolutnej władzy. Nie mamy pojęcia, za jaką fasadą się kryje. Podobno nawet najwierniejsi wyznawcy nie znają jego prawdziwego publicznego oblicza. Ilekroć trafiliśmy na jakiś ślad, zawsze się on urywał, a rolę rzekomego przywódcy obejmował ktoś inny. Ale za każdym razem okazywało się, że w tle był jakiś urzędnik lub służący bez znaczenia i że enigmatyczny pan Brown znów nam umknął.

— Ooo! — wyrwało się Tuppence. — Zastanawiam się czy...

— Słucham, słucham? — zapytał pan Carter.

— Coś sobie przypomniałam. W biurze pana Whittingtona był urzędnik. Pan Whittington nazwał go Brownem. Nie myśli pan...?

— Możliwe, całkiem możliwe! — Carter pokiwał głową. — Tak, bardzo często pojawia się to nazwisko. Może to jakaś idiosynkrazja geniusza? Mogłaby go pani opisać?

— Właściwie to nie, bo on był taki zwyczajny, niczym się nie wyróżniał...

— No i właśnie! Tak nam zawsze wszyscy opisują pana Browna. — Carter głęboko westchnął. — Przyniósł Whittingtonowi wiadomość telefoniczną? A zauważyła pani telefon w tym pierwszym pomieszczeniu?

— Nie, nie widziałam — odparła Tuppence po chwili zastanowienia.

— Otóż to! Tak zwana wiadomość telefoniczna to sposób wydawania przez Browna poleceń podwładnym. Rzekomy urzędnik słyszał całą pani rozmowę z Whittingtonem. Czy Whittington dał pani pieniądze i kazał zjawić się następnego dnia dopiero po przyniesieniu mu owej telefonicznej wiadomości, czy też wcześniej?

— Potem! — odparła Tuppence.

— No tak, to był pan Brown! — Carter przez chwilę milczał. — Teraz więc widzicie, moi drodzy, w co się w mieszaście. Być może chodzi o największego przestępcę naszych czasów. Wcale mi się to nie podoba, jesteście bardzo młodzi i niedoświadczeni. Nie chciałbym, by przytrafiła się wam jakaś przykra przygoda...

— Nie przytrafi się! — odparła Tuppence z wielką pewnością siebie.

— Będę się nią opiekował, *sir* — zapewnił Tommy.

— A ja tobą! — odcięła się Tuppence oburzona męską zarozumiałością.

— Najlepiej opiekujcie się sobą wzajemnie — poradził pan Carter, uśmiechając się. — Ale wróćmy do naszego dokumentu. Jest w tej sprawie coś niejasnego. Zagrożono nam publikacją projektu traktatu. Uczyniono to bez osłonek, jasno i wyraźnie. Elementy wywrotowe dały nam znać, że dokument jest w ich rękach i że zamierzają go ujawnić w odpowiedniej chwili. Jednocześnie popełniono kilka dość istotnych, nawet zaskakujących, błędów przy interpretacji tekstu. W kołach rządowych panuje przekonanie, że przeciwnik blefuje. Postanowiono, słusznie czy nie, wszystkiemu zaprzeczać. Ja nie jestem wcale taki pewien, że to tylko blef. Mam pewne sygnały wskazujące na to, że groźba jest jak najbardziej realna. Jakby oni rzeczywiście mieli oryginalny dokument, ale nie potrafili go właściwie odczytać, ponieważ jest szyfrowany. Ale ja wiem, że projekt traktatu nie był szyfrowany. Niemniej jednak sprawa błędów interpretacyjnych wydaje się bardzo istotna. Teraz, jeśli idzie o Jane Finn. Może ona nie żyje. Nie wiem, choć nie sądzę. Najciekawsze jest jednak to, że i oni chcą zdobyć informację o zaginionej dziewczynie!

— Coś takiego?!

— Właśnie. Takie mamy sygnały. A pani, młoda damo, potwierdza nasze przypuszczenie. Ta przygoda z panem Whittingtonem. Oni wiedzą, że szukamy Jane Finn. No i wyobraźmy sobie, że nagle Jane Finn odnajduje się w Paryżu, na pensji... — Tuppence głośno zaczerpnęła powietrza, a pan Carter uśmiechnął się i ciągnął dalej: — Przecież nikt nie wie, jak wygląda Jane Finn. Ma przygotowaną opowiadkę i jej zadaniem jest wyciągnięcie od nas informacji... Rozumie pani?

— Więc pan uważa, że oni chcieli mnie wysłać do Paryża jako Jane Finn?!

— Wierzę w zbiegi okoliczności — odparł pan Carter, uśmiechając się leniwie.



## PAN JULIUS P. HERSHEY

Muszę przyznać, że trudno w to wszystko uwierzyć — powiedziała Tuppence. — A jednak... Jakiś nieprawdopodobny łut szczęścia, że akurat my trafiliśmy na ślad. Najpierw Tommy, potem ja... Carter skinął głową.

— Wierzę w szczęście, w przypadek i jak już powiedziałem, w zbiegi okoliczności. Los wskazał na was palcem, wyznaczając do roli poszukiwaczy przygód.

Tommy z rozbawieniem chrząknął.

— Ten Whittington musiał doznać szoku, kiedy mu Tuppence zaserwowała nazwisko Jane Finn! Ja sam skoczyłbym do sufitu. Ale zajęliśmy panu mnóstwo czasu, sin Czy ma pan jeszcze jakieś rady, zanim się odmeldujemy?

— Nie mam. Moi specjaliści, pracujący zgodnie z regulaminem i utartymi metodami, nic nie osiągnęli. Wy wnosicie wyobraźnię i niekonwencjonalne podejście. Nie zniechęcajcie się, jeśli i to zawiedzie. Pamiętajcie tylko, że druga strona może wam narzucić niezłe tempo. Akcja ulegnie przyśpieszeniu...

Tuppence zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc dobrze tej uwagi.

— Kiedy pani poszła na rozmowę z Whittingtonem, jego organizacja miała jeszcze dużo czasu. Przewrót był zaplanowany na początek przyszłego roku. Jednakże obecnie rząd przystąpił do opracowywania inicjatyw legislacyjnych, które przeciwdziałałyby groźbie strajków. Przeciwnik to wkrótce wywacha, o ile już tego nie uczynił. I być może przyśpieszy realizację swoich planów. Mam nadzieję, że tak się stanie. Mam nadzieję, ponieważ im bardziej się będziecie spieszyć, tym większa szansa błędu. Po prostu chciałem was ostrzec i uprzedzić, że nie macie wiele czasu i że nie musicie posypywać sobie głów popiołem, jeśli wam się nie uda. Działamy w zupełnym mroku, a zadanie, jakie wam dałem, przerasta siły zawodowców. Liczę tylko na wasze szczęście. Nic więcej.

Tuppence wstała.

— Przejdźmy teraz do szczegółów. Na co konkretnie możemy liczyć, panie Carter? — zapytała.

Pan Carter, chociaż usta mu zadrgały, odpowiedział poważnie i rzeczowo:

— Fundusze w granicach rozsądku. Wszelkie informacje, które mogą wam być potrzebne. Oficjalnie się do was nie przyznajemy, co oznacza, że w razie kłopotów z policją nie będziemy wam mogli pomóc. Zostaliście rzućni na głęboką wodę.

Tuppence skinęła głową.

— Rozumiem. Kiedy będę miała czas, aby spokojnie pomyśleć, spiszę pytania, na które chciałabym uzyskać odpowiedź. Chwilowo mamy dość informacji, by ruszyć w bój, jeśli tak można powiedzieć. A jeśli chodzi o pieniądze...

— Jestem zawsze do waszej dyspozycji — odparł pan Carter.

— To wszystko bardzo pięknie, ale... Nie chciałabym być niegrzeczna wobec rządu, bo jeśli dobrze rozumiem, pan go wobec nas reprezentuje... ale sam pan wie, jak trudno jest cokolwiek od rządu wyciągnąć... Bo jeśli mamy w sprawie pieniędzy wypełniać jakiś niebieski czy różowy druczek, a potem czekać kilka miesięcy, aż nam przyślą do wypełnienia zielony, żeby można było dostać pieniądze... No to sam pan rozumie, że to nie dla nas... Pan Carter głośno się roześmiał.

— Proszę się nie martwić, panno Tuppence! Wyśle pani do mnie notkę pod ten adres, napisze na co i ile potrzeba, a otrzyma pani pieniądze w prawdziwych banknotach odwrotną pocztą. Jeśli chodzi o wasze osobiste pobory, no powiedzmy... trzysta funtów w skali rocznej...? To znaczy dla pani i oczywiście tyle samo dla pana Beresforda.

Tuppence szeroko się uśmiechnęła.

— Wspaniale! Jest pan naprawdę uroczy. Ja kocham pieniądze! A co do wydatków, będę je skrupulatnie zapisywała. Po jednej stronie „winien”, po drugiej „ma”, wszystko ładnie podkreślone czerwonym atramentem i podsumowywane. Zapewniam, że potrafię to zrobić.

— Jestem tego pewien. A więc do widzenia i życzę wam obojgu wiele szczęścia!

Pożegnali się, podając rękę panu Carterowi, i po minucie schodzili schodkami na ulicę. W głowach im szumiało.

— Tommy, natychmiast mów mi: kto to jest „pan Carter”? Tommy półgłosem podał nazwisko.

— Ooo! — Informacja wywarła na Tuppence piorunujące wrażenie.

— I powiem ci jeszcze, staruszek, że on jest bardzo, bardzo — resztę wyszeptał jej w ucho.

— Ooo! — zareagowała Tuppence po raz wtóry. Zastanowiła się chwilę i dodała: — On mi się naprawdę podoba. Tobie chyba też? Niby taki zmęczony i wszystkim znudzony, a mimo to wyczuwa się w nim jakąś wielką siłę. I niesłychanie bystry! Ooo! — powtórzyła. — Uszczypnij mnie, Tommy! Trudno mi uwierzyć, że to wszystko nam się wydarzyło w ciągu zaledwie kilku dni.

Pan Beresford spełnił jej żądanie.

— Wystarczy! Nie tak mocno! Już wiem, że nie śnię. Mamy pracę!

— I jeszcze jaką! — powiedział radośnie Tommy. — Wspólne przedsięwzięcie naprawdę wystartowało!

— I jest uczciwsze, niż zakładałam — dodała Tuppence.

— Na szczęście ja w ogóle nie mam twoich ciągot do przestępstw — odparł Tommy. — Która godzina? Może coś zjemy...? O, zupełnie mi wyleciało z głowy...

Ta sama myśl uderzyła ich oboje.

— Pan Julius P. Hersheimer!

— Zapomnieliśmy powiedzieć panu Carterowi o liście od niego — zmartwiła się Tuppence.

— List nic nie znaczy. Powiemy, kiedy się z nim zobaczymy i porozmawiamy. A teraz lepiej się pośpieszmy. Weźmiemy taksówkę — zdecydował Tommy.

— I któż to jest teraz rozrzutny!

— Wszystkie koszty pokrywa król. Zapomniałaś?

— Racja. A poza tym to będzie lepiej wyglądało, jeśli podjedziemy taryfą pod sam hotel — powiedziała Tuppence, rozpierając się wygodnie w taksówce. — Jestem pewna, że szantażyści nigdy nie jeżdżą autobusami.

— Przecież już nie jesteśmy szantażystami — zaprotestował Tommy.

— Nie jestem tego taka pewna — odparła.

Gdy zapytali o pana Hersheimera, natychmiast skierowano ich do jego apartamentu. W odpowiedzi na pukanie pikolaka, zniecierpliwiony męski głos krzyknął „wejść”. Chłopiec otworzył drzwi i wpuścił gości.

Pan Hersheimer okazał się o wiele młodszy, niż to sobie wyobrażali. Tuppence oceniła go na trzydzieści pięć lat. Średniego wzrostu, barczysty, wydatna szczeka, twarz nieco zaczepna, ale w zasadzie miła. Nie było wątpliwości, że jest Amerykaninem. Zdradzał to zresztą jego akcent.

— Otrzymaliście mój list? Doskonale, siadajcie i powiedzcie mi wszystko, co wiecie o mojej kuzynce.

— Pańskiej kuzynce?

— Jasne. Jane Finn!

— To ona jest pana kuzynką?

— Mój ojciec i jej matka byli rodzeństwem.

— Ooo! — zawołała Tuppence. — Wobec tego pan wie, gdzie ona przebywa w tej chwili.

— Nie! — Pan Hersheimer walnął pięścią w stół. — Niech mnie gęś kopnie! Nie mam zielonego pojęcia.

— Daliśmy ogłoszenie, prosząc o informacje, a nie odwrotnie — odparła sucho Tuppence.

— Chyba umiem czytać. Ale pomyślałem sobie, że może chodzi o jej przeszłość, a wiecie gdzie ona jest teraz.

— Bardzo chętnie posłuchamy, co pan wie o jej przeszłości — oświadczyła Tuppence.

Pan Hersheimer zrobił się nagle bardzo podejrzliwy.

— Co tu się dzieje? To nie Sycylia! Zażądacie okupu i zagrożicie odcięciem uszu, jeśli nie zapłacę? To są Wyspy Brytyjskie, więc przestańcie z wygłupami, bo zawołam jednego z tych przystojnych, wysokich policjantów, którzy tu chodzą po Picadilly.

— Nie porwaliśmy pańskiej kuzynki — pośpieszył Tommy z wyjaśnieniem. — Wprost przeciwnie. Usiłujemy ją odnaleźć. Zatrudniono nas w tym celu.

— Proszę o bliższe wyjaśnienie! — polecił pan Hersheimer, pochylając się z zainteresowaniem.

Tommy spełnił prośbę, zresztą bardzo ogłędnie, szkicując znaną wersję zaginięcia Jane Finn i wspominając o jej nieświadomym udziale w „politycznej aferze”. O sobie i Tuppence mówił jako o „agentach dochodzeniowych”, których wynajęto w celu odszukania Jane Finn. Dodał, że w związku z tym będą bardzo wdzięczni za jakiegokolwiek informację.

Pan Hersheimer z zadowoleniem i aprobatą pokiwał głową.

— W istocie. Może się pośpieszyłem, tak do was przemawiając. Ale Londyn po prostu działa mi na nerwy. W moim małym Nowym Jorku czuję się jakoś swobodniej. Walcie swoje pytania, a ja wam na wszystko odpowiem.

Wyznanie to nieco zaskoczyło Młodych Łowców Przygód, ale Tuppence szybko odzyskała animusz i zaczęła sypać pytaniami, niczym w powieści kryminalnej:

— Kiedy po raz ostatni widział pan zmar... chciałam powiedzieć: swoją kuzynkę?

— Nigdy jej nie widziałem.

— Co takiego? — spytał zdumiony Tommy.

— Nigdy jej nie widziałem — powtórzył Hersheimer, zwracając się do agenta dochodzeniowego. — Jak już wspominałem, mój ojciec i jej matka to rodzeństwo, tak jak może wy dwoje jesteście rodzeństwem...

Tommy nie usiłował skorygować tego przypuszczenia.

— ...ale nie każde rodzeństwo żyje w przyjaźni — ciągnął Hersheimer. — Kiedy moja ciotka postanowiła wyjść za Amosa Finna, który był biednym nauczycielem na Zachodzie, mój ojciec wpadł we wściekłość. Oświadczył, że jeśli on zrobi pieniądze, a był właśnie w trakcie ich robienia, to ona nie zobaczy z nich ani centa. W rezultacie kłótni ciotka wyjechała na Zachód za ukochanym i nikt już nigdy o niej nie słyszał. Ojciec rzeczywiście zbił fortunę — na nafcie, stali i akcjach kolei żelaznych. Zrobił trochę szumu na Wall Street, na giełdzie. Ubiegłej jesieni umarł, a mnie przypadła cała forsa. No i wtedy odezwało się moje sumienie. Ciągłe mnie dręczyło: „Co z tą ciotką Jane na Zachodzie?”. Zaczęło mnie wręcz prześladować. Byłem przekonany, że ten Amos Finn nigdy do niczego nie doszedł. Nie należał do takich, co robią karierę. Wreszcie wynajęłem detektywa. No i dowiedziałem się, że Amos Finn nie żyje, że moja ciotka Jane nie żyje, ale że została córka, też Jane, która płynęła „Lusitanią” do Paryża, gdy w statek trafiła torpeda. Dowiedziałem się też, że Jane Finn ocalała, ale że nikt nie wie, co się z nią dalej stało. Ponieważ nie wierzyłem, by tutaj w Anglii ktoś się przykładał do szukania mojej kuzynki, pomyślałem, że sam skoczę na drugą stronę Atlantyku i poszperam. Tu nacisnę, tam nacisnę i może coś z tego wyjdzie. Po przyjeździe zadzwoniłem od razu do Scotland Yardu i do Admiralicji. W Admiralicji bardzo szybko mnie spławili, ale w Scotland Yardzie — owszem, byli uprzejmi, obiecali, że przeprowadzą dochodzenie. Nawet dziś rano zjawił się tu pewien człowiek, żeby wziąć jej fotografię. Jutro

jedzie do Paryża, może tam da się coś zrobić w prefekturze policji. Myślę, że jak ich będę nagabywał, to zajmą się sprawą na serio...

Pan Hersheimer zabrał się do poszukiwań swej zaginionej kuzynki z istic amerykańską energią. To robiło wrażenie.

— Ale zaraz, wy oboje nie dlatego jej szukacie, że coś prze—skrobała, prawda? — spytał Hersheimer. — Obrza sądu lub coś równie brytyjskiego? Bo mogło się zdarzyć, że młoda Amerykanka, nie znając dobrze waszych wojennych regulaminów czy innych przepisów... W takim wypadku jestem gotów uiścić za nią grzywnę, jeśli się coś należy. Albo nawet dać łapówkę, bo tutaj też się pewno bierze łapówki.

Tuppence rozwiąła jego obawy.

— No, to doskonale! Wobec tego możemy współpracować. Macie ochotę na wspólny lunch? Mają go przysłać tu do apartamentu czy wolicie zejść na dół?

Tuppence wyraziła ochotę zejścia do restauracji i pan Julius przychylił się do jej życzenia.

W chwili gdy półmisek z ostrygami zajął na stole miejsce flądry *à la* Colbert, kelner podał Hersheimerowi bilet wizytowy.

— Inspektor Japp ze Scotland Yardu. Departament Przystępstw. Jeszcze jeden policjant. Czego on ode mnie chce? Już nic więcej nie wiem. Wszystko powiedziałem temu pierwszemu. Mam nadzieję, że nie zgubili jedynej fotografii, jaką miałem. Zakład fotograficzny, gdzie była robiona, spalił się. Nie istnieje więc już nawet negatyw. Zdjęcie dostałem od dyrektora college'u, do którego uczęszczała Jane.

Jakiś niepokój ogarnął nagle Tuppence.

— Zna pan nazwisko człowieka, który był u pana dziś rano?

— Tak, znam. Nie, zaraz... Było na jego wizytówce. O, jest! Inspektor Brown. Taki niepozorny facet.

## PLAN DZIAŁANIA

Zaciągnijmy zasłonę na następne pół godziny. Wystarczy powiedzieć, że w Scotland Yardzie nikt nigdy nie słyszał o inspektorze Brownie. Fotografia Jane Finn, która mogła być niesłychanie przydatna w rękach policji — przepadła bezpowrotnie. Raz jeszcze zatriumfował pan Brown.

Bezpośrednim rezultatem tego zdarzenia było zbliżenie pana Hersheimera z Młodymi Łowcami Przygód. Wzajemne podejrzliwości i zahamowania zniknęły, a Tommy i Tuppence czuli się tak, jakby znali młodego Amerykanina przez całe życie. Przestali opowiadać, że są „agentami dochodzeniowymi”, i wyjawili całe kulisy powstania ich wspólnego przedsięwzięcia. Młody Amerykanin reagował entuzjastycznymi wprost okrzykami podziwu.

Gdy Tuppence już wszystko opowiedziała, zwrócił się do niej z głębokim ukłonem:

— Zawsze myślałem, że młode Angielki są jakby nieco omszałe, staromodne i przesłodzone i że boją się ruszyć bez lokaja lub starej ciotki przyzwoitki. Chyba moje wiadomości są nieaktualne.

Rezultatem tych konfidencjonalnych zwierzeń i wzajemnego zbliżenia była decyzja Tuppence ustanowienia „kwatery głównej” w hotelu Ritz, a to w celu, jak się wyraziła, pozostawania w kontakcie z jedynym żyjącym krewnym Jane Finn.

— Jeżeli tak ustawimy sprawy, nikt nie będzie mógł zakwestionować hotelowych rachunków — oświadczyła Tommy’emu.

I rzeczywiście nikt nie zaprotestował. Po zainstalowaniu się następnego poranka w hotelu Tuppence natychmiast rzuciła hasło:

— Do pracy!

Na te słowa pan Beresford odłożył dziennik „Daily Mail”, którym był pochłonięty, i z nadmiernym entuzjazmem zaklaskał. Wspólniczka bardzo grzecznie go poprosiła, by przestał się wygłupiać.

— Miejże litość, Tommy, przecież za te pieniądze coś musimy zrobić! Chyba to rozumiesz?

— Niestety masz rację. — Tommy głęboko westchnął. — Ja też uważam, że najprzypoitozszy nawet rząd nie będzie nam fundował pobytu w ekskluzywnym hotelu za ziewanie.

— Więc tak jak powiedziałam, musimy coś zrobić!

— Rób! — zgodził się Tommy, biorąc ponownie do ręki gazetę. — Nie mam nic przeciwko temu.

— Bo wiesz — ciągnęła niezrażona Tuppence — dużo myślałam...

To zwierzenie wywołało następne brawa.

— Siedzisz sobie i żartujesz. Może dla odmiany poruszyłbyś mózgownicą, bo ci inaczey szare komórki uschną...!

— Pamiętaj o związkach zawodowych, droga Tuppence. Moje związki zawodowe nie pozwalają pracować przed jedenastą!

— Czy chcesz, żebym w ciebie rzuciła czymś ciężkim? Musimy bezzwłocznie opracować plan działania.

— Świetny pomysł!

— No to opracujmy!

Tommy z rezygnacją odłożył gazetę.

— Jest coś zniewalającego w prostocie twojego myślenia, Tuppence. To chyba objaw geniuszu, przed którym chylę czoło. Pilnie słucham. Zaczynaj!

— Pierwsze pytanie: jakie mamy punkty zaczepienia?

— Nie mamy absolutnie nic — odparł Tommy Beresford wesolutko.

— Otóż nie masz racji! — Tuppence pogroziła mu palcem. — Są dwa podstawowe punkty zaczepienia...

— Mianowicie jakie?

— Po pierwsze, znamy jednego członka gangu.

— Whittingtona?

— Tak. Rozpoznam go natychmiast.

— Hmm! — Tommy się zamyślił. — Nie nazwałbym tego punktem zaczepienia. Jak się możesz o to zaczepić, skoro nie wiesz, gdzie on jest i gdzie go szukać. Szansę przypadkowego spotkania wynoszą jeden do tysiąca. I to przy dużym szczęściu.

— Wcale tak nie jest. Zauważyłam, że kiedy raz zaczynają występować zbiegi okoliczności, to trwają nieprzerwanie. Musi to być jakieś naturalne prawo przyrody czy coś takiego, czego jeszcze w pełni nie zrozumieliśmy. Ale zgadzam się, że na tym nie można polegać. W każdym razie nie wyłącznie. Są jednak w Londynie miejsca, gdzie wcześniej czy później dosłownie każdy musi się zjawić. Na przykład Picadilly Circus. Mam taki pomysł, żeby tam jeździć co rano i stać na rogu, sprzedając na przykład narodowe flagi. Wiesz, takie miniatutki.

— A posiłki? — spytał Tommy.

— Typowo po męsku! Czy posiłki są tu w ogóle ważne?

— Dobrze ci mówić zaraz po obfitym śniadaniu. Tak przy okazji: strasznie się obzerałaś! Ależ ty masz apetyt! A teraz nagle, zamiast przedpołudniowej herbatki, chcesz sprzedawać flagi. Nie, ten cały twój pomysł zupełnie mi się nie podoba. Skąd wiesz, że Whittington jest w ogóle w Londynie?

— Może i masz rację. Ale drugi punkt zaczepienia jest bardziej obiecujący.

— Zamieniam się w słuch.

— Mam niezbyt wiele... Tylko imię. Rita! Whittington wymienił je w rozmowie ze mną.

— Czy planujesz kolejne ogłoszenie: „Poszukujemy przestępczyni imieniem Rita”?

— Nie, natomiast proponuję logiczną analizę. Wiemy, że ten Danvers był śledzony, tak? Osoba, która go śledziła, była raczej kobietą niż mężczyzną...

— Niby dlaczego?

— Jestem przekonana, że to musiała być kobieta, i na dodatek ładna.

— Dobrze, chylę głowę przed twoją logiką.

— Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że osoba, która śledziła Danversa, uratowała się.

— A skąd ten wniosek?

— Bo gdyby zginęła, to jak oni by się dowiedzieli, że Jane Finn otrzymała dokument?

— Święta prawda, proszę dalej, Sherlocku!

— Istnieje prawdopodobieństwo, tylko prawdopodobieństwo, że kobieta śledząca Danversa miała na imię Rita.

— No, a jeśli tak właśnie było?

— Musimy zacząć węszyć wśród uratowanych rozbitków z „Lusitanii”, aż ją odnajdziemy.

— Przede wszystkim trzeba by przejrzeć listę pasażerów.

— Już ją mam. Wypisałam długą listę pytań do pana Car—tera i otrzymałam dziś rano odpowiedź. Między innymi załączył pełną listę osób uratowanych z „Lusitanii”. No i co, mądra jest ta mała Tuppence?

— Niegłupia. Piątka za zmyślność, dwójka ze skromności. No, ale czy jest tam jakaś Rita?

— Ba, kiedy nie wiem!

— Co to znaczy?

— Spójrz!

Oboje pochyliłi się nad listą. W większości wypadków przed nazwiskiem widniało słowo „pani” lub „panna”. Tylko niewielu nazwiskom towarzyszyło imię.

— To nam komplikuje sprawę — stwierdził Tommy ponuro.

— Czym się przejmuje? Po prostu będziemy musieli się nad tym trochę pomęczyć. — Tuppence wzruszyła ramionami. — Zaczniemy od okręgu londyńskiego. Wynotuj wszystkie adresy kobiet mieszkających w Londynie lub w okolicy, a ja przez ten czas włożę kapelusz.

Po pięciu minutach oboje wyszli na Picadilly i wkrótce już taksówka wiozła ich w kierunku Laurowego Zakątka przy Glendower Road, w północnej części Londynu, do rezydencji pani Edgarowej Keith, pierwszej na sporządzonej przez Tommy'ego liście siedmiu dam.

„Rezydencja” okazała się starym domiszczem w głębi zapuszczonego pseudoogródka. Ruinę przesłaniało kilka smutnych krzaków. Tommy zapłacił za taksówkę i podprowadził Tuppence pod osadzony we wgłębieniu muru przycisk dzwonka. Gdy dziewczyna wyciągnęła rękę, powstrzymał ją.

— Co masz zamiar powiedzieć?

— Co ja mam zamiar powiedzieć? No po prostu powiem... O Boże! Sama nie wiem. Bardzo niezręczna sytuacja...

— Tak też myślałem! — powiedział Tommy z satysfakcją. — Typowo po babsku! Te kobiety zupełnie nie umieją myśleć! Puść mnie, zaraz zobaczysz, jak łatwo z podobnym drobiazgiem radzą sobie zwykli mężczyźni. — Nacisnął dzwonek.

Drzwi otworzyła im niechlujnie wyglądająca służąca o przeraźliwie brudnej twarzy i parze dziwnie nie pasujących do niej oczu.

Tommy wyjął notes i ołówek.

— Dzień dobry! — powiedział wesoło urzędowym tonem. — Jesteśmy z biura wyborczego dzielnicy Hampstead. Tu mieszka pani Edgarowa Keith, tak?

— Tak — odparła służąca.

— Jakie imiona? — spytał z ołówkiem nad kartką notesu.

— Niby pani Keith? Eleanor Jane.

— E-le-a-nor — zapisał Tommy. — Synowie i córki powyżej lat dwudziestu jeden?

— Nie ma.

— Dziękuję, to wszystko — odparł Tommy, zatraskując notes. — Do widzenia.

Służąca po raz pierwszy odezwała się nie pytana.

— Bo ja myślałam, że państwo w sprawie gazu — stwierdziła i zamknęła drzwi.

— I widzisz, Tuppence droga! Dziecinnie łatwe dla umysłu męskiego.

— Przyznaję, że przynajmniej raz zupełnie dobrze ci się udało. Nigdy bym na to nie wpadła.

— Wiem, że byłem genialny. To samo możemy powtarzać z pozostałymi.

Gdy nadeszła pora lunchu młodzi poszli na stek z frytkami. Restauracyjka wyglądała obskurnie, ale jedzenie podawano dobre. Mieli już za sobą jedną Gladys Mary i jedną Marjorie oraz perypetie w związku ze zmianą adresu kolejnej z osób. Przy okazji wysłuchali też płomiennej wypowiedzi pewnej amerykańskiej damy na cześć sufrażystek. Dama miała na imię Sadie, więc została skreślona.

— Aaa! — wyraził ulgę Tommy po wypiciu duszkiem pół kufła piwa. — Czuję się znacznie lepiej. Kto następny?

Z leżącego między nimi notesu z listą nazwisk wyczytali, że pozostały im jeszcze pani Vandemeyer, zamieszkała przy 20 South Audley Mansions, a potem panna Wheeler, którą należało odwiedzić na 43 Clapington Road w dzielnicy Battersea.

— Co do dia...? — zaczął Tommy zdumiony. — Sza!

Na schodach pojawiło się dwóch mężczyzn. Spokojnym krokiem poszli do wyjścia i po chwili zniknęli. Tuppence zacisnęła mocno dłoń na ramieniu Tommy'ego.

— Szybko! Idź za nimi! Ja nie mogę ryzykować, bo on mnie rozpozna. Nie wiem, kim jest ten drugi facet, ale grubas to Whittington.

## DOM W SOHO

Whittington i jego towarzysz szli szybkim krokiem. Tommy ruszył za nimi bez zwłoki i wychodząc z budynku, zdołał jeszcze dostrzec, że obaj mężczyźni skręcają w boczną ulicę. Puścił się pędem i kiedy dobiegł do rogu, znalazł się już znacznie bliżej śledzonych. Wąskie i krótkie uliczki dzielnicy Mayfair o tej porze były prawie puste, więc Tommy postanowił zanadto się nie zbliżać.

Siedzenie kogoś było dla Tommy'ego zupełną nowością, a „technikę” tej czynności znał tylko z lektury powieści kryminalnych. Już po paru minutach stwierdził, że literackie przykłady nie oddają wszystkich trudności, jakie stwarza prawdziwe życie. Co by na przykład zrobił, gdyby dwaj panowie nagle zatrzymali jadącą taksówkę? Detektyw powieściowy zatrzymuje zaraz następną i obiecuje kierowcy złotego suwerena. To całkiem proste, prawda? Natomiast w konkretnym wypadku Tommy był gotów założyć się o powieściowego suwerena, że drugiej taksówki w razie potrzeby nie znalazłby. Trzeba by więc biec za tą pierwszą. Ale jaki los spotkałby młodego człowieka, który z wywalonym ozorem biegnie londyńskimi ulicami? Na głównej arterii mógłby przez chwilę udawać, że goni autobus albo dobiega do przystanku. Natomiast w tej ekskluzywnej dzielnicy pierwszy z brzegu policjant kazałby mu stanąć i zażądałby wyjaśnień.

I właśnie gdy o tym myślał, wyjechała zza rogu wolna taksówka. Tommy wstrzymał oddech. Czy tamci zatrzymają pojazd?

Nie! Odetchnął z ulgą. Mężczyźni szli na skrót, zmierzając najwidoczniej w kierunku Oxford Street. Gdy wreszcie do niej dotarli, poszli w kierunku wschodnim, a Tommy postanowił nieco przyspieszyć i zbliżyć się do nich, po pierwsze po to, aby nie stracić ich z oczu na dość zatłoczonym chodniku, a po drugie dlatego, że już się nie obawiał, iż będzie dostrzeżony. Liczył też na to, że idąc blisko za nimi, pochwyti coś z rozmowy obu panów. Niestety to ostatnie nie powiodło się, wszystkie słowa dość cichej rozmowy pochłaniał uliczny hałas.

Tuż przed stacją metra przy Bond Street mężczyźni przeszli przez jezdnię na drugą stronę. Tommy cały czas deptał im po piętach. Mężczyźni weszli do wielopiętrowego domu restauracyjnego Lyonsa i w sali na parterze zajęli mały stolik pod oknem. Tommy usiadł przy sąsiednim stoliku tuż za plecami Whittingtona, tyłem do niego, a to na wypadek, gdyby Whittington zaczął się rozglądać. Mógłby przecież poznać Tommy'ego. Kto wie? Po chwili Tommy zmienił jednak nieco pozycję, by przynajmniej obserwować drugiego mężczyznę. Blondyn o nieprzyjemnej bladej twarzy. Na pewno nie Anglik. Rosjanin albo Polak! Mógł mieć około pięćdziesięciu lat. Małe chytne oczka o rozbieganym spojrzeniu. Mówił coś do Whittingtona, pochylając się do przodu.

Ponieważ Tommy już przedtem solidnie się najadł, teraz ograniczył się do zapiekanki i filiżanki kawy. W tym samym czasie Whittington zamówił dla siebie i swego towarzysza wcale obfity posiłek, a kiedy kelnerka przyjęła zamówienie i odeszła, przysunął krzesło bliżej stolika i półgłosem zaczął coś perswadować siedzącemu z nim mężczyźnie. Tommy czasami wyłapywał jakieś słowo i zorientował się, że Whittington wydaje serię poleceń, z którymi jego rozmówca nie zawsze się zgadza. Jak wynikało z rozmowy, człowiek ten miał na imię Borys.

Parokrotnie też padło słowo „Irlandia” oraz „propaganda”, natomiast żaden z rozmówców nie wymówił nazwiska Jane Finn. W pewnej chwili gwar w sali restauracyjnej jakby przycichł i wtedy Tommy usłyszał parę zdań: „Ale ty nie znasz Flossie! Ona jest bezkonkurencyjna. Arcybiskup był gotów przysiąc, że to jego własna matka. Potrafi doskonale dobrać głos, a to jest przecież najważniejsze”.



Tommy nie usłyszał odpowiedzi Borysa, natomiast Whittington jego reakcję skwitował słowami: „Oczywiście, że jedynie w ostateczności!”.

Dalej Tommy zgubił już wątek. Po jakimś czasie rozmowa znowu stała się bardziej zrozumiała, może dlatego, że obaj rozmówcy podnieśli nieco głosy, a może też Tommy lepiej się skoncentrował. Tak czy inaczej słowa dochodziły wyraźniej, a dwa z nich wręcz zelektryzowały Tommy’ego. Nieznany mężczyzna bowiem w pewnej chwili zapytał: „Pan Brown?” Whittington coś na to mruknął, a tamten się roześmiał.

— Dlaczegoż nie, mój przyjacielu? — powiedział. — Jest to nazwisko bardzo szacowne, a poza tym niesłychanie rozpowszechnione. Chyba właśnie dlatego je wybrał. Bardzo bym chciał spotkać naszego pana Browna.

— Kto wie, czyś go już nie spotkał — odparł cierpko pan Whittington.

— Głodne gadki! — padło w odpowiedzi. — Historyjki dla grzecznych dzieci i dla policji. A wiesz, co ja sobie czasami myślę? Że on w ogóle nie istnieje i że go wymyślili członkowie Pierwszego Kręgu, żeby trzymać nas mocniej w garści.

— Niekoniecznie...

— No bo pomyśl... jak to niby możliwe, że on jest zawsze z nami czy między nami, a zna go tylko paru wybrańców? To bardzo trudny do utrzymania sekret! Chociaż z drugiej strony sam pomysł jest dobry... Nigdy nie będziemy do końca pewni... Spotykamy się... podajemy sobie ręce... a jeden z nas jest panem Brownem. Który? Rozkazuje, a jednocześnie komuś służy, u kogoś pracuje... Między nami, wśród nas... i nikt nie wie, który to... — Rosjanin Borys (bo chyba był to jednak Rosjanin) przerwał swoje dywagacje i spojrzał na zegarek.

— Słusznie — odezwał się Whittington. — Powinniśmy już iść. — Wezwał kelnerkę i poprosił o rachunek.

To samo uczynił Tommy, po czym znowu ruszył za mężczyznami.

Whittington stanął na skraju chodnika i zatrzymał taksówkę, każąc się wieźć w kierunku Waterloo. Na Oxford Street pełno było krążących taksówek i ledwo ci dwaj odjechali, przy chodniku stanął następny pojazd zatrzymany przez Tommy’ego.

— Niech pan jedzie za tamtą taksówką i proszę jej nie zgubić — rozkazał Tommy.

Dużo starszy od niego kierowca nie okazał najmniejszego podniecenia czy zainteresowania. W czasie drogi nic się nie wydarzyło, wkrótce obie taksówki zatrzymały się, jedna prawie za drugą, przy peronie dworca Waterloo. Tommy stał tuż za Whittingtonem w kolejce do kasy i podobnie jak on wykupił bilet pierwszej klasy do Bournemouth.

Gdy Whittington odszedł od kasy, stojący obok Borys, wskazując dworcowy zegar, zauważył:

— Masz jeszcze dużo czasu. Prawie pół godziny. Uwaga Borysa naprowadziła Tommy’ego na inne tory myślenia. Było jasne, że Rosjanin zostaje w Londynie, a Whittington udaje się do Bournemouth sam. Powstawał problem, za którym z dwu mężczyzn należało teraz iść. Za dwoma niepodobna, chyba że... Zegar dworcowy wskazywał trzecią dziesięć po południu, a z tablicy odjazdów wynikało, że pociąg do Bournemouth odjeżdża o trzeciej trzydzieści. Whittington i Borys spacerowali spokojnie po peronie. Tommy rzucił na nich krótkie spojrzenie i pośpieszył w kierunku kabin telefonicznych. Nie tracił czasu na szukanie Tuppence, która bez wątplenia znajdowała się jeszcze na mieście. Miał przecież w zapasie jeszcze jednego sojusznika! Zadzwoił do hotelu Ritz i poprosił o pana Juliusa Hersheimera. Serce mu biło: żeby tylko młody Amerykanin był w pokoju! Po serii trzasków i przełączeń usłyszał słowo „halo” wymówione z typowo amerykańskim akcentem.

— Hersheimer? Tu Beresford. Jestem na dworcu Waterloo. Śledzę Whittingtona i drugiego mężczyznę. Nie ma czasu na wyjaśnienia. Whittington odjeżdża do Bournemouth o trzeciej trzydzieści. Zdaży pan?

— Oczywiście. Lecę.

Tommy odłożył słuchawkę z uczuciem ulgi. Jego uznanie dla Hersheimmera wzrosło. Nie miał wątpliwości, że Amerykanin zdąży.

Odnalazł Whittingtona i Borysa tam, gdzie ich pozostawił. Byle tylko Borys pozostał ze swoim towarzyszem do chwili odjazdu pociągu. Tommy w zamyśleniu sięgnął do kieszeni i wymacał znajdujące się w niej monety. Zostało mu zaledwie kilka szylingów. Mimo *carte blanche* na wszelkie wydatki Tommy jeszcze się nie przyzwyczaił do zabierania większych sum. Teraz, po zapłaceniu biletu pierwszej klasy do Bournemouth, kieszeń świeciła pustką! Jedyną nadzieją, że Julius Hersheimer będzie miał przy sobie więcej pieniędzy.

Tymczasem upływały minuty: trzecia piętnaście, trzecia dwadzieścia, dwadzieścia pięć, za minutę wpół do... A jeśli Hersheimer nie zdąży? Konduktorzy zatrzaskiwali drzwi. Tommy był bliski rozpacz. Nagle poczuł rękę na swoim ramieniu.

— Jestem, chłopie! Wasz angielski system regulacji ruchu ulicznego jest do bani. Pokaż no mi tych facetów.

— To jest Whittington, ten, który właśnie wchodzi do wagonu. Drugi to cudzoziemiec, z którym Whittington konferował.

— Dobra! Który jest mój?

— Ma pan przy sobie pieniądze? — spytał Tommy. Hersheimer potrząsnął przecząco głową i Tommy stracił wszelkie nadzieje.

— Najwyżej czterysta dolarów — powiedział Amerykanin głosem pełnym żalu.

Tommy odetchnął.

— O Boże, wy milionerzy! Mówimy zupełnie innym językiem. Wobec tego pan jedzie! Proszę, bilet i szybko do pociągu.

— Jadę z braciszkiem Whittingtonem! Hurra! — Amerykanin wskoczył do wagonu w chwili, gdy pociąg już ruszał. — Do zobaczenia!

Pociąg wytoczył się ze stacji. Tommy głęboko wciągnął powietrze. Peronem szedł w jego kierunku Borys. Tommy obrócił się do niego plecami, pozwolił się wyprzedzić i ruszył jego śladem.

Ze stacji Waterloo Rosjanin pojechał metrem na Picadilly Circus. Wyszedł na plac i ruszył w głąb Shaftesbury Avenue, skręcając w jedną z bocznych uliczek prowadzących do labiryntu brudnych zaułków Soho. Tommy szedł za nim w rozsądnej odległości.

Borys wyszedł na mały placik obudowany obskurnymi domami. Panowała tu zupełna martwota i królował nieprawdopodobny brud. Dokoła nie widać było żywej duszy. Nie jeździły tu również żadne pojazdy. Borys rozejrzał się dokoła, ale Tommy zdążył uskoczyć w jakąś bramę. Jego wyobraźnia, rozbudzona naiwną przezornością Rosjanina, zaczęła pracować. Ze swojego miejsca w bramie widział, jak Borys wchodzi po schodkach jakiegoś domu bliskiego całkowitej ruiny i mocno wali w drzwi. Pukanie to miało charakter kodowego sygnału. Drzwi się uchyliły, Borys coś powiedział i wszedł. Drzwi natychmiast się za nim zamknęły.

I wtedy właśnie Tommy stracił chyba rozum. Każdy rozsądny człowiek w takiej sytuacji pozostałby na miejscu, czekając cierpliwie, aż śledzony przez niego osobnik pokaże się z powrotem na ulicy. Natomiast to, co zrobił Tommy, było sprzeczne zarówno z logiką, jak i z dotychczas okazywanym przez niego rozsądkiem. Po prostu coś się w nim nagle odezwało. Bez zastanowienia wyszedł z bramy, wszedł po schodkach i zapukał do drzwi naśladując wcale dobrze kod, jakim posłużył się Borys.

Drzwi otworzyły się równie szybko jak poprzednio. Pojawił się w nich mężczyzna o twarzy opryszka i warknął:

— Co jest?

W tym momencie mózg Tommy'ego zaczął ponownie funkcjonować. Chłopak zdał sobie sprawę, że popełnił szaleństwo. Nie mógł sobie jednak pozwolić na wahanie. Wypowiedział pierwsze słowa, jakie mu przyszły do głowy:

— Pan Brown?

Ze zdumieniem stwierdził, że opryszek ustąpił na bok, wskazując na korytarz.

— Pierwsze piętro — powiedział. — Drugie drzwi na lewo.

## PRZYGODA TOMMY'EGO

Choć zaskoczony słowami mężczyzny, Tommy ani chwilę się nie wahał. Jeśli ta szaleńcza bezczelność zaprowadziła go już tak daleko, to być może zaprowadzi jeszcze dalej. Spokojnie wszedł do budynku i ruszył rozchwierutanyymi schodami na górę. Dokoła panował nieopisany brud. Spłwiała tapeta całymi płatami odchodziła od ściany. Wszędzie zwisały festony z pajęczyny i kurzu.

Tommy wchodził powoli. Nim doszedł do zakrętu schodów, mężczyzna, który go wpuścił, poczłapał do jakiegoś pokoju i zamknął za sobą drzwi. Chwilowo więc nikt nie miał jeszcze żadnych podejrzeń. Wynikało z tego, że było rzeczą zupełnie normalną pojawianie się tu ludzi pytających o „pana Browna”.

Tommy zatrzymał się u szczytu schodów, aby zastanowić się nad następnym posunięciem. Przed sobą miał wąski ciemny korytarzyk z drzwiami po obu stronach. Zza drzwi po lewej stronie dochodził szmer głosów. To był właśnie pokój, do którego go skierowano. W tej jednak chwili bardziej zainteresowała go mała wnęka po prawej, częściowo przesłonięta podartą aksamitną kotarą. Wnęka była usytuowana dokładnie na wprost drzwi po lewej i stojąc w niej, można było dobrze widzieć górną część klatki schodowej. Stanowiła doskonałą kryjówkę nawet dla dwu osób i bardzo kusila Tommy'ego. Zaczął się zastanawiać, analizując sytuację powoli i metodycznie, jakby chciał zrekompensować poprzednią nieprzemyślaną decyzję zapukania do drzwi domu. Doszedł do wniosku, że pytanie przy drzwiach o „pana Browna” nie było żądaniem widzenia się z konkretną osobą, ale czymś w rodzaju hasła zezwalającego na wstęp. Zupełnie przypadkowo na to hasło trafił. Szczęście go nie opuszczało. To szczęście, w które tak wierzył pan Carter. Jak dotąd nie wzbudził niczyich podejrzeń, musiał się jednak szybko zdecydować na następny ruch.

Powiedzmy, że bezczelnie wejdzie do pokoju po lewej? Czy wystarczy to, że jest osobą już wpuszczoną do budynku? Być może za tymi drzwiami wymagany jest jakiś kolejny znak rozpoznawczy. Albo jakiś dowód tożsamości. Albo ludzie w tym pokoju wszyscy się znają. Tak, oczywiście! Ów odźwierny na dole może nie znać przychodzących, ale w pokoju na górze sprawa na pewno przedstawiała się inaczej. Dotychczas szczęście kapitalnie dopisywało, nie można jednak nadto mu ufać. Wejście do pokoju byłoby kolosalnym ryzykiem! Odgrywanie roli osoby wtajemniczonej nie miało najmniejszego sensu. Wcześniej czy później musiałby się zdradzić, narażając całą misję i siebie samego.

Usłyszał z dołu pukanie do drzwi. Szybko podjął decyzję i wśliznął się za zasłonę, szczelniej ją za sobą zaciągając, by nie można go było dostrzec ani od strony schodów, ani od drzwi. On sam natomiast mógł wszystko doskonale obserwować, gdyż w materiale były dziury i rozdarcia. Postanowił na razie się przyglądać, a potem, być może, dołączyć do zebranych, postępując dokładnie tak, jak nowo przybyły mężczyzna.

Człowiek ów, absolutnie nie znany Tommy'emu z wyglądu, wchodził na schody jakby chyłkiem. Należał chyba do najgorszych szumowin, miał bowiem twarz opryszka i budził zarazem lęk i odrazę. Tommy nie stykał się dotąd z tego typu ludźmi, ale pierwszy z brzegu policjant z pewnością stwierdziłby od razu co to za ziółko.

Mężczyzna minął wnękę, w której stał Tommy. Oddychał ciężko i gdy stanął przed zamkniętymi drzwiami naprzeciw, zapukał podobnie, jak to uczynił przy wejściu do domu. Ktoś krzyknął coś z pokoju. Mężczyzna otworzył drzwi i wtedy Tommy zdążył zauważyć, że przy długim stole siedziało kilka osób wpatrzonych w człowieka zajmującego miejsce jakby przydzielone. Miał on krótko przycięte włosy i brodę, jaką noszą oficerowie marynarki. Wyglądał na wysokiego. Nim za nowo przybyłym zamknęły się drzwi, Tommy zobaczył, że ów mężczyzna podniósł wzrok na wchodzącego i z niesłychanie precyzyjnym, zwracającym uwagę akcentem zapytał:

- Wasz numer, towarzyszu?
- Czternaście, szefie!
- Zgadza się.

I drzwi się zamknęły.

„Jeśli ten z brodą nie jest Niemcem, to ja jestem Holendrem” — pomyślał Tommy. „Widać tę niemiecką dokładność i organizację! Całe szczęście, że tam nie wszedłem. Od razu by mnie zdemaskował! Najlepiej zostać tu, gdzie jestem. Oo! Jeszcze jeden”.

Kolejny gość należał do zupełnie innego gatunku ludzi. Tommy natychmiast rozpoznał w nim nacjonalistę irlandzkiego. Ho, ho, organizacja pana Browna obejmowała szeroki wachlarz ludzi! Uliczny rzeźmieszek, dobrze wychowany irlandzki dżentelmen, bladolicy Rosjanin i emanujący dyscypliną niemiecki mistrz ceremonii. Dziwna i groźna zbieranina! Kim był człowiek, który zza kulis pociągał za wszystkie sznurki?

Wejście do pokoju kolejnego przybyłego odbyło się w ten sam sposób: pukanie, wołanie, pytanie o numer i odpowiedź, że się zgadza.

Nie minęło wiele czasu, a pojawili się dwaj nowi ludzie, pukając jeden po drugim. Pierwszy, także zupełnie obcy Tommy’emu, ale dający się rozpoznać jako drobny urzędnik z bankowej dzielnicy — cichy, średnio inteligentny, raczej skromnie ubrany. Drugi natomiast wyraźnie należał do klasy robotniczej, a jego twarz była Tommy’emu znajoma.

Po trzech minutach przyszedł na zebranie kolejny uczestnik, mężczyzna o wyglądzie przywódcy, nieskazitelnie ubrany i najwidoczniej wysoko urodzony. I tym razem także twarz wydała się Tommy’emu znajoma, chociaż nie potrafiłby w tej chwili powiedzieć, skąd ją zna.

Nastąpiła teraz długa przerwa. Nikt nie pukał do drzwi, więc Tommy doszedł do wniosku, że przyszli już wszyscy uczestnicy zebrania. Zaczął ostrożnie wychodzić ze swej kryjówki, gdy znów usłyszał pukanie na dole. Szybko powrócił na swoje miejsce.

Ostatni przybysz wszedł na piętro tak cichutko, że Tommy zorientował się dopiero w ostatniej chwili, iż już jest tuż koło jego wnęki. Był to drobny, bardzo blady mężczyzna o kobiecym wyglądzie. Specyficzny układ kości policzkowych wskazywał na słowiańskie pochodzenie. Choć nic nie określało jego narodowości, Tommy pomyślał, że to najprawdopodobniej Rosjanin. Gdy przechodził koło kotary, spojrzał na nią tak palącym wzrokiem, że chłopak aż się wzdrygnął. Tommy nie kierował się przecuciami bardziej od przeciętnego Anglika, ale tym razem był gotów przysiąc, że z tego człowieka po drugiej stronie zasłony emanuje jakaś potężna siła. No i ten wzrok, który przypominał spojrzenie jadowitego węża!

W chwilę potem miał okazję potwierdzić słuszność swoich wniosków.

Mężczyzna zapukał, wszedł, ale tym razem powitanie było bardzo odmienne. Brodaty Niemiec i cała reszta poderwali się prawie na baczność. Niemiec podszedł, podał rękę przybyszowi i stuknął przy tym obcasami.

— Jesteśmy zaszczyceni! — powiedział. — Jesteśmy bardzo zaszczyceni. A już się obawiałem, że nie będzie to możliwe!

— Wynikły pewne trudności — odparł mężczyzna cichym, lekko świszczącym głosem. — I następnym razem już to nie będzie możliwe. To jedno spotkanie jest rzeczywiście konieczne, abym mógł podjąć decyzję. Nie mogę uczynić nic bez pana Browna. Czy on tu jest?

Nastąpiła wyraźna zmiana w zachowaniu Niemca. Odpowiedział z lekkim wahaniem:

— Otrzymaliśmy od niego wiadomość. Osobiście nie może przybyć... — przerwał, pozostawiając wrażenie, że nie dokończył zdania.

Nikły uśmiech pojawił się na twarzy przybysza.

— Aha, rozumiem. Słyszałem o tej jego metodzie. Pracuje w ukryciu i nikomu nie ufa. Ale być może znajduje się wśród nas... — Raz jeszcze przyjrzał się uważnie zebranym. Wszyscy zaczęli obrzucać się podejrzliwymi spojrzeniami.

Domniemany Rosjanin potarł policzek.

— Niech więc tak będzie. Zaczynamy.

Niemiec wziął się wyraźnie w garść. Wskazał nowo przybyłemu swoje miejsce u szczytu stołu. Rosjanin się wymawiał, ale Niemiec nalegał.

— Jest to jedyne właściwe miejsce dla... Numeru Pierwszego. Niech Numer Czternasty zamknie drzwi.

Tommy tkwił w samotności ukryty za kotarą. Dobiały go jedynie niewyraźne szmery. Poczłł niepokój. Skrawki rozmów, jakie słyszał, pobudziły jego ciekawość i apetyt na więcej. Musi coś jeszcze usłyszeć. Ale jak?

Z parteru nie dochodził żaden odgłos. Było mało prawdopodobne, by człowiek pełniący funkcję odźwiernego przyszedł tu na górę. Po paru minutach Tommy wysunął głowę zza zasłony. Korytarzyk świecił pustką. Tommy pochylił się, zdjął buty i ustawił je w kącie za zasłoną. W skarpetkach cichutko wyszedł zza kotary, uklęknął pod zamkniętymi drzwiami i przyłożył ucho do szpary. Rozczarowany stwierdził, że słyszy niewiele więcej — pojedyncze słowa, i to tylko wówczas, gdy ktoś podnosił głos.

Popatrzył na klamkę u drzwi. A gdyby tak delikatnie, powolutku nacisnąć? Czy obecni w pokoju coś zauważą? Zdecydował, że może mu się udać, jeśli zrobi to bardzo ostrożnie. Wstrzymując oddech, rozpoczął operację — naciskał stopniowo klamkę... Jeszcze troszkę, no jeszcze! Co się dzieje? Dlaczego jeszcze nie...? Wreszcie wyczuł opór i znieruchomiał.

Przez parę minut tkwił bez ruchu, wreszcie wziął głęboki oddech i przyciągnął klamkę lekko ku sobie, a potem delikatnie ją odepchnął. Drzwi ani drgnęły. Był zaniepokojony. Jeśli pchnie mocniej, mogą zaskrzypieć. Wyczekał chwili, aż rozmowa w pokoju stała się głośniejsza, i pchnął jeszcze raz. Nic! Czyżby się zacięły? W desperacji pchnął z całej siły. Drzwi nie ustąpiły i dopiero wówczas zrozumiał: były zaryglowane od środka.

Ogarnęło go takie oburzenie, że zapominając, gdzie jest, mruknął:

— A to świństwo!

No cóż, trzeba się było pogodzić z sytuacją, a przede wszystkim przywrócić klamce jej pierwotne położenie. Droga powrotna powinna być równie powolna i ostrożna, tak żeby nikt z obecnych wewnątrz nic nie zauważył. Operacja się udała i z uczuciem ulgi Tommy wstał z kolan. Nie zamierzał tak łatwo zrezygnować.

Rozejrzał się po korytarzyku. Nieco dalej były drugie drzwi po lewej stronie. Podeszedł do nich na palcach i przez chwilę nasłuchiwał. Cisza. Nacisnął klamkę, pchnął drzwi. Ustąpiły. Wszedł do środka.

Była to pusta, nie zamieszkaana sypialnia. Jak wszystko w tym domu, meble się rozpadały, a z materaca na łóżku pozostały strzępy. Poza tym brud i pełno śmieci.

Znalazł tam jednak to, czego się spodziewał — drugie drzwi, właśnie do pokoju, w którym odbywała się konferencja pana Browna. Zamknął cichutko te, którymi wszedł, i ostrożnie zbliżył się do drugich, zaopatrzonych w zardzewiałą zasuwę. Widać było, że od dawna nikt tych drzwi nie otwierał. Tommy zaczął delikatnie majstrować, aż wreszcie udało mu się wyciągnąć cały rygiel. Przystąpił więc do kolejnej operacji „klamka”. Tym razem odniósł sukces: drzwi bezszelestnie się uchylily i przez powstałą szparę dochodziły już nie pojedyncze słowa, ale całe zdania. Na szczęście zgromadzeni w sąsiednim pokoju nawet przypadkiem nie mogliby nic dostrzec, gdyż drzwi przesłaniała aksamitna portiera.

Właśnie mówił Irlandczyk. Nietrudno było go poznać po akcencie.

— Wszystko to bardzo pięknie! Ale najważniejsze są pieniądze. Bez pieniędzy nie będzie rezultatów.

— A może pan zagwarantować rezultaty? — Ten głos należał chyba do Borysa.

— Za miesiąc, ale może to być wcześniej lub później, jak pan sobie życzy, gwarantuję taki terror w Irlandii, że zatrzęsie się w posadach brytyjskie imperium.

Nastąpiła chwila ciszy, po której rozległ się głos przybyłego na samym końcu Numeru Pierwszego:

— Doskonale! Pieniądze będą. Dopilnujesz tego, Borys!

— Przez amerykańskich Irlandczyków i jak zwykle przez pana Pottera? — zapytał Rosjanin.

— Chyba tak! — odezwał się zupełnie nowy głos o zamorskim akcencie. — Chociaż chciałbym skorzystać z okazji i powiadomić panów, że sytuacja nieco się skomplikowała. Zaczyna przeważać opinia, iż Irlandczycy powinni sami rozwiązać swój problem bez udziału Ameryki.

Tommy'emu wydawało się, że Borys wzrusza ramionami, udzielając odpowiedzi:

— Czy to ważne, skoro pieniądze tylko nominalnie pochodzą ze Stanów?

— Najpoważniejszy problem to dostarczenie i wyładunek broni i amunicji. Skoro bowiem otrzymamy pieniądze dzięki naszemu koledze... — odezwał się Irlandczyk.

Nowy głos, który Tommy przypisał wysokiemu eleganckiemu Brytyjczykowi o władczej postawie, którego twarz wydała mu się znajoma, stwierdził:

— Niechby pana usłyszeli teraz w Belfaście...

— Już dobrze, dobrze. Załatwione! Teraz sprawa pożyczki angielskiej gazecie. Wszystko uzgodnione, Borys? — to mówił Numer Jeden.

— Właściwie tak.

— Bardzo dobrze. W razie potrzeby Moskwa opublikuje oficjalne *dementi*.

Ciszę, która nastąpiła, przerwał Niemiec:

— Otrzymałem polecenie... od pana Browna, aby przekazać panom streszczenie sprawozdań z poszczególnych związków... Najbardziej zadowolający jest raport górników. Musimy nieco pohamować kolejarzy, gdyż mogą być kłopoty ze związkiem maszynistów...

Po tej wypowiedzi nastąpiła dłuższa cisza, podczas której słychać było tylko szelest przeglądanych papierów oraz pojedyncze słowa wyjaśnień ze strony Niemca. Wreszcie rozległo się bębnienie palcami w stół.

— Czy wyznaczono już datę, przyjacielu? — spytał Numer Pierwszy.

— Tak. Dwudziestego dziewiątego.

— Nie za wcześnie? — zaniepokoił się Rosjanin.

— Wiem, że wcześnie, ale nie za wcześnie. Tak ustalili przywódcy Partii Pracy i nie możemy się do tego zbyt mieszać. Oni muszą być przekonani, że to ich własna impreza.

Rosjanin cicho zachichotał bardzo rozbawiony.

— Racja, racja — zgodził się. — Nie byłoby wskazane, żeby się dowiedzieli, iż są tylko narzędziem w naszym ręku. To ucziwi ludzie, szanowani i dlatego dla nas tacy ważni. Jest rzeczą bardzo ciekawą, że rewolucji nie można robić bez uczciwych ludzi. Masy mają swój instynkt. — Zamilkł na dłuższą chwilę, a potem powtórzył: — Rewolucji nie można robić bez uczciwych ludzi. Ale bardzo szybko należy się ich pozbyć. — Jego głos zabrzmiał złowrogo.

— Teraz musimy pozbyć się przede wszystkim Clymesa

— odezwał się Niemiec. — Jest zbyt dociekliwy. Zajmie się tym Numer Czternasty.

— Tak jest, szefie! — odparł chrapliwie wyznaczony.

— A jeśli mnie złapią?

— Zapewnimy najlepszemu adwokata! — odparł spokojnie Niemiec. — Należy jednak pamiętać o rękawiczkach. Właśnie! Dostarczymy gumowe rękawiczki z odciskami palców znanego włamywacza. Nie masz się czego obawiać.

— Ja tam się nie boję, szefie. Wszystko dla dobra sprawy! Niech ulice spłyną krwią, jak to się mówi. — W jego głosie brzmiała tępa zaciętość. — Czasami to mi się śni, szefie, jak Boga kocham! A w rynsztokach pełno diamentów i pereł. Każdy może sobie wreszcie brać, ile chce!

Tommy usłyszał odsuwanie krzesła, po czym odezwał się Numer Pierwszy:

— A więc wszystko uzgodnione? Sukces zapewniony?

— Chyba tak... — odparł Niemiec jakby z lekkim wahaniem w głosie.

Numer Pierwszy natychmiast ostro zareagował:

— Co się stało? — Nic, ale...

— Ale co?

— Przywódcy związkowi... Jak sam pan powiedział, bez nich nic nie zrobimy. Jeśli oni nie ogłoszą strajku generalnego dwudziestego dziewiątego...

— Dlaczego mieliby nie ogłosić?

— Tak jak pan powiedział, to są uczciwi ludzie. I mimo naszych wysiłków, aby zdyskredytować rząd, wcale nie jestem taki pewien, że oni stracili do niego całe zaufanie. W głębi duszy może...

Rosjanin znowu zaczął kanonadę palcami po stole.

— Do rzeczy, przyjacielu! Powiedziano mi, że istnieje dokument, którego publikacja zapewni nam sukces.

— Tak jest. Gdybyśmy przedstawili ten dokument przywódcom związkowym, problemy w jednej chwili przestałyby istnieć. Wszyscy jak jeden mąż opowiedzieliby się za rewolucją.

— No więc, czego wam jeszcze potrzeba?

— Oryginału dokumentu — powiedział bez owijania w bawełnę Niemiec.

— Aaa! Dokumentu więc nie macie? Ale wiecie, gdzie jest?

— Też nie.

— Kto wie?

— Jedna osoba. A i tego nie jesteśmy pewni.

— Co to za osoba?

— Dziewczyna.

Tommy wstrzymał oddech.

— Dziewczyna? — spytał Rosjanin z pogardą w głosie. — I nie udało wam się zmusić jej do mówienia? W Rosji umiemy uczyć kobiety śpiewać na zawołanie...

— Sprawa jest nieco skomplikowana — odparł ponuro Niemiec.

— Dlaczego? — A po chwili ciszy zapytał jeszcze: — Gdzie teraz jest ta dziewczyna?

— Jest w...

Torrummy nic już więcej nie usłyszał. Cios w tył głowy sprawił, że otaczający go świat zamienił się w czarną nicość.



## TUPPENCE ZOSTAJE SŁUŻĄCĄ

Kiedy Tommy ruszył za dwoma mężczyznami, Tuppence jedynie siłą woli powstrzymała się od ruszenia jego śladem. Jak mogła, pocieszała się myślą, że wydarzenia całkowicie potwierdzają słuszność toku jej rozumowania. Jedno imię — Rita — pozwoliło Młodym Łowcom Przygód ponownie trafić na trop porywaczy Jane Finn. Obaj mężczyźni najprawdopodobniej schodzili właśnie z drugiego piętra.

Rodziło się pytanie, co dalej. Tuppence nie znosiła bezczynności. Tommy miał pełne ręce roboty, a skoro z nim nie poszła, trzeba było coś wymyślić. Wróciła do wielkiego holu, gdzie młody windziarz polerował mosiężne ozdoby, poświęcając temu całą swoją uwagę. Rzucił tylko krótkie spojrzenie na Tuppence. Jej świeża dziewczęca uroda i sposób bycia sprzyjały nawiązywaniu kontaktu z młodymi chłopakami. Pomyślała natychmiast, że warto by mieć sojusznika w bloku mieszkalnym, w którym przebywa wróg.

— Cześć, Williamie! — powiedziała, uśmiechając się najlepszego gatunku porannym uśmiechem. — Pięknie będzie się błyszczało, co?

— Mam na imię Albert, panienko — skorygował chłopak, także nie zapominając o uśmiechu.

— Albert? Ładne imię. — Z konspiratorską miną rozejrzała się dokoła. Miała nadzieję, że Albert rozpoznał tajemniczość spojrzenia. Pochyliła się nad nim i ścisząc głos, powiedziała: — Muszę z tobą porozmawiać, drogi Albercie!

Chłopiec przerwał pucowanie mosiądzu i szeroko otworzył usta.

— Spójrz! Wiesz, co to jest? — Dramatycznym gestem odsłoniła lewą połą płaszcza, pokazując emaliowany znaczek. Miała pewność, że Albert nie rozpozna blaszki, którą jej papa, archidiakon, ozdabiał piersi członkom miejscowej służby porządkowej powołanej do życia na początku wojny. Przed paroma dniami Tuppence potrzebowała szpilki do przypięcia kwiatka i dlatego znaczek znajdował się teraz w klapie. A że od razu zauważyła rożek jakiejś powieści kryminalnej wystający z kieszeni kurtki Alberta, postanowiła zapłodnić jego wyobraźnię szansą udziału w niecodziennych wydarzeniach. Chłopcu rozbłysły oczy. Rybka chwyciła przynętę!

— Amerykańskie Biuro Wywiadowcze! — szepnęła.

— O Boże! — wykrzyknął podniecony.

Tuppence skinęła porozumiewawczo głową. Albert aż się palił do współpracy.

— Wiesz już pewnie, kto mnie w tym domu interesuje? — spytała.

— Na pewno jeden z gości, którzy tu mieszkają — odparł inteligentnie.

Tuppence skinęła głową i kciukiem wskazała na piętro.

— Znasz tę spod dwudziestki? Vandemeyer? Yendemeyer, cha, cha!

— Oszustka? — spytał Albert.

— Oszustka? Można by tak powiedzieć. Ta kobieta to Krewka Rita. W Stanach ją tak nazywają.

— Krewka Rita! — powtórzył Albert w upojeniu. — O rany! Zupełnie jak w kinie!

Tuppence też lubiła chodzić do kina i musiała przyznać, że owszem, scena była jak z filmu.

— Annie zawsze mówiła, że coś z nią nie tak. — Kto to jest Annie?

— A służąca u tej, co to pani mówiła, Krewkiej Rity. Dziś odchodzi. Powtarzała mi kilka razy. Mówiła: „Słuchaj no, Albert, nie zdziwię się, jeśli któregoś dnia przyjdzie do niej policja”. Tak mówiła, słowo daję. Ale ładna babka, no nie?

— Trzeba to przyznać — zgodziła się Tuppence. — Przydaje się to jej w robocie. A nie widziałeś przypadkiem, czy nosi te szmaragdy?

— Szmaragdy? To takie zielone kamienie, co? Tuppence skinęła głową.

— Za te szmaragdy jej poszukujemy. A słyszałeś o starym Rysdale’u?

Albert pokręcił przecząco głową.

— Peter B. Rysdale, naftowy król?

— Może i coś czytałem.

— Te szmaragdy należały do niego. Najwspanialsza na świecie kolekcja szmaragdów. Warta milion dolarów.

— O rany! — wykrzyknął Albert w ekstazie. — Mówiłem, że zupełnie jak w kinie.

Tuppence była zachwycona swoim pomysłem i coraz lepiej się bawiła.

— Musimy to jeszcze jej udowodnić. Dlatego ją śledzimy. — Mrugnęła porozumiewawczo do Alberta. — Tym razem nam nie umknie.

Albert wydał kolejny okrzyk zachwyty.

— Pamiętaj tylko, synu, ani mru–mru! — odezwała się surowo Tuppence. — Może nie powinnam ci była tego wszystkiego mówić. — I dodała po chwili: — Ale my w Stanach od razu rozpoznajemy mądrych chłopców!

— Nie piszę nic nikomu! — zaczął ją gorąco zapewniać Albert. — Czy mogę pani w czymś pomóc? Mógłbym kogoś trochę pośledzić albo coś takiego.

Tuppence zdawała się rozważać przez chwilę tę propozycję, ale potem potrząsnęła głową.

— Chwilowo jeszcze nie, ale będę pamiętała o twojej ofercie. Powiedz coś o tej służącej, która odchodzi.

— Annie? Przegadła się zdrowo z tą całą Ritą. Powiedziała jej, że służąca dzisiaj to ktoś, kogo trzeba po ludzku traktować. Ta Rita nie znajdzie łatwo kogoś na jej miejsce po tym, co Annie o niej nagadała dookoła.

— Mówisz, że nie znajdzie łatwo? — Tuppence głęboko się zamyśliła. — A gdyby tak...?

— Wpadł jej do głowy pewien pomysł. Poklepała Alberta po ramieniu. — Posłuchaj, synu. Mam dla ciebie propozycję. A gdybyś ty jej powiedział, że masz kuzynkę albo że ktoś z twoich przyjaciół ma, co to szuka pracy służącej? Kapujesz?

— Jeszcze jak kapuję — odparł Albert. — Niech mi to pani zostawi, a ja już załatwię w trymiga.

— Ale z ciebie spryciarz! — pochwaliła go Tuppence. — I powiedz jeszcze, że ta młoda osoba może od razu przyjść do pracy. Dasz mi znać, kiedy załatwisz? Będę jutro rano koło jedenastej.

— A gdzie mam pani dać znać?

— Hotel Ritz. Nazwisko Cowley. Albert spojrzał na nią z podziwem.

— Dobrze płacą takim detektywom — skomentował.

— Płacą dobrze, zwłaszcza kiedy stary Rysdale buli za wszystko. Jak mi się dobrze uda, to i tobie skapnie.

I na tej obietnicy skończyła chwilowo rozmowę z nowym sojusznikiem. Wróciła szybko do Ritza i skreśliła kilka słów do pana Cartera. Gdy wysłała list, a Tommy jeszcze nie wrócił — nawiasem mówiąc, zdziwiłaby się, gdyby wrócił tak szybko — wybrała się na zakupy, które wraz z czasem wygospodarowanym na herbatę i kilka ciastek zajęły jej parę godzin, aż do szóstej po południu. Do hotelu wróciła zmęczona, ale zadowolona ze sprawunków. A była kolejno w sklepie z taną garderobą, w sklepach ze starzyzną i wreszcie u bardzo znanego fryzjera. W sypialni rozpakowała paczki, przebrała się i stanęła przed lustrem. Specjalnym ołówkiem zmieniła kształt brwi, co wraz z nową blond czupryną tak zmieniło jej wygląd, że była pewna, iż nawet Whittington, stanąwszy z nią oko w oko, nie rozpoznałby jej. Kiedy do butów włożyła wysokie korki, na włosy czepeczek, a całość uzupełniła fartuszką, będzie absolutnie nie do poznania. Ze szpitalnego doświadczenia wiedziała, że pacjenci rzadko poznają pielęgniarkę, która zdjęła swój służbowy ubiór i włożyła „cywilną” sukienkę.

— No, ujdzie! — powiedziała do swego odbicia w lustrze. — Wyglądasz jak urodzona służąca.

Podczas samotnej kolacji zaczęła odczuwać lekki niepokój z powodu nieobecności Tommy'ego. Juliusa także nie było, to jednak mogła sobie łatwiej wytłumaczyć. Jego ożywiona działalność w Londynie i poza Londynem była już znana Młodemu Łowcom Przygód. Wiedzieli, że Julius P. Hersheimer potrafiłby, nic nikomu nie mówiąc, wsiąść w pociąg i pojechać do Konstantynopola, jeśliby usłyszał, że tam akurat prowadzą ślady kuzynki. Ten młody Amerykanin zameczał wprost wielu szacownych przedstawicieli Scotland Yardu, domagając się energiczniejszych działań, zaś telefonistki w Admiralicji natychmiast poznawały jego charakterystyczny głos, gdy parokrotnie w ciągu dnia dzwonił po informacje. Ostatnio przez wiele godzin zameczał urzędników paryskiej prefektury policji, a gdy powrócił, postanowił rozpocząć poszukiwania w Irlandii, gdyż prawdopodobnie zmęczeni nim francuscy policjanci wskazali mu ten kierunek, chcąc go się pozbyć.

„No i pewnie pojechał do tej Irlandii” — pomyślała Tuppence. „Obaj chłopcy świetnie się gdzieś bawią, a ja tu się nudzę! A miałabym im tyle do opowiedzenia, wiadomości aż mnie rozsadzają i nie mam komu ich przekazać. Tommy mógł przecież wysłać telegram albo zadzwonić czy zostawić jakąś wiadomość w portierni. Gdzie on się zapodział? Chyba nie zgubił śladu, jak to się mówi. Aha, to mi coś przypomina...” — i na tych słowach panna Cowley skończyła skierowany do siebie monolog i wezwała hotelowego pikolaka.

Dziesięć minut później, paląc papierosa, wygodnie leżała na swoim łóżku i przeglądała przygody Barnaby William—sa, Chłopca Detektywa, oraz parę innych trzypensowych wiekopomnych dzieł z gatunku literatury zbrodni, które kupiła za pośrednictwem młodocianego funkcjonariusza hotelowego. Uważała, i chyba słusznie, że przed następną konferencją z windziarzem Albertem powinna się nieco doksztalczyć.

Poranna poczta przyniosła list od pana Cartera:

*Droga panno Tuppence!*

*Wystartowała Pani wspaniale, składam gratulacje. Niemniej jednak uważam za swój obowiązek raz jeszcze wspomnieć o ryzyku, jakie to za sobą pociąga, zwłaszcza jeśli zdecyduje się Pani na krok, jaki zapowiada. Proszę pamiętać, że ma Pani do czynienia z ludźmi bezwzględnyymi, nie znającymi słowa wyrozumiałość czy litość. Wydaje mi się, że nie docenia Pani w pełni groźącego jej niebezpieczeństwa. Po raz wtóry podkreślam, że nie będę mógł zapewnić Pani ochrony i opieki. Otrzymaliśmy od Pani niesłychanie cenne informacje i nikt nie będzie miał pretensji, jeśli teraz się Pani wycofa. Proszę to wszystko dobrze przemyśleć przed podjęciem ostatecznej decyzji.*

*Jeśli pomimo moich ostrzeżeń postanowi Pani zadanie kontynuować, to przygotowujemy wszystko zgodnie z życzeniem. A więc przez dwa lata pracowała pani u panny Dufferin, adres: parafia w Llanelly, Walia. Pani Vandemeyer może do niej napisać o referencji.*

*Chciałbym udzielić też kilku rad praktycznych. Zawsze należy opowiadać o sobie, trzymając się prawdy wszędzie tam, gdzie można. Zmniejsza to ryzyko potknięć. Radzę, aby pani przedstawiła się jako była pracowniczka pomocniczej służby szpitalnej kobiet. Tak jak to było naprawdę. A kiedy zlikwidowano po wojnie tymczasowe szpitale i zdemobilizowano pomocnicze pielęgniarki, zdecydowała się Pani na służbę domową. Dzięki temu będzie można usprawiedliwić Pani obycie i wysławianie się, które nie są typowe dla zwyczajnej służącej.*

*Bez względu na to, jaka będzie Pani decyzja, życzę wiele szczęścia.*

*Z poważaniem,  
Carter*

Nastrój Tuppence wyraźnie się polepszył. Na rady pana Cartera prawie nie zwróciła uwagi, a ostrzeżenia całkowicie pominęła. Była zbyt pewna swoich możliwości i szans, by zwracać uwagę na wydumane niebezpieczeństwo.

Z dużą niechęcią zrezygnowała z interesującego życiorysu, jaki już sobie naszkicowała. Chociaż była przekonana, iż potrafiłaby go uprawdopodobnić, miała jednak na tyle zdrowego rozsądku, by z tej jednej rady pana Cartera skorzystać.

Nadal nie było żadnej wiadomości od Tommy'ego i dopiero poranna poczta przyniosła niewiele mówiącą brudną kartę z nabazgranymi słowami: „Idzie dobrze”.

O dziesiątej trzydzieści Tuppence z dumą spoglądała na poobijany blaszany kuferek, zawierający cały dobytek potencjalnej służki. Ponieważ zamki kufierka były popsute, owiązała go artystycznie paroma sznurkami. Zadzwoiła na pikolaka i lekko się czerwieniąc, kazała znieść bagaż do taksówki. Pojechała na dworzec Paddington, gdzie oddała kufer do przechowania. Następnie z wypchaną torbą zamknęła się w damskiej toalecie, skąd po dziesięciu minutach wyszła kompletnie odmieniona. Podreptała na przystanek i wsiadła do autobusu.

Parę minut po jedenastej nowa Tuppence wkroczyła do holu rezydencji South Audley. Albert był na służbie, jeśli służbą można nazwać ciągłe patrzenie na drzwi wejściowe. W pierwszej chwili nie poznał Tuppence, a kiedy poznał, wyraził głośny zachwyt.

— Ale cacy stroik! Zupełnie pani odmieniona! Ale fajne!

— Bardzo się cieszę, że ci się podoba, Albercie — odparła skromnie Tuppence. — Ale przy okazji, czy jestem twoją kuzynką, czy nie?

— I pani głos jaki inny! — dalej zachwycił się Albert. — Taki, jakim powinno się mówić, a nie żaden tam niby to uczony akcent. Kuzynką — nie. Powiedziałem, że jeden mój koleś zna młodą dziewczynę, co chce służyć. Annie nie była tym zachwycona. Została do dziś, „tylko z uprzejmości”, jak się wyraziła, ale ja wiem, że jej chodzi o to, żeby tej nowej nagadać na panią Vandemeyer.

— Miła osóbką — powiedziała Tuppence. Albert nie pochwycił ironii.

— Umie się dobrze zakręcić. I umie dobrze liczyć, tyle że trochę porywczą. Pojedziemy na górę? Proszę do windy. Pod dwudziestkę, co? — I mrugnął porozumiewawczo.

Tuppence rzuciła mu srogie spojrzenie i zdecydowanym krokiem weszła do windy.

Kiedy zadzwoniła pod numer dwudziesty, była świadoma, że Albertowi, stojącemu przy windzie, oczy wychodzą na wierzch z ciekawości.

Drzwi otworzyła młoda kobieta o inteligentnym wyglądzie.

— Przyszłam w sprawie posady...

— Marnej posady — odparła bez wahania młoda osoba. — Stara kocica ciągle się wtrąca. Ma pretensję, że czytam jej listy. Ja miałabym czytać jej listy! Jeden był tylko na pół zaklejony, to przeczytałam. W koszach do śmieci nie ma nigdy skrawka papieru. Ta wariatka wszystko pali. Coś z nią nie tak. Ubrania drogie nosi, ale klasy to nie ma ani za grosz. Kucharka by coś mogła powiedzieć, ale się cholernie boi. A jaka ta kocica podejrzliwa! Spróbuje człowiek słowo z chłopem zamienić, a ona już wrzeszczy. Mogłabym niejedno powiedzieć...

Tuppence nie dowiedziała się, co Annie mogłaby jeszcze powiedzieć, gdyż z głębi mieszkania rozległo się wołanie:

— Annie! — Jedno słowo, a wyczuwało się w głosie jakąś żelazną wolę.

Annie skoczyła, jakby ją kto biczem trzepnął.

— Słucham, proszę pani?

— Z kim rozmawiasz?

— Z kandydatką do pracy, proszę pani.

— Natychmiast ją przyprowadź!

— Tak jest, proszę pani.

Annie wprowadziła „nową” do salonu — z długiego korytarza na prawo. Koło kominka stała kobieta już nie pierwszej młodości, dość urodziwa, lecz nieco wulgarna. W młodości musiała być naprawdę piękną dziewczyną. Teraz jasnozłote włosy zawdzięczały wiele sztuce

farbowania, uczesanie zaś, nisko upięty kok, mistrzowi sztuki fryzjerskiej. Jasnoniebieskie oczy wydawały się przenikać na wylot osobę, na którą były skierowane. Trzeba przyznać, że miała wspaniałą figurę, spowitą wr fantastyczną suknię o barwie ostroniebieskiej. Mimo delikatnej kobiecej sylwetki i jakby nieziemskiej urody sprawiała wrażenie osoby twardej i groźnej. Działo się to przede wszystkim za sprawą metalicznej barwy jej głosu i świdrujących rozmówcę oczu.

Po raz pierwszy Tuppence poczuła prawdziwy lęk. Nie bała się Whittingtona, lecz ta kobieta była zupełnie inna. Tuppence jak zafascynowana patrzyła na jaskrawą czerwień skrzywionych okrutnym grymasem ust. Serce zaczęło bić jej mocno, miała ochotę uciekać. Całkowicie straciła swą buńczuczną pewność siebie. Zdawała sobie sprawę, że oszukiwanie tej kobiety będzie tysiącokrotnie trudniejsze niż uwodzenie Whittingtona. Przypomniały się jej ostrzeżenia pana Cartera. Tak, tu rzeczywiście nie mogła się spodziewać żadnej litości.

Usiłując się opanować, a przede wszystkim zwalczyć chęć wzięcia nóg za pas, Tuppence z szacunkiem skłoniła głowę i skromnie spuściła oczy, raz tylko spojrzawszy na panią domu.

Najwidoczniej pierwsze oględziny wypadły pomyślnie, gdyż pani Vandemeyer wskazała krzesło.

— Możesz usiąść — powiedziała. — Skąd się dowiedziałas, że szukam pokojówki?

— Przez przyjaciółkę, która zna Alberta, windziarza w tym domu. Albert powiedział, że na pewno ta służba bardzo by mi odpowiadała.

Przez cały czas Tuppence czuła, jak bazyliżkowy wzrok ją przewierca na wskroś.

— Mówisz jak wykształcona osoba.

Bez najmniejszego zająknięcia się Tuppence przedstawiła swą życiową karierę zgodnie z sugestiami pana Cartera. Miała wrażenie, iż w miarę opowiadania pani Vandemeyer staje się mniej podejrziwa.

— Rozumiem — odparła. — Do kogo mogę się zwrócić po referencje?

— Ostatnio mieszkałam u panny Dufferin, probostwo w Llanelly. Byłam tam przez dwa lata.

— I pewnie pomyślałaś sobie, że więcej zarobisz, przyjeżdżając do Londynu? To mi nie przeszkadza. Proponuję ci sześćdziesiąt funtów. Możesz zaraz zacząć pracę?

— Tak, proszę pani. Nawet dzisiaj. Rzeczy mam na dworcu Paddington.

— Jedź i przywieź je taksówką. Roboty nie będziesz miała za wiele. Bardzo często mnie nie ma. Aha, a jak ty się nazywasz?

— Prudence Cooper, proszę pani.

— Bardzo dobrze, Prudence! Jedź teraz po rzeczy. Nie będzie mnie w czasie lunchu. Kucharka pokaże ci, gdzie co jest.

— Dobrze, proszę pani. Dziękuję, proszę pani.

Tuppence dygnęła i wyszła. Przemądrzałej Annie nigdzie nie było widać, zaś portier we wspaniałym uniformie usunął w cień Alberta, na którego Tuppence nawet nie spojrzała, opuszczając budynek.

Rozpocząła wielką przygodę, ale nie czuła już tego entuzjazmu, co rano po obudzeniu. I pomyślała sobie, że jeśli nieznana jej Jane Finn wpadła w łapy pani Vandemeyer, to zły spotkał ją los.

## POJAWIA SIĘ SIR JAMES PEEL EDGERTON

Tuppence okazała dużą zręczność w wykonywaniu swoich nowych obowiązków. Córki archidiakona były dobrze szkolone w prowadzeniu gospodarstwa. Poza tym gospodarstwo archidiakona stanowiło doskonałą szkołę dla tak zwanych „surowych dziewcząt” ze wsi, które przychodziły do służby. A przychodziły dosyć często, po czym zdobywszy potrzebne umiejętności, odchodziły czym prędzej do lepiej płatnej pracy. Skromne zasoby duchownego nie pozwalały bowiem lepiej wynagradzać służbę. Tak więc Tuppence była za swych młodych lat mimowolnym słuchaczem niezliczonych „kursów” sprzątanania domu i podawania do stołu. Dlatego też nie obawiała się pretensji ze strony pani Vandemeyer. Uwagę jej zwróciła kucharka, która żyła w śmiertelnym strachu przed swoją chlebobawczynią. Paru Vandemeyer musiała mieć chyba na nią jakiegoś haka i czymś ją pewnie szantażowała. A była to naprawdę świetna kucharka, co Tuppence mogła stwierdzić już pierwszego wieczoru.

Pani Vandemeyer oczekiwała właśnie gościa na kolację, więc kazała nakryć stół na dwoje. Ustawiając wszystko na przepięknie politurowanym blacie, Tuppence zastanawiała się, kto też będzie owym gościem. Mógł okazać się nim przecież sam Whittington. Chociaż Tuppence była pewna swojego przebrania i charakteryzacji, wolała, aby do stołu zasiadł ktoś zupełnie obcy. Nie miała na to jednak żadnego wpływu.

Kilka minut po ósmej zadzwonił dzwonek u drzwi. Z bijącym sercem Tuppence poszła otworzyć. Z ulgą stwierdziła, że przed drzwiami stoi drugi z dwu mężczyzn, za którymi poszedł Tommy. Poleciał zaanonsować się jako hrabia Stiepanow. Tuppence skierowała się do saloniku, gość ruszył za nią.

Pani Vandemeyer wstała z kanapki i radośnie wykrzyknęła:

— Ogromnie się cieszę, Borysie Iwanowiczu, że mogę cię zobaczyć!

— I ja się cieszę, *madame!* — pochylił się nisko nad jej dłonią.

Tuppence wróciła do kuchni.

— Jakiś tam hrabia. Stiepanow się nazywa. Kto to taki? — zapytała kucharkę, z naturalną dla służących ciekawością.

— To taki jeden dżentelmen rosyjski.

— Częsty gość?

— Od czasu do czasu. Po co ci to wiedzieć?

— Tak sobie pomyślałam, że oko puszcza do naszej pani. A dlaczego zrobiłaś taką minę?

— Bo mi coś suflet nie wychodzi — odparła kucharka. „Ty coś wiesz, moja droga” — pomyślała sobie Tuppence,

a głośno powiedziała:

— No to zaczynamy podawać!

Kręcąc się przy stole, Tuppence usiłowała wychwycić i zapamiętać każde słowo. „Gdzie jest teraz Tommy — myślała — skoro człowiek, za którym poszedł, siedzi tutaj. Może go zostawił, a śledzi Whittingtona? A może stoi tu, pod domem?” Zaczęła bardzo się niepokoić o swojego współnika. „Dlaczego nigdzie nie zostawił żadnej wiadomości?” Przed wyprowadzeniem się z hotelu Tuppence załatwiła przekazywanie poczty do małego sklepika z gazetami w pobliżu obecnego miejsca pobytu. Albert miał codziennie chodzić i odbierać korespondencję. „Z drugiej strony nie upłynęło tak wiele czasu. Przecież pożegnałam się z Tommym dopiero wczoraj rano. Muszę przestać się niepotrzebnie niepokoić. To absurd przypuszczać, że Tommy mógłby nie dać sobie rady. Niemniej jednak to dziwne, że nie daje znaku życia”.

Rozmowa przy stole nie przynosiła żadnych rewelacji. Pani Vandemeyer i jej gość rozmawiali na zupełnie obojętne tematy — o przedstawieniach, które widzieli w teatrze, o nowych tańcach, a także powtarzali najnowsze plotki towarzyskie. Po kolacji oboje przeszli

do małego buduaru. Pani Vandemeyer wyciągnięta na reklamierce wydawała się wprost grzesznie piękna. Podawszy kawę i likiery, Tuppence odeszła z ociąganiem, a przymykając drzwi, usłyszała słowa Borysa:

— Nowa, tak?

Tuppence przystanąła, by poznać odpowiedź pani Vandemeyer.

— Od dziś. Tamta dziewczka była okropna. Ta wydaje się w porządku. Umie podawać...

Tuppence nadal nie mogła się zdecydować, by odejść.

— Dobrze ją sprawdziłaś? — spytał Borys.

— Jesteś nadmiernie podejrzliwy — odparła pani Vandemeyer. — To jakaś kuzynka tutejszego portiera, czy coś takiego. A w ogóle, o co ci chodzi? Któż na tym świecie może podejrzewać, że mam coś wspólnego z panem BrowTiem?

— Na miłość boską, Rita, bądź ostrożniejsza! Drzwi nie są dobrze zamknięte!

— No to je zamknij.

Pani Vandemeyer roześmiała się.

Tuppence czym prędzej się oddaliła. Wróciła do kuchni i korzystając z nabytej w paru szpitalach praktyki bardzo szybko uporała się ze zmywaniem. Następnie na paluszkach wróciła pod drzwi buduaru. Chwilowo była bezpieczna, gdyż kucharka, dużo powolniejsza, miała jeszcze sporo roboty. Jeśli nawet będzie ją dziwiła nieobecność Tuppence, to pomyśli, że w sypialni przygotowuje na noc łóżko pani.

Niestety rozmowę w buduarze prowadzono tak cicho, że nic nie można było usłyszeć. O uchyleniu drzwi nie było mowy, gdyż pani Vandemeyer siedziała tuż na wprost, a Tuppence obawiała się jej bazyliżkowatego wzroku. Dałaby jednak wiele, by usłyszeć, o czym tam mówią. Kto wie, czy nie dowiedziałyby się czegoś o Tommym.

Przez dłuższą chwilę myślała gorączkowa, a potem nagle się rozpromieniła. Szybko przeszła do sypialni pani Vandemeyer, z której oszklone drzwi prowadziły na balkon biegnący wzdłuż całego mieszkania. Tuppence, stąpając na palcach, podeszła tuż pod okno buduaru. Tak jak przypuszczała, okno było uchylone i dochodziła przez nie cała roz—mowra.

Nie usłyszała jednak nic, co mogłoby się odnosić do Tommy'ego. Pani Vandemeyer i Rosjanin wyraźnie się o coś spierali, wreszcie Borys cierpko oświadczył:

— Twoja nieostrożność sprowadzi na nas kłopoty!

— Bzdura! — odparła gospodyni i roześmiała się ironicznie. — Najlepszym sposobem oddalenia podejrzeń jest w tym wypadku hałaśliwe, zwracające na siebie uwagę zachowanie. Któregoś dnia to zrozumiesz. Może szybciej, niż ci się zdaje.

— A ja twierdzę, że popełniasz wielki błąd, pokazując się wszędzie z tym Edgertonem. Peel Edgerton to nie tylko najślawniejszy w Anglii adwokat, ale i znany kryminolog. To, co robisz, zakrawa na szaleństwo!

— Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że jego elokwencja ocaliła niejednego człowieka od szubienicy — odparła spokojnie pani Vandemeyer. — No więc co z tego? A poza tym, kto wie, czy któregoś dnia nie będzie mi potrzebna jego zawodowa pomoc. To bardzo dobrze mieć przyjaciela związanego tak blisko z wymiarem sprawiedliwości.

Borys wstał i zaczął się przechadzać po buduarze. Wydawał się bardzo podniecony i niespokojny.

— Wiem, że jesteś sprytną kobietą, ale popełniasz głupstwo, Rito! Raz jeszcze proszę cię! Odstaw Edgertona!

Potrząsnęła głową.

— Nie zrobię tego.

— Odmawiasz? — W głosie Borysa pojawia się nuta groźby.

— Odmawiam.

— No to jeszcze zobaczymy! — warknął Rosjanin.

Pani Vandemeyer zerwała się, a jej oczy ciskały błyskawice. Powiedziała zimno:

— Zapominasz, Borysie, że ja odpowiadam nie przed tobą, lecz jedynie przed... panem Brownem. Tylko on może mi rozkazywać.

Borys z rozpaczą podniósł ręce ku niebu.

— Jesteś niemożliwa! — wykrzyknął. — Zupełnie niemożliwa! Już i tak może być za późno. Mówią, że Edgerton potrafi wywachać przestępcę na odległość. Przecież nie wiemy, co się kryje za tym nagłym zainteresowaniem twoją osobą. Może on już ma jakieś podejrzenia? Coś zauważył...

Pani Vandemeyer obrzuciła Borysa pogardliwym spojrzeniem.

— Możesz spać spokojnie, mój drogi. On nic nie podejrzewa. Czyżbyś oślepił i nie widzisz, że nadal jestem... piękną kobietą? Zaręczam ci, że tylko to interesuje Peela Edgertona.

Borys z powątpiewaniem pokręcił głową.

— To największy w Anglii ekspert od świata przestępczego. Nie ma lepszego kryminologa! Jesteś naiwna, sądząc, że uda ci się go oszukać.

Pani Vandemeyer zmrużyła oczy.

— Jeśli on rzeczywiście jest takim niedoścignionym specjalistą, chętnie stanę z nim w szranki. Zobaczmy, kto kogo przechytry.

— Na miłość boską, Rito, co ty wygadujesz?

— A poza tym — dodała pani Vandemeyer. — On jest bardzo bogaty. Wiesz, że nie gardzę pieniędzmi. To taka moja drobna słabostka.

— Pieniądze, pieniądze! — odparł szyderczo Borys. — To jest właśnie twoja wielka słabość, Rito! Za pieniądze sprzedałabyś duszę. A czasami wydaje mi się... — zamilkł na chwilę, a potem zakończył złowieszczym tonem — ...że za pieniądze sprzedałabyś nawet nas.

Pani Vandemeyer, uśmiechając się, wzruszyła ramionami.

— W każdym razie cena musiałaby być ogromna. Jedynie milioner byłby zdolny ją zapłacić.

— A więc miałem rację! — parsknął Borys.

— Drogi Borysie, czy już zupełnie straciłeś poczucie humoru? Nie rozumiesz zwykłego żartu?

— To miał być żart?

— Oczywiście.

— Wobec tego stwierdzam, że twoje poczucie humoru jest wątpliwego gatunku, moja droga Rito!

Pani Vandemeyer roześmiała się.

— Nie kłóćmy się. Zadzwoń po służącą. Napijemy się czegoś.

Tuppence czym prędzej umknęła z balkonu, stanęła na chwilę przed lustrem w sypialni pani Vandemeyer, aby sprawdzić, czy strój i uczesanie ma w porządku, a następnie pojawiła się grzeczna i pokorna w buduarze.

Rozmowa, której wysłuchała na balkonie — choć sama w sobie interesująca i potwierdzająca udział Kity i Borysa w spisku — nie rzuciła nowego światła na bieżące problemy, nie pomogła zbliżyć się do rozwiązania zagadki Jane Finn. Nie padło nawet jej nazwisko.

Następnego dnia rano miała okazję zamienić kilka słów z Albertem, który poinformował ją, że w sklepiku papierniczym nie było dla niej żadnego listu. Wprost nie mogła uwierzyć, żeby Tommy, jeśli wszystko było w porządku, nie dał jej jakiegś wieści o sobie. Najwyraźniej spotkała go jakaś nieprzyjemna przygoda. Dziewczynę ogarnął wielki lęk. Nawet nie chciała myśleć o tym, co mogło mu się przytrafić. Zaczęła mieć jak najgorsze przeczucia. Skwapliwie wykorzystała też szansę, jaką dało jej pytanie pani Vandemeyer:

— Jaki miałaś zwyczajowo wolny dzień, Prudence?



— Piątki, proszę pani.

— No, dziś jest piątek, ale skoro przyszłaś dopiero wczoraj...

— Kiedy ja właśnie bardzo chciałam panią prosić... Pani Vandemeyer długo na nią spoglądała, nim otworzyła usta:

— Żeby tak mógł cię usłyszeć hrabia Stiepanow. — Uśmiechnęła się. — Uczynił wczoraj wieczorem pewną uwagę na twój temat. — Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. — Twoja prośba jest... bardzo typowa. Uspokoiliś mnie. Pewno nic z tego nie rozumiesz, co mówię. Nie szkodzi. Dobrze, możesz iść! Zupełnie mi to nie przeszkadza. Nie będzie mnie dziś na kolacji.

— Dziękuję pani.

Tuppence odczuła wielką ulgę, gdy znalazła się sama. Obecność pani Vandemeyer i kontakt z nią zupełnie ją rozstrajały. Ponownie uświadomiła sobie, że się boi, bardzo się boi tej kobiety o okrutnych oczach.

Była zajęta czyszczeniem sreber, kiedy przy drzwiach wejściowych zabrzmiał dzwonek. Poszła otworzyć. Nie był to ani Whittington, ani Borys, tylko mężczyzna o uderzającym wyglądzie. Mimo iż wzrostu zaledwie nieco powyżej średniego, wydawał się potężnej budowy. Z gładko ogolonej ruchliwej twarzy promieniowała nieprawdopodobna siła. Miał wprost magnetyczne, zniewalające spojrzenie.

Przez chwilę Tuppence nie była pewna, do jakiej kategorii go zaliczyć: czy to aktor, czy też prawnik? Wątpliwości rozwiązał on sam, każąc się zapowiedzieć pani Vandemeyer:

— Sir James Peel Edgerton!

Tuppence przyglądała mu się z dużym zainteresowaniem. A więc to jest ów sławny na całą Anglię adwokat! Wiele razy słyszała, że któregoś dnia może zostać premierem. Mówiło się również, że parokrotnie odmawiał funkcji ministerialnej, gdyż chciał wykonywać swój ukochany zawód, pozostając skromnym posłem okręgu wyborczego w Szkocji.

Tuppence wróciła do roboty głęboko zamyślona. Ten człowiek zrobił na niej olbrzymie wrażenie. Mogła zrozumieć niepokoje Borysa. Peela Edgertona niełatwo było oszukać.

Po kwadransie usłyszała wewnętrzny dzwonek i poszła do holu, aby gościa wypuścić. Już poprzednio pan Edgerton przyglądał się jej dość bacznie, a i teraz, gdy podawała mu kapelusz i laskę, znowu poczuła jego wzrok na sobie. Gdy otworzyła drzwi i stanęła z boku, aby go przepuścić, zatrzymał się w progu i powiedział:

— Od niedawna tu pracujesz, prawda?

Podniosła na niego zdumiony wzrok. W oczach mężczyzny zobaczyła życzliwość i coś jeszcze, czego nie umiała zgłębić.

Skinał głową tak, jak gdyby mu odpowiedziała.

— Wiem, szpitalna służba kobiet w czasie wojny, potem przyszły ciężkie czasy...

— Czy pani Vandemeyer to panu powiedziała? — spytała Tuppence.

— Nie, moje dziecko. Twój wygląd. Dobrze ci tu?

— Bardzo dobrze, proszę pana. Dziękuję, proszę pana.

— No tak, ale pamiętaj, że obecnie jest już wiele dobrych miejsc do służby. A czasami korzystna bywa zmiana...

— Chce pan powiedzieć...? — zaczęła Tuppence, ale sir James był już na pierwszym stopniu schodów. Obejrzał się, patrząc życzliwie.

— To tylko sugestia, moje dziecko!

Tuppence wróciła do roboty jeszcze bardziej zamyślona niż poprzednio.

## OPOWIEŚĆ JULIUSA

Odpowiednio ubrana Tuppence z radością wyruszyła na swoje „wolne popołudnie”. Nie zastała w holu Alberta, więc na wszelki wypadek poszła sama do sklepiku papierniczego, aby sprawdzić, czy nic dla niej nie ma. Kiedy jej obawy się potwierdziły, skierowała kroki do Ritza. W recepcji powiedziano jej, że Tommy się nie pojawił. Spodziewała się takiej odpowiedzi, niemniej jednak bardzo się zmartwiła. Postanowiła zawiadomić pana Cartera, kiedy i gdzie Tommy rozpoczął śledzenie dwu osobników, i poprosić, aby ktoś ruszył tym śladem. Trochę ją ten pomysł podniósł na duchu. Z kolei zapytała o pana Juliusa Hersheimera. Odpowiedziano jej, że przed pół godziną wrócił, ale natychmiast potem wyszedł.

To zdecydowanie poprawiło humor Tuppence. Musi porozmawiać z Juliusem. Może on podsunie jakiś pomysł, jak dowiedzieć się o losie Tommy’ego. Poszła do apartamentu Juliusa, usiadła w gabinecie i napisała list do pana Cartera. Adresowała właśnie kopertę, gdy Amerykanin jak burza wpadł do pokoju.

— Co pani tu, do diabła...? — zaczął. — Ach, to pani, panno Tuppence! Ci głupcy w recepcji powiedzieli mi, że Beresford już tu nie mieszka. Że od środy go nie było. Czy to prawda?

Tuppence skinęła głową.

— A pan nie wie, gdzie on jest? — spytała.

— Ja? A skąd miałbym wiedzieć? Słowa od niego nie dostałem, chociaż wczoraj wysłałem do niego telegram. Bardzo pilny.

— Telegram pewnie leży w recepcji nie doręczony.

— No, to gdzie jest pani wspólnik?

— Pojęcia nie mam. Myślałam, że pan wie.

— Już powiedziałem, że słowa od niego nie usłyszałem od chwili, kiedy rozstaliśmy się na stacji.

— Jakiej stacji?

— Waterloo.

— Waterloo? — zdziwiła się Tuppence, marszcząc brwi.

— Właśnie. Nic pani nie powiedział?

— Ja też go nie wdziałam od tamtego dnia. Niech pan opowie o Waterloo. Co pan tam robił?

— Zadzwonił do mnie. Prosił, żebym natychmiast przyjechał. Powiedział, że śledzi dwóch przestępców. Żebym się pośpieszył, bo pociąg zaraz odchodzi.

— No i co? Niech pan mówi dalej!

— Więc poleciałem. Spotkałem Beresforda. Pokazał mi tych drani. Ten większy miał być mój. To ten, którego pani tak dobrze wykiwała. Tommy zdążył mi jeszcze wcisnąć do ręki bilet i kazał wsiadać, bo pociąg odjeżdżał. Miał iść za tym drugim... Byłem pewny, że pani już to wszystko wie.

— Panie Hersheimer, niechże pan przestanie wydeptywać dziurę w dywanie — powiedziała Tuppence stanowczo. — Aż mi się w głowie kręci, kiedy mi pan tak miga przed oczami. Niech pan usiądzie wygodnie w fotelu i opowie mi wszystko jasno i dokładnie.

— Już dobrze. Od czego mam zacząć?

— Od Waterloo.

— Dobra! Więc wsiadłem do takiego staroświeckiego angielskiego wagonu pierwszej klasy. Właściwie to wskoczyłem, kiedy pociąg już ruszał. Po niedługim czasie zjawił się konduktor, który bardzo uprzejmie zwrócił mi uwagę, że jestem w wagonie dla niepalących. Dałem mu pół dolara i problem został rozwiązany. Przeszedłem się do sąsiedniego wagonu,

gdzie w jednym z przedziałów odnalazłem Whittingtona. Kiedy tylko zobaczyłem tego śmierdziała o gładkiej, tłustej twarzy, od razu wyobraziłem sobie moją biedną Jane w jego łapach. Gdybym miał wtedy przy sobie jakąś broń, pistolet albo coś takiego, tobym się z nim pobawił...

No i dojechaliśmy do Bournemouth — ciągnął Julius. — Whittington wziął taksówkę i podał nazwę hotelu, do którego kazał się zawieść. Ja zrobiłem to samo i przyjechaliśmy tam w odstępie paru minut. On wynajął pokój, ja wynająłem pokój. Wszystko szło jak z płatka. Whittingtonowi do głowy nie przyszło, że ktoś może być na jego tropie. Spędzał czas w hotelowym salonie, czytając gazety i ziewając. Aż do kolacji. A podczas kolacji wcale się nie śpieszył.

Już zacząłem myśleć, że nic się tu nie będzie działo i że Whittington przyjechał do Bournemouth dla zdrowia, ale nagle uświadomiłem sobie, że on się przecież nie przebrał do kolacji w smoking, chociaż to był elegancki hotel. Ja zresztą też nie, no bo w co? Wyciągnąłem z tego wniosek, że Whittington zaraz po kolacji wybiera się gdzieś, gdzie nie chodzi się w eleganckim smokingu. No i rzeczywiście, około dziewiątej wziął taksówkę i pojechał na drugi kraniec miasta. Nawiasem mówiąc, wcale ładne to Bournemouth. Pojadę tam z Jane, kiedy ją znajdę. Niech tam sobie biedaczka wypocznie. Za miastem Whittington odprawił taksówkę i poszedł sosnowym lasem, ścieżką wzdłuż urwistego wybrzeża. Cały czas szedłem za nim. Maszerowaliśmy tak z pół godziny. Na początku było pełno letniskowych domów, a potem już coraz mniej. Wreszcie dotarliśmy chyba do ostatniego. Całkiem spora budowla. I dokoła ogrodzona duża działka leśna.

Noc była ciemna i prawie nic nie widziałem. Whittingtona słyszałem. Głośno oddychał. Nie mogłem się zanadto zbliżyć, boby skapował, że go ktoś śledzi. Podszedłem tylko nieco bliżej przy samym domu. Widziałem, że sięga do dzwonka. Potem wszedł i zamknęły się za nim drzwi. A ja zostałem tam, gdzie byłem, między drzewami. Zaczęło padać. W kilka minut zupełnie przemokłem i było mi bardzo zimno...

Whittington się nie pokazywał. Zacząłem się denerwować. Wszystkie okna na parterze miały zamknięte okiennice, ale na piętrze paliło się światło, a jedno okno nie było zasłonięte. Jakies dziesięć kroków od domu, naprzeciwko tego oświetlonego okna, rosło drzewo. I tak sobie pomyślałem, że jakby mi się udało na to drzewo wdrapać, tobym widział, co się dzieje w tym pokoju. Oczywiście nie miałem żadnej pewności, że akurat w nim będzie Whittington. Mógł być przecież w każdym innym na parterze za zasłoniętymi szczelnie oknami. Ale byłem już tak znudzony beczynnym stanem w deszczu, że każde działanie wydawało się lepsze niż żadne.

Julius odsapnął.

— No i zacząłem się wdrapywać na to drzewo. Szło mi źle, bo w deszczu gałęzie, konary i nawet główny pień zrobiły się oślizłe. Bardzo trudno mi było o cokolwiek zahaczyć stopę. Powolutku, powolutku i wreszcie mi się udało osiągnąć poziom okna na piętrze...

Czekało mnie jednak wielkie rozczarowanie. Znalazłem się zbyt na lewo od okna. Dojrzałem zasłony, kawałek wytapetowanej ściany i to wszystko. Już miałem zamiar rozpocząć powrotną drogę z drzewa na ziemię, kiedy w oknie ujrzałem cień, zbliżył się — to był Whittington! Nabrałem od nowa animuszu i postanowiłem, że muszę jakoś zerknąć do tego pokoju. No dobrze, ale jak? Zacząłem się zastanawiać. Zauważyłem, że jeden z konarów drzewa rośnie we właściwym kierunku. Gdybym wlaź na ten konar, zajrzałbym wprost do pokoju. Tylko czy on wytrzyma mój ciężar? W połowie był już dość cienki. Postanowiłem zaryzykować i zacząłem pełznąć. Gałąź skrzypiała i uginała się niebezpiecznie. Aż mi się zimno robiło, kiedy myślałem, ile to dzieli mnie od ziemi. Wreszcie jednak jakoś dotarłem do miejsca, które mi odpowiadało.

Dokładnie widziałem cały pokój. Był niewielki, urządony po spartańsku. Coś jakby szpitalna izolatka. Pośrodku stał stolik z lampą. Przy stole siedział, na wprost mnie,

Whittington. Rozmawiał z kobietą w stroju pielęgniarki. Siedziała do mnie tyłem, więc jej twarzy nie widziałem. Chociaż zasłony były odsunięte, to okno zamknięte, więc nie słyszałem ani słowa. Mówił przez cały czas Whittington. Kobieta słuchała, czasami tylko potakiwała głową, czasami zaprzeczała. Zupełnie jakby odpowiadała na pytania. Whittington był wyraźnie poruszony. Parę *razy* uderzył pięścią w stół. Tymczasem przestało padać, wiatr przepędził chmury i na niebie pojawiły się gwiazdy.

Wreszcie Whittington wstał i ta kobieta też wstała. Spojrzał w kierunku okna i zadał jakieś pytanie. Pewnie pytał, czy jeszcze pada. Pielęgniarka podeszła do okna i wyjrzała. Wtedy akurat zza chmur ukazał się księżyc. Bałem się, że kobieta mnie dostrzeże, gdyż znalazłem się w pełnym świetle. Chciałem się skryć między liśćmi. Zrobiłem zbyt gwałtowny ruch i cholerna gałąź się załamała, urwała i poleciała na ziemię, a wraz z nią niejaki pan Julius P. Hersheimer!

— Julius! — wykrzyknęła Tuppence. — Jakież to podniecające! Mów dalej!

— Mnie to specjalnie nie podnieciło, raczej ogłuszyło. Na szczęście upadłem na miękką ziemię, niemniej jednak straciłem przytomność. Kiedy ją odzyskałem, leżałem w łóżku, a po jednej ręce miałem pielęgniarkę (choć nie tę od Whittingtona!), po drugiej zaś brodatego mężczyznę w okularach w złotej oprawie, wyglądającego na lekarza, no i będącego lekarzem. Zacierał radośnie ręce, a kiedy na niego spojrzałem, podniósł brwi i powiedział: „Wspaniale, wprost wspaniale! Nasz młody przyjaciel powrócił do świata żywych. Wspaniale!”. No więc ja wtedy odegrałem zwyczajową scenkę. Zrobiłem błędne oczy, zacząłem się nieprzytomnie rozglądać i zadałem przewidziane w takich sytuacjach pytania: „Co się stało? Gdzie ja jestem?”. Następnie usiłowałem usiąść w łóżku, ale prawa stopa strasznie mnie przy tym zabolala. Doktor zobaczył, że się skrzywiłem z bólu, więc powiedział: „To tylko zwichnięcie. Nic poważnego. Za dwa dni wszystko będzie dobrze...”.

— Właśnie zauważyłam, że kulejesz — powiedziała Tuppence.

Julius skinął głową i ciągnął dalej:

— „Jak to się stało?”, zapytałem go jeszcze raz. On na to dość sucho odparł: „Spadł pan, młody człowieku, wraz ze sporą częścią mego drzewa, na świeżo obsadzony kwiatami klomb”. Bardzo mi się spodobał ten lekarz! Miał poczucie humoru. Moim zdaniem, ludzie obdarzeni poczuciem humoru są przeważnie uczciwi. „Bardzo mi przykro z powodu tego drzewa, doktorze”, odpowiedziałem mu. „Zapłacę za wszystkie kwiatki. Chce pan pewnie wiedzieć, co ja robiłem w pańskim ogrodzie?” Na to on: „Owszem, pewne wyjaśnienie byłoby na miejscu”. No to ja mu wtedy: „Nie przyszedłem, żeby ukraść srebrne łyżeczki do kawy”. On się wtedy uśmiechnął. „Z początku tak myślałem, ale szybko zmieniłem zdanie. Pan jest Amerykaninem, prawda?”. Przedstawiłem mu się i on wtedy powiedział: „Jestem doktor Hall, a to jest moje prywatne sanatorium, ale to już chyba pan wie”.

Nic nie wiedziałem, ale nie miałem zamiaru mu tego mówić. Otrzymałem cenną informację. Chociaż mi się podobał i uważałem go za uczciwego człowieka, nie chciałem opowiadać mu całej historii. Zresztą na pewno by nie uwierzył. Szybko zdecydowałem, jak się wytłumaczyć. „Wiem, doktorze, że wyszedłem na durnia, zrobiłem z siebie pełnego głupca i bardzo panu dziękuję, że nie wziął mnie pan za zwykłego złodzieja i nie wezwał policji”, powiedziałem, a potem wymamrotałem coś o dziewczynie, o surowym opiece, o jej nerwowym załamaniu i wreszcie o tym, że ją rozpoznałem wśród pacjentek i stąd moja nocna wyprawa. Czogoś takiego chyba się spodziewał. „Bardzo romantyczna historia”, przyznał, kiedy skończyłem. „Doktorze, niech pan będzie ze mną szczerzy”, powiedziałem. „Chcę wiedzieć. Niech pan mi powie, czy ma pan teraz u siebie albo kiedykolwiek miał pacjentkę nazwiskiem Jane Finn?” „Jane Finn?”, powtórzył. „Nie”.

Zmartwiło mnie to bardzo i było to po mnie widać. „Jest pan pewny, doktorze?” „Jestem pewny, panie Hersheim—mer. Jest to bardzo osobliwe nazwisko i nigdy bym go nie zapomniał”. No i tak. W każdym razie byłem chwilowo wytłumaczony. A już myślałem, że

osiągnąłem cel. „Trudno, doktorze — powiedziałem. — Mam jeszcze jedno pytanie. Kiedy tak siedziałem na tej cholernej gałęzi, to mi się wydawało, że widzę przez to oświetlone okno dawnego znajomego. Rozmawiał z jedną z pańskich pielęgniarek”. Specjalnie nie wymieniał nazwiska, gdyż Whittington mógł tutaj występować pod innym. Ale doktor odpowiedział bez wahania: „Może panu chodzi o pana Whittingtona?”. „Tak, tak, właśnie! Ale cóż on tu robi? Czyżby cierpiał na rozstrój nerwowy?”

Doktor Hall roześmiał się. „Skąd! Przyjechał w odwiedziny do mojej pielęgniarki. Do Edyty. To jego siostrzenica”. „Coś podobnego!”, wykrzyknąłem. „Jest jeszcze tutaj?” „Nie, wrócił zaraz do Londynu”. „Jaka szkoda!”, powiedziałem. „A może mógłbym porozmawiać z siostrą Edytą?” „Niestety, wieczorem siostra Edyta wyjechała z pacjentką”. „Ale pech”, stwierdziłem. „Może pan ma adres pana Whittingtona w Londynie? Chętnie bym go tam odwiedził!” „Nie, nie znam jego adresu, ale mogę napisać do Edyty, żeby mi przysłała, jeśli tak panu na tym zależy”, odparł. Bardzo mu podziękowałem. „Tylko niech jej pan nie mówi, kto o to pyta. Chcę sprawić niespodziankę Whittingtonowi”.

Cóż więcej mogłem zrobić? Jeśli ta siostra Edyta jest rzeczywiście siostrzenicą Whittingtona, to pewnie nie da się złapać na list Halla. Ale warto było próbować. Następnie wysłałem telegram do Beresforda, informując go, gdzie jestem, i prosząc, żeby przyjechał, jeśli ma czas, bo ja leżę ze zwichniętą nogą. Oględnie wszystko formułowałem. Nie otrzymałem od niego żadnej odpowiedzi, a ponieważ z nogą było lepiej, niż początkowo przypuszczano, mogłem wkrótce wstać. Pożegnałem się z moim doktorem, zostawiłem mu adres, żeby mógł przesłać ewentualną wiadomość od siostry Edyty, i wróciłem do Londynu... Co się stało, panno Tuppence? Jest pani strasznie blada!

— Martwię się o Tommy’ego. Co się mogło z nim stać?

— Nie ma się co martwić. Chłopak da sobie radę. Poszedł za tym z cudzoziemska wyglądającym facetem. Może gdzieś pojechał za nim za granicę — do Polski czy coś takiego.

Tuppence potrząsnęła głową.

— Nie mógł bez paszportu i wiz. Poza tym ja widziałam tego człowieka, za którym poszedł Tommy. Borysa. Był gościem na kolacji u pani Vandemeyer.

— Vande—kto?

— Zapomniałam, że nic o tym pan nie wie.

— A więc słucham. Proszę mnie wtajemniczyć!

Tuppence opowiedziała szczegółowo wszystkie wydarzenia ostatnich dwu dni. W oczach Juliusa widać było zdumienie i podziw.

— Sto razy brawo! Nie myślałem, że z pani taka spryciara, panno Tuppence! Niech mnie kule biją! — Następnie twarz mu spoważniała. — Ale bardzo mi się to wszystko nie podoba. Jest pani obrotna i odważna, jednak poszła pani za daleko. Ci dranie się nie patyczkują. Dziewczyna, nie dziewczyna, mogą zrobić krzywdę. Jak im będzie potrzeba, to nawet zabiją.

— Ja się ich nie boję — odparła dumnie Tuppence, usiłując wytrzebić ze świadomości groźne, przeszywające spojrzenie pani Vandemeyer.

— Powiedziałem, że pani jest odważna, ale to nie zmienia faktu, że tamci ludzie są niebezpieczni.

— Nie mam zamiaru się tym martwić. Znacznie ważniejsze jest to, co się stało z Tommym. Napisałam w tej sprawie do pana Cartera. — Pokrótce streściła mu list.

Julius poważnie pokiwał głową.

— Dobrze pani zrobiła. Musimy jednak coś jeszcze przedsięwziąć.

— Tak, ale co?

— Trzeba odnaleźć Borysa. Był u tej pani Yande, czy jak tam, na kolacji. *Czy przyjdzie znowu?*

— Może tak, może nie. Nie mam pojęcia.

— Hmm. Już wiem, co zrobię! Kupię samochód, przebiorę się za szofera i będę się kręcił przed pani domem. Jak się Borys pojawi, to da mi pani jakiś znak, i ja się nim wtedy zajmę. Dobry pomysł?

— Cudowny, tylko że Borys może się nie pojawić przez kilka tygodni.

— Na to już nic nie poradzimy. Trzeba mimo wszystko zaryzykować. Cieszę się, że mój plan pani się spodobał. — Wstał.

— Dokąd pan idzie?

— Kupić samochód, oczywiście! — odparł Julius zdziwiony pytaniem. — Jaka marka pani odpowiada? No bo przecież na pewno pani nim trochę pojeździ, nim zakończymy całą sprawę.

— Ooo! Ja lubię rolls-royce'y, ale one...

— Niech będzie — odparł Julius. — Pani życzenie jest dla mnie rozkazem. Będzie rolls.

— Ależ nikt nie może tak od razu kupić rolls-royce'a! — wykrzyknęła Tuppence. — Trzeba złożyć zamówienie i czekać całe wieki!

— Mały Julius nigdy na nic nie czeka! — oświadczył pan Hersheimer. — Niech się droga panna Tuppence nie martwi! Za pół godziny wrócę.

— Bardzo to pochopna obietnica. Tym razem przeliczy się pan. Nie zna pan Brytanii i jej obyczajów. Wolę liczyć na pana Cartera niż na rollsa!

— Ja bym na niego nie liczył — odpowiedział.

— A niby dlaczego?

— Po prostu tak uważam.

— Ale przecież pan Carter musi coś poradzić! Tylko on jeden może nam pomóc. Zaraz, zapomniałam powiedzieć o dziwnym spotkaniu, jakie miałam dziś rano.

I opowiedziała mu o sir Jamesie Peelu Edgertonie. Julius słuchał z wyraźnym zainteresowaniem.

— Co on chciał przez to powiedzieć? — zapytał.

— Naprawdę nie wiem. Wydaje mi się, że chciał mnie po prostu ostrzec przed czymś. Ale uczynił to w taki dwuznaczny sposób... prawniczy.

— Ale właściwie przed czym chciał ostrzec?

— Nie mam pojęcia. Widziałam jednak w jego oczach i wyczuwałam w słowach życzliwość. On jest bardzo sprytny i przebiegły. Świadczy o tym także ten sposób ostrzegania. Nawet sobie pomyślałam, żeby do niego iść i wszystko mu powiedzieć.

Tuppence zdziwiła się, kiedy Julius ostro wystąpił przeciwko temu pomysłowi.

— Tylko nie adwokatowi! Nie mieszajmy w to adwokatów! Ten gość nic a nic nam nie pomoże.

— A ja uważam, że mógłby — upierała się Tuppence.

— No to się pani myli. Chwilowo żegnam. Będę z powrotem za pół godziny.

Julius wrócił po trzydziestu pięciu minutach. Wziął Tuppence pod rękę i zaprowadził do okna.

— Proszę, to ten!

— Ooo! — Spojrzała z szacunkiem na olbrzymie auto.

— Niezły samochodzik, co? — powiedział z dumą.

— Jak go pan zdobył? — spytała zdziwiona.

— Właśnie mieli go wysłać do jakiejś bardzo ważnej osoby.

— No i co?

— Poszedłem do tej bardzo ważnej osoby i powiedziałem, że taki samochód jest wart chyba ze dwadzieścia tysięcy dolarów, ale dla mnie byłby wart pięćdziesiąt, jeśli mi go odstąpi.

— No i co?

— No i od razu odstąpił, to wszystko.

## PRZYJACIEL W POTRZEBIE

Piątek i sobota upłynęły spokojnie, bez żadnych wydarzeń. Tuppence otrzymała krótką odpowiedź na swój apel do pana Cartera. Dżentelmen ten przypominał, że spółka Młodych Łowców Przygód podjęła się zadania na własne ryzyko i była parokrotnie ostrzegana przed groźącymi niebezpieczeństwami. Pan Carter żałowałby bardzo, gdyby coś się przytrafiło Tommy'emu, ale niestety nie może nic w tej sytuacji pomóc.

List ten podziałał na Tuppence jak zimny prysznic. Bez Tommy'ego cała Wielka Przygoda nie miała już uroku. Po raz pierwszy dziewczyna straciła wiarę w szansę powodzenia, w które nigdy nie wątpiła, gdy był przy niej przyjaciel. Chociaż lubiła wieść prym i była zawsze niesłychanie dumna ze swoich szybkich decyzji, a także pomysłów, w rzeczywistości bardzo polegała na Tommym. Więcej niż sobie z tego zdawała dotychczas sprawę. Był jej potrzebny, ponieważ analizował każdą rzecz bardzo chłodno i rozsądnie. Potrafił dostrzec sprawę we właściwej perspektywie, trzeźwo je rozważyć. Bez Tommy'ego Tuppence czuła się jak statek bez steru. Ciekawe, że Julius, który był z pewnością sprytniejszy od Tommy'ego, nie stanowił podobnego oparcia i nie zapewniał poczucia bezpieczeństwa. Poprzednio oskarżała zawsze Tommy'ego o pesymizm, a on przecież tylko dostrzegał potencjalne niebezpieczeństwa czy też błędy w rozumowaniu. Tuppence przyznawała się obecnie w duchu, że zawsze polegała na zdaniu Tommy'ego. Liczyła nawet na nie.

I chyba po raz pierwszy zdała sobie w pełni sprawę ze złowrogich implikacji misji, której tak lekkomyślnie się podjęli. Zaczęło się jak w romantycznej przygodowej powieści. Obecnie rzeczywistość, odarta z jakiegokolwiek romantyzmu, przedstawiała się niesłychanie groźnie. Sprawa Tommy'ego urosła do rangi najważniejszego problemu. Parokrotnie w ciągu dnia Tuppence połykała łzy. Karciała się za to: „Przestań, głupia! Oczywiście, że go bardzo lubisz. Znałaś go przecież od małego, prawie całe życie. Ale dość z tym sentymentalizmem!”

Borys nie pojawił się po raz drugi. Julius wyczekiwał na próżno w samochodzie. Tuppence skierowała myśli na nowy tor. Zgadzając się z zastrzeżeniami Juliusa, powróciła do niecałkowicie porzuconej koncepcji wtajemniczenia w sprawę sir Jamesa Peela Edgertona. Co więcej, odszukała nawet jego adres w „Czerwonej księdze ważnych osobistości i arystokracji”. Czy sir Edgerton rzeczywiście chciał ją przed czymś ostrzec? Odniosła takie wrażenie. A jeśli tak było, to przecież należało się jej wyjaśnienie. Ma prawo o to do niego się zwrócić. Spoglądał na nią naprawdę życzliwie. A może mógłby jej coś powiedzieć na temat pani Vandemeyer, coś, co stanowiłoby jakiś ślad związany z Tommym?

I ostatecznie Tuppence zdecydowała, z charakterystycznym dla siebie wzruszeniem ramion, że czy wyjdzie coś z tego, czy nie — warto spróbować. Na niedzielę przypadało jej drugie wolne popołudnie. Wtedy spotka się z Juliušem, przekona go i pojedą razem do sir Edgertona.

Jednak gdy nadeszła niedziela, Tuppence z trudem skłoniła Juliusa do zaaprobowania jej pomysłu. Trwała uparcie przy swoim, twierdząc, że jeśli nawet nic to im nie pomoże, to i nie zaszkodzi. Wreszcie Amerykanin się poddał i pojechali rolls-royce'em na Carlton House Terrace, do sir Jamesa.

Otworzył im drzwi dystyngowany lokaj. Tuppence była nieco podenerwowana. Dopuszczała się przecież czegoś, co można by nazwać bezczelnością. Postanowiła nie pytać, jak to jest w zwyczaju przy tego rodzaju nie zapowiedzianych wizytach, czy sir James „jest w domu”, lecz uderzyć frontalnie:

— Proszę powiedzieć sir Jamesowi, że mam dla niego ważną wiadomość i proszę, by mi poświęcił kilka minut.

Lokaj poszedł w głąb domu i po chwili wrócił.

— Sir James prosi. Państwo pozwolą za mną. Wprowadził ich do pokoju zabudowanego aż po sufit półkami pełnymi książek. Wspaniała kolekcja przeróżnych dzieł! Tuppence zauważyła, że cała jedna ściana była poświęcona publikacjom związanym z przestępczością i kryminologią. W bibliotece znajdował się również staroświecki kominek z otwartym paleniskiem. Przed kominkiem w półkolu stały pokryte miękką skórą fotele, a na tle szerokiego okna, sięgającego ziemi — zasłane papierami biurko, za którym siedział pan domu. Wstał im na powitanie.

— Mają państwo dla mnie jakąś wiadomość? A, to ty, moje dziecko! — poznał Tuppence.  
— Pewnie przynosisz wiadomość od pani Vandemeyer?

— Niezupełnie — odparła. — Powiedziałam tak lokajowi, żeby się do pana dostać. Przedstawiam pana Juliusa Hersheimera. Pan Hersheimer, sir James Peel Edgerton.

— Bardzo mi miło! — oświadczył Amerykanin, wyciągając dłoń.

— Proszę siadać — powiedział sir James, odsuwając od biurka dwa krzesła.

— Sir James — zaczęła Tuppence — przepraszam za to najście, zdaję sobie sprawę, że graniczy to z bezczelnością. Zwłaszcza że sprawa bezpośrednio pana nie dotyczy. Wiem ponadto, że jest pan bardzo ważną osobistością, podczas gdy ja i Tommy nic nie znaczymy...  
— przerwała, aby zaczerpnąć oddechu.

— Tommy? — spytał sir James, spoglądając na Amerykanina.

— Nie, ten pan ma na imię Julius. Jestem bardzo zdenerwowana i dlatego nie wyrażam się jasno — tłumaczyła się Tuppence. — A chodzi mi przede wszystkim o to, co pan miał na myśli, mówiąc mi to, co mi pan powiedział, kiedy wychodził pan od pani Vandemeyer? Czy chciał mnie pan przed nią ostrzec? Chciał pan, tak?

— Moje drogie dziecko, z tego, co sobie przypominam, wspomniałem jedynie, iż wiele jest obecnie dobrych miejsc pracy...

— Wiem, pamiętam. Ale w tym kryło się ostrzeżenie, tak?

— Mmm, być może — odparł poważnie.

— Chcę wiedzieć więcej. Chcę wiedzieć, dlaczego mnie pan ostrzegł.

Sir James uśmiechnął się.

— Narazam się na wytoczenie mi sprawy o zniesławienie...

— Ja wiem, że prawnicy są niesłychanie ostrożni w formułowaniu zdań — powiedziała Tuppence. — Ale jest taka formułka prawnicza, która zabezpiecza przed konsekwencjami. Podobno można powiedzieć „bez chęci uchybienia komukolwiek” i potem już mówić, co się chce.

— A więc, bez chęci uchybienia komukolwiek — zaczął sir James, nadal się uśmiechając — gdybym miał młodą siostrę zmuszoną do podjęcia u kogoś służby, tobym nie chciał, aby pracowała u pani Vandemeyer. Uważam za swoje prawo i obowiązek udzielić ci pewnego ostrzeżenia, moje dziecko. To nie jest miejsce dla młodej i niedoświadczonej dziewczyny. Nic więcej ci nie mogę powiedzieć.

— Rozumiem — odparła Tuppence w zamyśleniu. — Dziękuję bardzo, sir James. Ale ja nie jestem niedoświadczona. Wiedziałam dobrze, że mam do czynienia z podejrzaną osobą, kiedy się zgłosiłam. Mówiąc prawdę, dlatego właśnie się zgłosiłam... — przerwała, widząc zdumienie na twarzy sławnego adwokata. Następnie podjęła wątek: — Chyba „czas, abym panu wszystko opowiedziała, sir James. Mam absolutną pewność, że natychmiast by się pan zorientował, gdybym zboczyła z drogi prawdy. Lepiej więc będzie, jeśli pozna pan całą sprawę od samego początku. Juliusie, co pan o tym sądzi?

— Skoro się pani już zdecydowała, panno Tuppence, to trzeba przedstawić wszystkie fakty — odpowiedział jej Amerykanin, siedzący dotąd w absolutnym milczeniu.

— Proszę więc mówić. Chciałbym wiedzieć, kim jest ów Tommy? — odezwał się sir James. — Chcę poznać całą sprawę.



Tak zachęcona Tuppence rozpoczęła opowieść. Adwokat słuchał z wielkim zainteresowaniem.

— Bardzo to interesujące — oświadczył, gdy skończyła. — Przyznam ci się teraz, moje dziecko, że wiele z tych faktów znałem. A jeśli chodzi o Jane Finn, to mam na ten temat swoją teorię. Muszę powiedzieć, że osiągnęłaś wspaniałe rezultaty, jednakże jest rzeczą niedopuszczalną, aby pan Carter, jak go nazywasz, pozwalał dwojgu młodym, niedoświadczonym ludziom pakować się w taką historię. Paskudną historię! I niebezpieczną. A teraz proszę mi powiedzieć, co ma wspólnego z całą sprawą pan Hersheimer? Nie jest to dla mnie zupełnie jasne.

— Jestem bliskim krewnym Jane Finn — wyjaśnił Julius, patrząc prosto w oczy sir Jamesowi.

— Aha!

— Jak pan sądzi, sir James, co mogło się stać z Tommym? Adwokat wstał i zaczął się przechadzać po bibliotece.

— Kiedy się tu zjawiłaś, moje dziecko, przygotowywałem właśnie sprzęt. Wybierałem się nocnym pociągiem na kilka dni do Szkocji na ryby. Widzę jednak, że złowić przyjdzie mi coś innego. Chyba zostanie. Może nam się uda trafić na ślad Tommy'ego.

— Jak by to było dobrze! — Tuppence z radości aż zaklaskała.

— W dalszym ciągu jednak uważam, że...hmm... pan Carter nie powinien był pozwolić dwojgu dzieciakom... Nie, nie, proszę się nie obrażać, panno...?

— Cowley. Prudence Cowley. Ale przyjaciele nazywają mnie Tuppence.

— Doskonale, panno Tuppence, myślę, że będę pani przyjacielem. I proszę się nie czuć urażoną, że wytykam para młodość. Jest to wspaniały grzech, który ludzie niestety zamieniają zbyt szybko na wątpliwą cnotę rzekomej dojrzałości. Jeśli chodzi o naszego Tommy'ego... Mówiąc szczerze, boję się o niego. Wsadził nos tam, gdzie nie powinien był wsadzać. Tego mogą mu nie wybaczyć. Nie traćmy jednak nadziei. Może tylko przyciął sobie palce, mówiąc w przenośni.

— I pan nam naprawdę pomoże? Widzisz, Julius! Nie chciałeś, bym przychodziła z tym do sir Jamesa!

— Hmm! A dlaczego? — spytał sir James, obrzucając go byстрыm spojrzeniem.

— Pomyślałem sobie, że nie ma sensu zajmować tak wielkiego człowieka podobnymi głupstwami.

— Ha! Owo głupstwo, jak to pan nazywa, rzutuje na sprawę wielkiej wagi. Znacznie poważniejszą, niż pan czy panna Tuppence sądzą. Jeśli Tommy żyje, to może nam udzielić niezwykle istotnych informacji. Dlatego też musimy go odszukać.

— Ale jak to zrobić? — wykrzyknęła Tuppence. — Myślałam o wszystkim i nic nie wymyśliłam.

Sir James uśmiechnął się.

— A mamy przecież pod ręką osobę, która najprawdopodobniej doskonale wie, co się stało z Tommym i gdzie on jest. A w każdym razie, gdzie może być.

— Kto to taki? — spytała Tuppence zaskoczona.

— Pani Vandemeyer.

— Ale ona nam nigdy nie powie!

— No i tu jest właśnie zadanie dla mnie. Uważam za zupełnie prawdopodobne, że uda mi się skłonić panią Vandemeyer, aby mi powiedziała.

— Ale jak pan to robi? — zdziwiła się Tuppence, otwierając szeroko oczy.

— Och, będę jej po prostu zadawał pytania — odparł lekko sir James. — My, adwokaci, tak właśnie pracujemy. Zadajemy pytania i dochodzimy prawdy. Czasami skrzętnie ukrywanej.

Usiadł za biurkiem i zabębnił palcami po blacie. Tuppence odczuwała niemal fizycznie emanującą z niego pewność siebie i wielką siłę.

— A jeśli ona jednak nic nie powie? — spytał Julius.

— Myślę, że powie. I w zanadrzu mamy zawsze dodatkowy argument. Pieniądze. Jest to niezawodna metoda wobec takich osób.

— I tu zaczyna się moja rola! — Julius uderzył w biurko otwartą dłonią, aby podkreślić wagę swego oświadczenia. — W razie potrzeby może pan na mnie liczyć do wysokości miliona dolarów! Tak jest, daję do dyspozycji okrągły milionik.

Sir James długo się przyglądał Amerykaninowi.

— To jest bardzo poważna kwota, panie Hersheimer

— powiedział wreszcie.

— No, chyba dość duża... Ale to nie są ludzie, którym można dać sześć pensów.

— Suma, którą pan wymienił, odpowiada przy obecnym kursie dwustu pięćdziesięciu tysiącom funtów szterlingów.

— Coś koło tego. Może pan myśli, że ja się tylko tak chwale, ale zapewniam pana, że mówię jak najpoważniej. I jeszcze mi trochę zostanie na pańskie honorarium.

Sir James lekko się zaczerwienił.

— O żadnym honorarium nie ma mowy, panie Hersheimer. Nie jestem prywatnym detektywem.

— Przepraszam, naprawdę nie chciałem pana urazić. Przyznam się panu, sir, że nie rozumiem waszego podejścia do pieniędzy. Miałem zamiar ofiarować dużą nagrodę za odnalezienie Jane, ale ci wasi policjanci ze Scotland Yardu zdecydowanie mi odradzili. Powiedzieli, że to jest niepożądane. Niby dlaczego miałyby być niepożądane?

— Chyba jednak mieli rację — odparł sucho sir James.

— Ale pan Julius nie żartuje na temat tego miliona — wtrąciła Tuppence. — On mówi poważnie. Ma całe góry pieniędzy.

Sir James zamyślił się. Po dłuższej chwili powiedział:

— Nie ma czasu do stracenia. Im szybciej uderzymy, tym lepiej. Czy pani Vandemeyer je dziś kolację na mieście? — zwrócił się do Tuppence.

— Chyba tak. Ale nie wróci późno. Wzięłaby klucz.

— Doskonale. Wobec tego przyjdę z wizytą około dziesiątej. O której masz wrócić do domu, moje dziecko?

— W pół do dziesiątej, dziesiąta, ale mogę wrócić trochę wcześniej.

— Nie rób tego w żadnym wypadku. Zbyt wczesny powrót mógłby wzbudzić podejrzenia. Jakaż to służąca nie wykorzystuje w pełni wolnego? Przyjadę o dziesiątej. Czy pan Hersheimer mógłby czekać na dole w taksówce?

— Julius właśnie kupił nowego rolls-royce'a — poinformowała z wielką dumą Tuppence.

— Jeszcze lepiej. Jeśli mi się uda uzyskać od pani Vandemeyer adres, będziemy tam mogli pojechać natychmiast, zabierając nawet ją samą w razie potrzeby. Wszystko jasne?

— Jak najbardziej! — Tuppence zerwała się uradowana.

— Ach, jaka jestem zadowolona, że do pana przyszłam. Przestałam się bać o Tommy'ego.

— Droga panno Tuppence, proszę na zbyt wiele nie liczyć — powiedział sir James.

— Może ja tu po pana podjadę około dziewiątej trzydzieści? — zaproponował Julius.

— To nawet dobra myśl. A pani, panno Tuppence, radzę iść teraz na dobrą kolację. Taką naprawdę solidną. Nie ma się po co na zapas martwić.

Uścisnął im dłonie. Wyszli.

— Czyż on nie jest wspaniały? — wykrzyknęła zachwycona Tuppence, gdy już byli na ulicy.

— Wydaje się, że to równy gość. Chyba nie miałem racji, odradzając pójście do niego. Jedziemy od razu do Ritza?

— Nie, muszę się trochę przejść, pomyśleć. Jestem strasznie podniecona. Pojadę kawałek z panem, ale proszę zostawić mnie przy parku. Chyba że też chce pan pospacerować.

Julius potrząsnął przecząco głową.

— Muszę zatankować, a potem wysłać parę telegramów.

— No to spotkajmy się w Ritzu o siódmej. Zjemy razem kolację w apartamencie. Nie mogę się pokazać w restauracji tak ubrana.

— Świetnie. Każę skomponować menu. Felix to świetny ober. Do zobaczenia.

W parku Tuppence ruszyła w kierunku stawu, zwanego Serpentyną. Gdy spojrzała na zegarek, była akurat szósta. Uświadomiła sobie, że nie piła popołudniowej herbaty. Po prostu zapomniała. Zresztą na nic nie miała ochoty. Nie była ani głodna, ani spragniona. Doszła aż do Kensington Gardens i wróciła powoli tymi samymi ścieżkami, czując się znacznie lepiej po spacerze na świeżym powietrzu. Nie było jej łatwo skorzystać z rady sir Jamesa i nie myśleć o tysiącu aspektów całej sprawy. Nim doszła do Hyde Park Corner, zrodziła się w niej nieprzeparta ochota powrotu w okolice South Audley Mansions.

Nie wiedziała, skąd się to wzięło, ale czuła, że musi tam pójść. Nie wróci do domu pani Vandemeyer, przejdzie się tylko ulicą. Przecież to nic nikomu nie zaszkodzi. Przejdzie się, zobaczy, co się dzieje, a potem będzie sobie mogła już spokojnie czekać do dziesiątej wieczorem.

South Audley Mansions wyglądały tak samo jak przed paroma godzinami. Tuppence sama nie wiedziała, dlaczego spodziewała się czegoś innego. Widok gmaszyska z czerwonych cegieł wzbudził w niej jednak zupełnie niezrozumiały niepokój. Co się z nią dzieje? Skarciła się za niemądre myśli i już miała zawrócić, kiedy usłyszała przeciągły gwizd i ujrzała wiernego Alberta, który wybiegał z budynku kierując się w jej stronę.

Tuppence zmarszczyła czoło i już miała na końcu języka ostrą uwagę, kiedy zobaczyła, że chłopak jest aż czerwony z przejęcia.

— Ona ucieka! — wykrzyknął Albert.

— Kto ucieka?

— Ta złodziejka. Krewka Rita! Pani Vandemeyer. Wszystko pakuje i właśnie kazała sprowadzić sobie taksówkę.

— Co ty opowiadasz? — chwyciła go za ramię.

— To prawda! Biegnę, bo może pani o tym nic nie wie.

— Albert! Jesteś bardzo kochany! Jesteś wspaniały! Gdyby nie ty, już by nam uciekła!

Albert jeszcze bardziej się zarumienił z zadowolenia.

— Nie mamy czasu do stracenia! — powiedziała Tuppence, przechodząc z Albertem przez jezdnię. — Musimy ją zatrzymać. Za wszelką cenę musimy ją za trzymać, aż... Albercie, czy jest tutaj telefon?

Chłopak przecząco potrząsnął głową.

— Na dole nie ma. Tylko lokatorzy mają telefony w mieszkaniach. I też nie wszyscy. Ale zaraz za rogiem jest bucika telefoniczna.

— Pędź więc do budki, Albercie! Zadzwoń do hotelu Ritz. Poproś o pana Hersheimmera. A kiedy usłyszysz jego głos, powiedz mu, żeby zawiadomił sir Jamesa i natychmiast tu z nim przyjechał, ponieważ pani Vandemeyer zwija manatki. Jeśli nie dodzwonisz się do pana Hersheimmera, zadzwoń pod inny numer. Znajdziesz w książce telefonicznej, zapamiętaj nazwisko: sir James Peel Edgerton! I powiedz mu to samo. Że pani Vandemeyer ucieka. Zapamiętasz nazwiska? Hersheimer i Edgerton!

Albert wszystko składnie powtórzył.

— Może mi pani zaufać! Dam sobie radę. A co pani? Nie boi się pani zostać z nią sama?

— Nie, dam sobie radę. Ale teraz pędź i dzwoń. Szybko!

Odetchnąwszy głęboko, Tuppence weszła do budynku i pobiegła schodami pod numer dwudziesty. Pojęcia nie miała, jakim sposobem zatrzymać panią Vandemeyer do *przybycia*

sojuszników, ale wiedziała, że musi to zrobić sama, bez niczyjej pomocy. Co spowodowało ten nagły wyjazd? Czyżby pani Vandemeyer ją podejrzewała?

Spekulacje teraz nie miały sensu. Tuppence nacisnęła guzik dzwonka. Może dowie się czegoś od kucharki.

Nikt nie otwierał. Odczekawszy jakiś czas, Tuppence powtórnie zadzwoniła, tym razem długo trzymała palec na *przycisku*. Wreszcie usłyszała kroki i po chwili sama pani Vandemeyer otworzyła drzwi. Na widok swojej służącej podniosła brwi. — Ty?

— Zabolał mnie ząb, proszę pani, więc sobie pomyślałam, że wrócę do domu i zrobię kompres.

Pani Vandemeyer nic nie odpowiedziała, ale otworzyła szerzej drzwi, odstąpiła na bok i pozwoliła Tuppence wejść.

— Masz w istocie wielkiego pecha — powiedziała zimnym głosem. — Najlepiej połóż się do łóżka.

— O nie, proszę pani, posiedzę sobie w kuchni. Kucharka...

— Kucharki nie ma — przerwała pani Vandemeyer bardzo nieprzyjemnym tonem. — Pozwoliłam jej wyjść. Tak więc najlepiej połóż się.

Tuppence obleciał nagle wielki strach. W głosie pani Vandemeyer zabrzmiała groźna nuta, poza tym jakby napierała na nią, wpychając ją w głąb korytarza. Tuppence zdecydowała się wyjść.

— No, to ja w takim razie...

Nim zdołała zorientować się, co pani Vandemeyer robi, poczuła przy skroni zimną stal.

— Ty głupia idiotko! Myślisz, że ja nie wiem? — Słowa wypowiedziane już otwarciem groźnym głosem uderzyły jak obuchem. — Nic nie mów! Jeśli zaczniesz się szarpać albo krzyczeć, to cię zastrzelę jak psa!

Lufa pistoletu wciskała się mocno w skroń.

— Jazda! — rozkazała pani Vandemeyer. — Tędy, do pokoju. Za minutę, kiedy ci zaaplikuję moje lekarstwo, to się grzecznie położysz. I pośpisz sobie. Tak, mój ty szpiegu, dobrze sobie pośpisz!

Te ostatnie słowa wypowiedziane ze zjadliwą serdecznością wywołały u Tuppence zimny pot. Chwilowo jednak nie było sensu nic mówić. Nie mogła także nic poradzić, więc posłusznie szła. Lufa pistoletu przez cały czas dotykała jej głowy. W sypialni pani Vandemeyer panował nieprawdopodobny nieład, wszędzie leżały porozrzucane ubrania, a na podłodze stało wielkie pudło z kapeluszami tuż obok otwartej, do połowy zapakowanej walizy.

Tuppence z trudem opanowała rozdygotanie i zebrała myśli. Głos trochę jej drżał, ale zabrzmiał mocno:

— Niech się pani chwilę zastanowi. Nie może pani strzelać! Cała kamienica usłyszy...

— Zaryzykuję — odparła pani Vandemeyer. — Nie strzełę, jeśli ty będziesz cicho i nie podniesiesz krzyku. I niech ci się nie zdaje, że się zawaham! Chytra z ciebie sztuka. Udało ci się mnie oszukać! Nie miałam cienia podejrzenia. Na szczęście w porę się dowiedziałam. Ja jestem teraz górą, a ty leżysz! I nie zapominaj o tym. Siadaj na łóżku! Ręce połóż na głowie. No, jazda! Tak, właśnie tak. I nie ruszaj się, jeśli ci życie miłe.

Tuppence zachowywała się zupełnie biernie. Rozsądek dyktował jej właśnie takie postępowanie. Mała była szansa, by ktokolwiek usłyszał jej krzyki, a jeszcze mniejsza, by pospieszył na pomoc. Chwilowo każda zyskana minuta zbliżała przyjazd Juliusa, jeżeli Albert się do niego dodzwonił. Jeżeli!

Pani Vandemeyer odłożyła pistolet na skraj umywalki. Nadal był jednak w zasięgu jej ręki. Nie odrywając wzroku od Tuppence, wzięła buteleczkę stojącą na marmurowym blacie i wlała kilkanaście kropel do szklanki, którą następnie dopełniła wodą.

— Co to jest? — spytała Tuppence podejrzliwie.

- Coś, co ci pozwoli szybko i mocno zasnąć. Tuppence zbladła.
- Chce mnie pani otruć? — szepnęła.
- Być może — odparła pani Vandemeyer z uśmiechem na twarzy.
- Ja tego nie wypiję! — odparła stanowczo Tuppence.
- Niech pani strzela! Będzie przy tym trochę hałasu, to może ktoś usłyszy i panią złapią.

Nie dam się zabić jak potulny baran!

Pani Vandemeyer tupnęła.

— Nie bądź głupia! Ty naprawdę myślisz, że chcę cię zabić? I być potem ścigana za morderstwo!? Jeśli masz odrobinę oleju w głowie, to chyba zdajesz sobie sprawę, że byłoby mi to bardzo nie na rękę. To po prostu krople nasenne. Rano obudzisz się świeża i wypoczęta, a mnie już tu nie będzie. Będę bardzo daleko. Mogłabym cię związać i zakneblować, ale to dużo kłopotu. Wolę te krople. Ale jeśli się uprzesz, to proszę! Mogę cię związać jak barana, o którym mówiłaś. Wiedz, że umiem dobrze wiązać. No, jazda! Wypij. Nic ci się nie stanie!

Właściwie Tuppence jej wierzyła. Argumenty pani Vandemeyer wydawały się logiczne. W Anglii zabójstwo karano powieszeniem. Po co miałyby ryzykować? I co by jej z takiego morderstwa przyszło? Natomiast uśpienie wroga, by mieć czas na ucieczkę, stanowiło doskonałe wyjście. Tuppence nie była jednak skłonna zrezygnować z walki. Nie da się uśpić bez jeszcze jednej próby zatriumfowania nad panią Vandemeyer. Poza tym uświadomiła sobie, że jeśli ta ucieknie, to poważnie zmniejszą się szanse odnalezienia Tommy'ego.

W krytycznych sytuacjach Tuppence potrafiła szybko myśleć. Niemalże w mgnieniu oka miała gotowy, choć bardzo problematyczny plan pognębienia pani Vandemeyer. Zerwała się nagle z łóżka i padła na kolana, łapiąc się kurczowo spódnicy swej prześladowczyni.

— Ja pani nie wierzę! — zaczęła zawodzić. — To jest trucizna! Ja dobrze wiem, że to trucizna. Niech mnie pani nie zabija! Proszę mi darować życie! — wykrzykiwała histerycznie. — Niech mnie pani nie zabija!

Pani Vandemeyer stała zdumiona ze szklanką w ręku.

Wykrzywiła jedynie pogardliwe usta, obserwując to nagłe załamanie się Tuppence.

— Wstań, ty mała idiotko! Przestań tarzać się i jęczeć! Zupełnie nie mogę zrozumieć, jak mogłaś się podjąć roli służącej u mnie. Taki tchórz i mazgaj! Wstawaj! — Tupnęła w dywan.

Tuppence jednak nadal kurczowo trzymała się jej spódnicy, zawodziła, szlochała, odwoływała się do wszystkich świętych i uczucia litości pani Vandemeyer. Każda minuta i każda sekunda liczyły się. Dobrze wiedziała, że z każdą sekundą jest bliżej celu.

Pani Vandemeyer głośno zaklęła i podciągnęła dziewczynę, niemalże pełzającą teraz po ziemi, do pozycji siedzącej.

— Wypij to natychmiast! — rozkazała, podtykając jej szklankę pod sam nos.

Tuppence wydała ostatni rozpaczliwy jęk.

— Daje pani słowo, że nic mi się nie stanie? — Jeszcze kilka sekund zwłoki!

— Oczywiście, że nic ci się nie stanie! Nie bądź głupia!

— Czy może pani przysiąc?

— Tak, tak! Przysięgam!

Drżącą ręką Tuppence sięgnęła po szklankę.

— No to dobrze — powiedziała i otworzyła usta.

Pani Vandemeyer odetchnęła z ulgą. Tuppence silnym krótkim ruchem chlusnęła zawartością szklanki w twarz swej przeciwniczki. Pani Vandemeyer zachłysnęła się i na chwilę straciła orientację. Tuppence wykorzystała tę chwilę, by chwycić pistolet leżący na skraju blatu umywalki i odskoczyć parę kroków do tyłu. Wymierzyła pistolet w samo serce pani Vandemeyer, która stwierdziła, że ręka trzymająca broń wcale nie *drży*.

W chwili odniesienia sukcesu Tuppence pozwoliła sobie na mało sportowy i raczej naganny triumf:

— No i czyje teraz na wierzchu? — wykrzyknęła.

Twarz pani Vandemeyer wykrzywiła się ze złości. Przez chwilę zdawało się, że rzuci się na Tuppence, jednak opanowała się, choć z trudem, a na jej twarzy wykwitł istic diabelski uśmiech.

— A więc nie jesteś taka głupia, jak myślałam. Całkiem dobrze sobie teraz poradziłaś! Ale zapłacisz mi za to. Jeszcze jak zapłacisz! Mam dobrą pamięć.

— Mnie z kolei bardzo dziwi, że tak łatwo dała się pani nabrać — powiedziała z pogardą Tuppence. — Jakże mogła pani pomyśleć, że jestem z gatunku tych, co czołgają się po ziemi i błagają o łaskę?

— Jeszcze będziesz to robić — odparła tamta złowrogim tonem. Tak złowrogim, że nieprzyjemny dreszcz przebiegł Tuppence po plecach.

— Może usiądziemy? — zaproponowała spokojnie. — Zachowujemy się melodramatycznie. O nie, nie na łóżku! Niech pani przysunie krzesło do stołu... O tak! A ja usiądę po drugiej stronie stołu z rewolwerem. Tak na wszelki wypadek. Doskonale. A teraz możemy spokojnie porozmawiać.

— Niby o czym? — spytała pani Vandemeyer ponuro. Przez minutę Tuppence przyglądała się jej w milczeniu.

Przypomniały jej się słowa Borysa skierowane do pani Vandemeyer, że za pieniądze gotowa jest sprzedać swoich wspólników, i jej odpowiedź, że owszem, jeśli cena będzie odpowiednio wysoka. Było to powiedziane niby żartem, ale mogło się w tym kryć także ziarno prawdy. A Whittingtonowi podczas tej rozmowy w jego biurze wyrwało się pytanie, czy to Rita się wygadała. Więc czy teraz Rita okaże się słabym ogniwem w organizacji pana Browna?

Patrząc pani Vandemeyer prosto w oczy Tuppence odpowiedziała wreszcie na jej pytanie:

— O pieniądzach!

Pani Vandemeyer wydawała się zaskoczona. Nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

— O jakich pieniądzach?

— Zaraz pani powiem. Przed chwilą oświadczyła pani, że jest pamiętliwa. Pamięć jest znacznie mniej pożyteczna od pieniędzy. Ja wiem, że każdemu człowiekowi sprawia ulgę rozmyślanie, jakie tortury zadałby swojemu wrogowi, ale czy to się opłaca? Zemsta nie przynosi korzyści. Każdy to pani powie. Ale pieniądze tak! — Mówiąc o korzyściach płynących z pieniędzy Tuppence bardzo się rozochociła. — To bardzo przyjemne mieć dużo pieniędzy.

— Czy ty myślisz, że jestem osobą, która gotowa jest sprzedać własnych przyjaciół?

— Oczywiście. Jeśli cena będzie odpowiednia! — odparła jej Tuppence.

— Może głupie sto funtów albo coś takiego?

— Nie. Ja pani proponuję sto tysięcy.

Pewne skłonności do oszczędzania nie pozwoliły Tuppence tak od razu wydać całego miliona dolarów Juliusa Hersheimera.

Pani Vandemeyer aż się zaczerwieniła.

— Ile? — zapytała, bawiąc się nerwowo broszką na sukni. I w tej właśnie sekundzie Tuppence pojęła, że pani

Vandemeyer dała się schwytać na tak okazałą sumę. Jednocześnie przeszła ją straszna myśl, że jej własne umiłowanie pieniędzy zapewne także gotowe byłoby sprowadzić ją z drogi cnoty i że trzeba zacząć zmieniać światopogląd.

— Sto tysięcy funtów szterlingów — powtórzyła. Chciwość nagle zgasła w oczach pani Vandemeyer. Wydeła usta i powiedziała:

— Eee, wszystko bujda. Pani nie ma tych pieniędzy. „Proszę jak zmienia swój stosunek do mnie, zwraca się do mnie per pani”, pomyślała Tuppence.

— Ja nie mam. Ale jest ktoś, kto ma i chce je poświęcić na uzyskanie informacji.

— Kto?

— Mój przyjaciel.  
— Chyba jakiś milioner! Tyle forsy za informacje?  
— Jest to w istocie milioner. Amerykanin. Zapłaci bez mrugnięcia okiem. Zapewniam panią, że moja propozycja jest jak najbardziej poważna.  
Pani Vandemeyer wyprostowała się.  
— Zaczynam wierzyć — powiedziała.  
Przez długą chwilę obie milczały, wreszcie pani Vandemeyer podniosła wzrok i spytała:  
— A co on chce wiedzieć?  
Przez chwilę Tuppence zmagala się z własnym sumieniem, gdyż chodziło o pieniądze Juliusa i jego interes powinien znaleźć się *na* pierwszym miejscu.  
— Chcę wiedzieć, gdzie jest Jane Finn — rzuciła.  
Pani Vandemeyer nie okazała najmniejszego zdziwienia.  
— Nie jestem pewna, gdzie znajduje się w chwili obecnej.  
— Ale mogłaby się pani dowiedzieć?  
— O tak — odparła pani Vandemeyer. — Bez najmniejszych trudności.  
— Następnie jest pewna osoba... — głos Tuppence lekko zadrżał. — Mój przyjaciel. Obawiam się, że pani znajomy, Borys, mógł mu wyrządzić jakąś krzywdę...  
— Jak on się nazywa?  
— Tommy Beresford.  
— Nigdy o nim nie słyszałam. Ale spytam Borysa. Powie mi wszystko, co wie o tej sprawie.  
— Dziękuję. — Tuppence czuła się tak dumna z siebie i swoich sukcesów, że postanowiła postawić trzeci warunek. — Jest jeszcze trzecie pytanie. Kto to jest pan Brown?! — Pochyliła się do przodu i wpatrzyła w panią Vandemeyer.  
Pani Vandemeyer nagle zbladła i jakby straciła siły. Z wysiłkiem się opanowała próbując przyjąć godną postawę. Skutek był jednak żaloszny.  
— Widocznie nie wie pani o nas wiele, skoro nie jest pani znany fakt, iż nikt nie zna prawdziwego oblicza i nazwiska pana Browna — odparła, wzruszając ramionami.  
— Nie „nikt”. Jest ktoś, kto wie. Właśnie pani! — powiedziała Tuppence pewnym siebie głosem.  
Pani Vandemeyer już odzyskująca kolory, zbladła ponownie.  
— Dlaczego jest pani tego taka pewna?  
— Jestem absolutnie pewna — skłamała Tuppence.  
Pani Vandemeyer przez dłuższą chwilę patrzyła w przestrzeń.  
— Tak! — odparła wreszcie ochryplym głosem. — Ja wiem. Byłam piękna. Widzi pani, ja byłam bardzo piękna...  
— Nadal jest pani piękna — stwierdziła Tuppence.  
Pani Vandemeyer przecząco potrząsnęła głową. W niebieskich oczach pojawił się dziwny błysk.  
— Nie na tyle... — powiedziała w jakiś przedziwnie groźny sposób. — Nie... na... tyle... piękna! I ostatnio często się boję, że... To bardzo niebezpieczne wiedzieć zbyt wiele! — Pochyliła się nad stołem. — Musi mi pani przysiąc, że nigdy nie padnie moje nazwisko. Że nikt go nigdy nie wymieni w związku z tą sprawą. I nikt się nigdy nie dowie...!  
— Obiecuję to. A kiedy on zostanie złapany, minie wszelkie niebezpieczeństwo dla pani i innych...  
W oczach pani Vandemeyer widać było okropny strach.  
— Czy minie? Czy kiedykolwiek minie?! — Przez stół chwyciła Tuppence za ramię. — Jest pani pewna tych pieniędzy?  
— Absolutnie pewna.  
— Kiedy je dostanę? Muszę dostać od razu!

— Ten mój przyjaciel niebawem się tu zjawi. Być może będzie musiał zatelegrafować po pieniądze, ale to nie zabierze wiele czasu. Otrzyma pani pieniądze natychmiast. On świetnie umie organizować takie rzeczy.

Na twarzy pani Vandemeyer pojawiła się ulga. Widać było, że podjęła decyzję.

— Więc dobrze, zgadzam się. To jest bardzo znaczna kwota, a poza tym — wykrzywiła usta w przedziwnym uśmiešku — dam mu lekcję. Że to bardzo nierozważnie porzucać kobiety taką jak ja!

Przez dłuższą chwilę siedziała tak uśmiechnięta i delikatnie przebierała palcami po stole. Nagle drgnęła i zbladła.

— Co to było?

— Nic nie słyszałam.

Pani Vandemeyer rozejrzała się dokoła z lękiem w oczach.

— Czy ktoś mógł nas słyszeć...?

— Nonsens. Tu nie ma nikogo. Nikt nie mógł słuchać.

— Nawet ściany mają uszy — wyszeptała pani Vandemeyer. — Strasznie się boję. Pani go nie zna!

— Niech pani się nie boi, lecz myśli o tych stu tysiącach funtów — odparła Tuppence uspokajająco.

Pani Vandemeyer zwilżyła językiem wyschnięte wargi.

— Pani go nie zna! — odezwała się chrapliwe. — On jest... och! — Zerwała się z wyrazem straszliwego przerażenia na twarzy i wyciągniętą ręką wskazywała nad głową Tuppence. Zachwiała się i zemdlna padła na ziemię.

Tuppence obróciła się, aby zobaczyć, co ją tak przerażyło. W drzwiach stali obok siebie sir James Peel Edgerton i Julius Hersheimer.



## CZUWANIE

Sir James przecisnął się obok Juliusa i podszedł szybkim krokiem do leżącej.

— Serce — oświadczył. — Ujrzawszy nas doznała szoku. Brandy, szybko, bo ją stracimy.

Julius podbiegł do umywalki.

— Nie tu! — zawołała Tuppence. — W oszklonej szafce w stołowym. Drugie drzwi z korytarza.

Sir James i Tuppence wspólnymi siłami podnieśli panią Vandemeyer i ułożyli ją na łóżku. Następnie spryskali twarz zimną wodą, ale bez widocznego skutku. Sir James sprawdził puls zemdlonej.

— Jest bardzo źle — powiedział. — Niechże się nasz młody przyjaciel pośpieszy z tą brandy.

Julius wrócił jakby na zawołanie, niosąc małą szklaneczkę złotawego płynu. Podał ją sir Jamesowi. Tuppence uniosła głowę pani Vandemeyer, a sir James usiłował wlać brandy przez zaciśnięte zęby. Po chwili pani Vandemeyer otworzyła oczy. Tuppence wzięła do rąk szklaneczkę i powiedziała:

— Niech to pani wypije!

Pani Vandemeyer posłuchała. Trunek przywrócił kolory jej twarzy i szybko ożywił ją całą. Spróbowała usiąść, ale z jękiem opadła na poduszki.

— Moje serce — wyszeptła. — Nie mogę mówić... Leżała z zamkniętymi oczami i z trudem oddychała. Sir James ponownie sprawdził puls.

— No, już lepiej — powiedział.

Wszyscy troje odstepili od łóżka i zaczęli szeptać w kącie sypialni. Kryzys chyba minął, nie było jednak mowy o jakimkolwiek przesłuchaniu pani Vandemeyer. Zastanawiali się, co dalej robić.

Tuppence opowiedziała o swej rozmowie z panią Vandemeyer i jej gotowości ujawnienia tożsamości pana Browna, a także miejsca pobytu Jane Finn.

— Wspaniale się pani udało, panno Tuppence! Moje gratulacje! — Julius nie ustawał w pochwałach. — Mam nadzieję, że jutro rano sto tysięcy funtów będzie wyglądało równie ponętnie jak wieczorem. Nie mamy się czym martwić. Zresztą teraz i tak by nic nie powiedziała, nie widząc pieniędzy.

Julius mówił bardzo rozsądnie, Tuppence poczuła się trochę pewniej.

— W zasadzie ma pan rację — odezwał się sir James. — Szkoda bardzo, że zjawiliśmy się akurat w takim momencie. No cóż, stało się. Teraz trzeba czekać do rana.

Spojrzał na nieruchomą sylwetkę na łóżku. Pani Vandemeyer leżała jak martwa z zamkniętymi oczami. Oddychała jednak równo.

— A więc po prostu musimy poczekać tu do rana — powiedziała Tuppence. — Właśnie w jej mieszkaniu.

— A może by tak zostawić na straży tego chłopaczka od windy? — spytał Julius.

— Alberta? A jeśli ona przyjdzie do siebie i będzie chciała uciec? Albertowi nie uda się jej zatrzymać.

— Nie myślę, żeby tak łatwo zrezygnowała z pieniędzy.

— Nie wiadomo. Okropnie boi się pana Browna.

— Aż taka nim przerażona?

— Jeszcze jak! Rozejrzała się dokoła i powiedziała, że nawet ściany mają uszy.

— Może myślała, że tu w mieszkaniu jest gdzieś ukryty jakiś mikrofon — zasugerował Julius.

— Panna Tuppence ma rację — odezwał się cicho sir James. — Powinniśmy pozostać w mieszkaniu. Choćby dla dobra pani Vandemeyer...

Julius spojrział zdumiony.

— Myśli pan, że on może ją sprzątnąć? Teraz? Między wieczorem a porankiem? A skąd by wiedział, że ona zgodziła się coś o nim powiedzieć?

— Sam pan przed chwilą wspomniał o możliwości istnienia podsłuchu. Nasz przeciwnik jest niesłychanie przemyślny — stwierdził twardo *sir* James. — Musimy postępować bardzo ostrożnie, jeśli chcemy dostać go w swoje ręce. A chcemy i dostaniemy. Nie wolno nam niczego zaniedbywać. Mamy w jej osobie ważnego świadka, którego należy osłaniać. Proponuję, aby panna Tuppence położyła się spać, a my, panie Hersheimer, podzielimy między siebie czas czuwania.

Tuppence miała już zaprotestować, ale przypadkowo rzuciła okiem na łóżko i zobaczyła, że pani Vandemeyer ma półotwarte oczy, a na jej twarzy maluje się przerażenie i nienawiść. Słowa protestu zastygły jej na ustach.

Przez chwilę myślała, że całe to omdlenie i atak serca były tylko udawaniem, ale przypomniała sobie kredową biel twarzy pani Vandemeyer. Tego udawać nie można. Pani Vandemeyer spostrzegła wzrok Tuppence. Przed chwilą wykrzywiona twarz nagle stała się obojętna i martwa, powieki opadły. Tuppence pomyślała, że może to tylko złudzenie. Może to jej wyobraźnia zniekształciła twarz pani Vandemeyer? Wszystko to było niesłychanie tajemnicze i Tuppence postanowiła być bardzo czujna.

— No dobrze. Ale chwilowo możemy już stąd wyjść — powiedział Julius.

Sir James i Tuppence wymruczeli aprobatę. Sir James raz jeszcze zmierzył puls leżącej.

— Zupełnie dobry — powiedział cicho do Tuppence. — Rano już wszystko będzie w porządku.

Tuppence chwilę się wahała, pochylona nad łóżkiem. Nie mogła pozbyć się niepokojącego wrażenia, jakie zrobiło na niej poprzednie spojrzenie pani Vandemeyer, która teraz znów uniosła powieki. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Tuppence pochyliła się jeszcze niżej.

— Nie... odchodź... — nie mogła dalej mówić. Wymamrotała coś jeszcze, co zabrzmiało jak „śpiąca”. Robiła wysiłki, ale żaden dźwięk nie wychodził z jej ust.

Tuppence prawie przyłożyła do nich ucho. Słyszała chrapliwy oddech. I dwa słowa: „pan... Brown...”

Półotwarte oczy przekazywały jakiś dramatyczny apel czy też informację.

Powodowana nagłym impulsem Tuppence powiedziała:

— Ja tu z nią zostanę przez całą noc.

W oczach pani Vandemeyer zobaczyła nagłą ulgę i powieki znowu opadły. Kobieta zasnęła.

Tuppence poczuła się bardzo nieswojo. Dręczyła ją jeszcze nie w pełni sformułowana myśl i przedziwny niepokój. Te dwa wyszeptane słowa: „pan Brown”! Co chciała jej powiedzieć, przed czym przestrzec? Tuppence obejrzała się nerwowo przez ramię. W kącie stała wielka szafa, która nabrała nagle groźnego znaczenia. Z łatwością mógł się w niej ktoś ukryć... Wstydząc się własnej podejrzliwości otworzyła szafę. Oczywiście nikogo w niej nie było. Następnie zajrzała pod łóżko. Także nikogo.

Wzruszyła ramionami. Nie wolno ulegać nerwom. Wyszła z pokoju na korytarz, gdzie obaj mężczyźni, czekając na nią, prowadzili przyciszoną rozmowę. Sir James odwrócił się.

— Proszę zamknąć drzwi na klucz i zabrać go ze sobą, panno Tuppence. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał tam wejść.

Powiedział to tak poważnie, że Tuppence przestała się wstydzić swoich „nerwów”.

— Chyba skoczę na dół i uspokoję tego Alberta — powiedział Julius. — Ale to bystry chłopak! Znalazła pani doskonałego współpracownika, panno Tuppence!

— A jak panowie dostali się do mieszkania? — zaciekała się nagle. — Zapomniałam spytać.

— No więc Albert dodzwonił się do mnie bez kłopotu — odparł Julius. — Pojechałem natychmiast rollsem po sir Jamesa i błyskawicznie zjawiliśmy się tutaj. Chłopak czekał na nas, martwiąc się, czy coś się pani nie przytrafiło. Powiedział, że stał trochę pod drzwiami, ale nic nie usłyszał. Za jego radą zeszliśmy do piwnicy i pojechaliśmy na górę windą na węgiel. Brudno i ciasno, ale przez to mogliśmy ominąć dzwonienie do drzwi, bo węglowa winda prowadzi prosto do kuchni. Albert miał czekać na dole i pewno teraz obgryza paznokcie ze zdenerwowania. — Po tych słowach Julius odszedł.

— Zna pani to mieszkanie lepiej ode mnie, panno Tuppence — odezwał się sir James. — Które pomieszczenie nadaje się na naszą kwatere?

Przez chwilę się zastanawiała.

— Chyba najwygodniejszy będzie buduar pani Vandemeyer — odparła i poszła przodem.

Sir James rozejrzał się po pokoju z aprobatą i zwrócił do Tuppence:

— A teraz, drogie dziecko, połóż się i prześpij! Odmówiła ruchem głowy.

— Nie mogłabym spać. Przez cały czas śniłby mi się pan Brown.

— I tak będziesz o nim myślała, drogie dziecko. A poza tym jesteś strasznie zmordowana.

— Nie będę spała. Wolę czuwać. Naprawdę. Sir James dał za wygraną.

Po kilku minutach wrócił Julius. Powiedział, że uspokoił chłopca i przy okazji wynagrodził go za pomoc. Kiedy i jemu nie udało się namówić Tuppence na nocny odpoczynek, zaproponował:

— W każdym razie musi pani coś zjeść, prawda? Gdzie tu jest spiżarnia?

Tuppence wskazała mu drogę. Wrócił po paru minutach z paszтетem i trzema talerzami.

Po dość obfitym posiłku dziewczyna była skłonna śmiać się ze swoich niepokojów sprzed pół godziny. Wszystko będzie dobrze, siła pieniędzy Hersheimmera nie zawiedzie.

— A teraz, panno Tuppence, niech nam pani wszystko opowie! — zaproponował sir James.

— Właśnie! Słuchamy! — zawtórował mu Julius. Tuppence opowiadała nawet z pewną przyjemnością, gdyż była z siebie dumna. Julius od czasu do czasu przerywał jej okrzykiem „Ale dziewczyna!”, natomiast sir James nie odezwał się, póki nie skończyła, a wtedy pochwalił krótkim: „Dobra robota!”

Zaczerwieniła się z zadowolenia.

— Jednej rzeczy nie mogę zrozumieć — odezwał się Julius. — Co ją skłoniło do próby ucieczki?

— Nie mam pojęcia — wyznała Tuppence. Sir James gładził w zamyśleniu podbródek.

— W pokoju panował wielki nieporządek. Wygląda na to, że ucieczka nie była wcześniej planowana — powiedział. — Zupełnie jakby otrzymała od kogoś nagłe ostrzeżenie.

— Pewnie od pana Browna — zakpił Julius.

Sir James spojrzał na niego bacznie, długo zatrzymując wzrok na twarzy Amerykanina.

— Dlaczego nie? — powiedział wreszcie. — Pan sam miał z nim niefortunne spotkanie.

Julius poczerwieniał.

— Jeszcze teraz diabli mnie biorą, jak sobie przypomnę, że mu dobrowolnie oddałem fotografię Jane. Niech no ja go dostanę w swoje ręce!

— Taka możliwość jest mało prawdopodobna — odparł sir James oschle.

— Pewnie ma pan rację. No i nie o fotografię mi chodzi, ale o Jane Finn z krwi i kości. Muszę ją znaleźć. Gdzie ona może być?

— To trudno powiedzieć. Ale wydaje mi się, że wiem, gdzie niedawno była.

— Pan wie, gdzie była? — spytał Julius zdumiony. Sir James się uśmiechnął.

— W miejscu pańskiej nocnej przygody, w tym sanatorium w Bournemouth.

— Tam? Niemożliwe, pytałem przecież.

— Nie, mój drogi panie. Pan pytał, czy nie ma tam lub czy nie było osoby o nazwisku Jane Finn. Jeśli tę kobietę tam umieszczono, to z pewnością nie pod jej własnym nazwiskiem.

— Święta racja! — wykrzyknął Julius. — Nie pomyślałem o tym!

— A to było takie oczywiste.

— Może doktor jest w to również wmieszany — wtrąciła Tuppence.

Julius przecząco potrząsnął głową.

— Nie wydaje mi się. Z miejsca poczułem do niego sympatię. Nie. Jestem pewien, że doktor Hall jest w zupełnym porządku.

— Powiedział pan, Hall? — zdziwił się sir James. — To ciekawe... To jest bardzo ciekawe...

— Dlaczego? — spytała Tuppence.

— Ponieważ właśnie dziś rano natknąłem się na doktora Halla. Znamy się od wielu lat. Bardzo rzadko się widzimy, ale znamy. Dziś rano spotkałem go na ulicy. Powiedział mi, że zatrzymał się w hotelu Metropol. — Zwrócił się do Juliusa: — Nic panu nie mówił, że wybiera się do Londynu?

Julius przecząco potrząsnął głową.

— Ciekawe... — powtórzył sir James. — Dziś po południu nie wspomniał pan jego nazwiska. Gdyby pan to uczynił, poradziłbym panu raz jeszcze iść do niego, tym razem z moim biletem wizytowym. Może wtedy udzieliliby panu dodatkowych informacji.

— Coś słabo myślę — przyznał Julius z niezwykłą jak na niego pokorą. — Przecież powinienem był od razu ruszyć głową. To niemal pewne, że użyto fałszywego nazwiska.

— Niech się pan nie przejmuje! — zaprotestowała Tuppence. — I tak dobrze, że w ogóle udało się panu zebrać myśli po upadku z drzewa. Cud, że nie stało się nic poważniejszego.

— Nie ma o *czym* mówić. Mamy panią Vandemeyer i nikt więcej nie jest nam potrzebny.

— To prawda — potwierdziła Tuppence, ale w jej głosie czaiło się zwątpienie.

Zamilkli. Powoli ogarniał ich przedziwny nastrój towarzyszący zawsze późnym godzinom nocnym. Skrzypiały meble, nieznacznie szeleściły zasłony na oknach, coś stuknęło. Nagle Tuppence zerwała się z cichym okrzykiem.

— Nie mogę nic na to poradzić. Mam dziwne przeczucie. Więcej, pewnośc, że w mieszkaniu jest pan Brown. Czuję go!

— Ależ Tuppence, co ty wygadujesz?! — powiedział Julius. — Mamy otwarte drzwi do holu. Przez drzwi wejściowe nikt nie mógł niepostrzeżenie wrejść...

— Nic na to nie poradzę. Ja go czuję!

Z niemym apelem w oczach spojrzała na sir Jamesa, który odpowiedział bardzo poważnie:

— Z pełnym szacunkiem dla pani przeczuc, panno Tuppence, ośmielam się stwierdzić, że jest to po prostu niemożliwe, aby w mieszkaniu był ktokolwiek poza nami.

Te słowa przywróciły jej nieco lepsze samopoczucie.

— Cóż, nocą człowiek zawsze jest trochę spięty i wyobraźnia pracuje — stwierdziła.

— To prawda — przytaknął sir James. — Przypominamy trochę ludzi, którzy zebrali się na seans spirytystyczny. Może i osiągnęlibyśmy wspaniałe rezultaty, gdyby było wśród nas dobre medium.

— Pan wierzy w spirytualizm? — spytała Tuppence, szeroko otwierając oczy.

Sławny prawnik wzruszył ramionami.

— Z pewnością jest w tym żdźbło prawdy. Jednakże większość sensacyjnych zeznań uczestników takich seansów nie wytrzymałaby próby przesłuchania przed sądem.

Godziny mijały. Wraz z pierwszym brzaskiem dnia sir James rozsunął kotary na oknach. Ujrzeni to, co tylko niewielu londyńczyków ogląda: słońce wschodzące nad śpiącym miastem. Światło dzienne przyniosło ulgę i wszystkie nocne obawy wydały się śmieszne. Tuppence poczuła, że powraca jej dobry humor.

— Hurra! — wykrzyknęła. — Czeka nas wspaniały dzień. I znajdziemy Tommy'ego. A może i Jane Finn. I wszystko pięknie się ułoży. Poproszę pana Cartera, żeby mi przyznano order!

O siódmej Tuppence oświadczyła, że idzie do kuchni zaparzyć herbatę. Wróciła z tacą, na której stał czajniczek i cztery filiżanki.

— Dla kogo czwarta filiżanka? — spytał Julius.

— Dla naszego więźnia. Dla pani Vandemeyer. Możemy ją chyba nazwać więźniem?

— Po tym, co zaszło wczoraj wieczorem, noszenie jej herbaty wydaje się aż dziwne.

— Racja. Ale jednak jej podam — odparła Tuppence. — Może panowie będą łaskawi iść ze mną. Nie wiem, w jakim nastroju pani Vandemeyer się obudzi i czy na przykład nie będzie się chciała rzucić na mnie...

Sir James i Julius spełnili jej prośbę.

— A gdzie jest klucz? Oo, zapomniałam. Przecież to ja go mam.

Włożyła klucz do zamka, przekręciła, po czym obróciła się do obu mężczyzn i spytała prawie szeptem:

— A jeśli ona nam uciekła?

— Absolutnie wykluczone! — odparł Julius. Sir James nie odezwał się.

Tuppence wciągnęła głęboko powietrze, nacisnęła klamkę i weszła. Odetchnęła z ulgą widząc panią Vandemeyer w łóżku.

— Dzień dobry! — powiedziała wesoło. — Przyniosłam pani herbatę.

Pani Vandemeyer nie odpowiedziała. Tuppence odstawiła kubek na stolik przy łóżku i podeszła do okna, żeby rozsunąć zasłony. Gdy się obróciła w stronę łóżka, pani Vandemeyer ciągle jeszcze leżała bez ruchu. Targnięta złym przeczuciem Tuppence podbiegła i ujęła dłoń pani Vandemeyer. Była zimna jak lód! Pani Vandemeyer już nigdy nic nie wyjawi...

Okrzyk Tuppence przywołał mężczyzn. Pani Vandemeyer nie żyła już od wielu godzin. Zmarła podczas snu.

— Jakież to straszny pech! — wykrzyknął Julius zupełnie zrozpaczony.

Sir James był znacznie spokojniejszy, chociaż w jego oczach pojawił się dziwny błysk.

— Jeśli to można nazwać tylko pechem — powiedział krótko.

— Chyba pan nie myśli...? Nie, skąd, to absolutnie niemożliwe. Tu nikt nie mógł wejść! — zareagował na to Julius.

— To prawda — zgodził się sir James. — Nie widzę możliwości, by ktokolwiek mógł wejść. Z drugiej strony pani Vandemeyer oświadcza, że wyjawi, kim jest pan Brown... i umiera. Pan to nazywa pechem? Bo ja bardzo dziwnym zbiegiem okoliczności.

— Ale jak...?

— Właśnie, jak? Musimy znaleźć odpowiedź na to pytanie. — Sir James stał chwilę w milczeniu, gładząc się delikatnie po podbródku. — Musimy się tego dowiedzieć! — powiedział takim głosem, że aż dreszcz przeszył Tuppence i pomyślała sobie, że pan Brown zapewne również poczułby się nieswojo.

Julius spojrział w kierunku okna.

— Okno jest otwarte. Czy to możliwe, by...? — rozpoczął pytanie, ale Tuppence mu przerwała:

— Balkon sięga jedynie buduaru. Myśmy tam byli.

— Mógł się jakoś prześliznąć... — upierał się Julius.

— Metody pana Browna są bardziej wyrafinowane — z kolei sir James przerwał Juliusowi. — Musimy teraz posłać po lekarza, ale nim to zrobimy, sprawdźmy, czy jest coś w tym pokoju, co może mieć dla nas znaczenie.

Wszyscy troje zaczęli przeszukiwać sypialnię. W kominku znaleźli ślady wskazujące, że spalono jakieś papiery. Najwidoczniej pani Vandemeyer przed ucieczką niszczyła, co jej było niepotrzebne. Przeszukali i inne pokoje, ale nic nie znaleźli.

— A w sejfie? — spytała Tuppence, wskazując palcem staromodną stalową skrzynkę wpuszczoną w mur. — To jest schowek na biżuterię, ale może tam są jakieś dokumenty.

W drzwiczkach tkwił klucz. Julius otworzył je, zajrzał do środka, po czym długo coś szperał.

— No i co? — spytała Tuppence zniecierpliwiona.

Julius chwilę milczał, a potem zamykając stalowe drzwi, odpowiedział:

— Nic.

Pięć minut później przyszedł pośpiesznie wezwany młody lekarz. Rozpoznał sir Jamesa i był wobec niego uniżenie grzeczny.

— Zatrzymanie pracy serca albo nadmierna dawka środka nasennego. — Wciągnął nosem powietrze. — Czuję zapach chloralu!

Tuppence przypomniała sobie zawartość szklanki, którą chlusnęła w twarz pani Vandemeyer poprzedniego dnia. Gdzie jest ta butelka, z której nalała wcześniej kilkanaście kropli? Podbiegła do umywalki i zobaczyła ją.

Wczoraj była prawie pełna. Teraz stała pusta.

## KONSULTACJA

Tuppence zadziwiła sprawność, z jaką sir James wszystko załatwił. I łatwość, z jaką mu to przyszło. Doktor bez zastrzeżeń przyjął teorię, że pani Vandemeyer przypadkowo zażyła nadmierną ilość chloralu, i zgodził się, że dalsze dochodzenie przyczyn zgonu jest zbędne. Jeśli jednak policja wniosłaby zastrzeżenia, to natychmiast zawiadomi sir Jamesa. Lekarz przyjął także podaną mu wersję przyczyn tragedii. Otóż pani Vandemeyer była w przededniu wyjazdu za granicę, odprawiła już służbę i znajdowała się sama w mieszkaniu. Sir James z dwójgiem przyjaciół przyszli się pożegnać. Pani Vandemeyer nagle zasłabła, więc goście nie chcąc chorej pozostawiać samej, postanowili spędzić tu noc. Doktor chciał wiedzieć, czy pani Vandemeyer miała jakichś krewnych. Sir James odparł, że nie jest mu to wiadome, ale skierował go do jej adwokata.

Wkrótce po lekarzu zjawiała się pielęgniarka, aby zająć się wszystkimi koniecznymi sprawami, i trójka nocnych gości mogła wreszcie opuścić mieszkanie przesiąknięte atmosferą tajemnicy i śmierci.

— I co teraz? — spytał Julius z rezygnacją. — Położono nas na łopatki i wyliczono.

Sir James w zamyśleniu gładził podbródek.

— Jeszcze nie — powiedział. — Jest jeszcze szansa, że dowiemy się czegoś od doktora Halla.

— O rety! Zupełnie o nim zapomniałem! — wykrzyknął Julius.

— Szansa niewielka, ale nie należy jej zaprzepaszczać. Chyba wam wspomniałem, że Hall zatrzymał się w hotelu Metropol. Proponuję, abyśmy go bez zwłoki odwiedzili. Oczywiście po porannej kąpieli i śniadaniu.

Uzgodniono, że Amerykanin i Tuppence pojedą do Ritza, a następnie wrócą po sir Jamesa samochodem.

Wszystko odbyło się, jak planowali, i parę minut po je denastej cała trójka zajechała przed Metropol. Recepcjonista wysłał pikolaka na poszukiwanie doktora Halla, który zjawił się już po paru minutach.

— Czy może pan nam poświęcić kilka minut, doktorze? — spytał sir James. — Pan pozwoli, że przedstawię. Doktor Hall, panna Cowley. A to jest pan Hersheimer, którego pan już chyba poznał?

W oczach doktora pojawił się figlarny ognik, gdy ścisnął dłoń Amerykanina.

— A tak, mój młody przyjaciel, który spadł mi z drzewa. Kostka w porządku?

— Wszystko w najlepszym porządku dzięki pańskiej fachowej opiece!

— A kłopoty sercowe? — roześmiał się doktor.

— Nadal trwają, nadal szukam — odparł Julius.

— Czy możemy zamierać z panem kilka słów? Na osobności — odezwał się sir James.

— Ależ oczywiście! Chodźmy tam, nikt nam nie przeszkodzi...

Poszli za lekarzem i usiedli w wyściełanych fotelach saloniku przy głównym holu. Doktor pytająco spojrział na sir Jamesa.

— Doktorze Hall, bardzo mi zależy na znalezieniu pewnej młodej damy w celu uzyskania od niej oświadczenia. Mam podstawy sądzić, że spędziła ona jakiś czas w pańskim sanatorium w Bournemouth. Mam nadzieję, że prosząc o to, nie naruszam żadnej z zasad obowiązujących lekarza...

— Czy chodzi o zeznanie tej osoby w jakiejś sprawie? Sir James przez chwilę się wahał, by wreszcie odpowiedzieć jednym słowem:

— Tak.

— Jestem gotów udzielić panu wszelkich informacji. Jak się ta młoda dama nazywa? Pan Hersheimer już mi mówił, przypominam sobie... — obrócił się do Amerykanina.

— W tym wypadku nazwisko jest nieistotne — oświadczył sir James. — Z całą pewnością przebywała u pana pod przybranym. Ale przedtem chciałbym jeszcze wiedzieć, czy znana jest panu osoba pani Vandemeyer?

— Pani Vandemeyer z South Audley Mansions? Owszem, owszem. Ale niezbyt dobrze.

— Więc pan nie wie, co się jej przydarzyło?

— Przydarzyło?

— Pani Vandemeyer nie żyje.

— O Boże! Nie miałem najmniejszego pojęcia. Kiedy to się stało?

— Ubiegłej nocy. Przedawkowanie chloralu.

— Świadome?

— Myślę, że przypadkowe. Tak przynajmniej sądzi lekarz. Ja się nie chcę wypowiadać w tej sprawie. W każdym razie dziś rano znaleziono ją martwą.

— To bardzo smutne. Niezmiernie przystojna kobieta. Przypuszczam, że była bardzo dobrą pańską znajomą, skoro zna pan wszystkie szczegóły jej śmierci?

— Znam szczegóły, ponieważ... hm... ponieważ to ja odkryłem jej śmierć dziś rano.

— Co pan powie? — odparł doktor nieco zdziwiony.

— Tak, właśnie tak — powtórzy! sir James, w zamyśleniu gładząc podbródek.

— To bardzo smutna wiadomość, ale nie mam pojęcia, jaki ma związek ze sprawą, w której państwo przyszli.

— Ma pewien związek, doktorze. Czy pani Vandemeyer nie umieściła w pańskim sanatorium jakiejś swojej krewnej?

Julius zaciekawiony pochylił się do przodu.

— Cóż, zgadł pan — odparł doktor Hall.

— Pod jakim nazwiskiem?

— Janet Vandemeyer. Pani Vandemeyer oświadczyła mi, że jest to jej siostrzenica.

— Kiedy to było?

— Jeśli dobrze sobie przypominam, to w czerwcu lub w lipcu piętnastego roku.

— Czy to była jakaś... choroba umysłowa?

— Ależ skąd. Całkowicie zdrowa psychicznie dziewczyna. Z tego, co mi pani Vandemeyer powiedziała, zrozumiałem, że płynęła z siostrzenicą do Anglii. Na statku „Lusitania”, który właśnie w czasie tego rejsu został zatopiony. W efekcie siostrzenica doznała poważnego szoku...

— Chyba natrafiliśmy na właściwy ślad. — Zwrócił się sir James do pozostałych.

— Ależ ze mnie cymbał! — wykrzyknął Amerykanin. — Powinienem być o to wszystko spytać doktora, gdy się z nim po raz pierwszy widziałem!

Doktor patrzył na swoich rozmówców z wielkim zaciekawieniem.

— Wspomniał pan, sir James, że potrzebuje pan jej zeznań — odezwał się. — Przypuśćmy jednak, że ona nie będzie do tego zdolna?

— Dlaczego? Przecież powiedział pan przed chwilą, że jest całkowicie zdrowa na umyśle!

— To prawda. Jesliby pan chciał jednak uzyskać od niej jakiegokolwiek zeznania dotyczące faktów sprzed siódmego maja piętnastego roku, będzie to niemożliwe.

Wszyscy troje patrzyli na doktora bardzo zaskoczeni. Ten lekko się uśmiechnął.

— Niestety. Wielka to szkoda, zwłaszcza że jak wnoszę, sprawa jest wielkiej dla was wagi. Niestety, ona z pewnością wam nic nie powie.

— Dlaczego, u diabła?

Doktor Hall spojrział wyrozumiałym wzrokiem na rozgorączkowanego Amerykanina.

— Dlatego, młody przyjacielu, że Janet Vandemeyer cierpi na całkowitą utratę pamięci.

— Co?

— Tak jest. Bardzo interesujący przypadek. Niestychanie interesujący. Ale właściwie wcale nie taki rzadki, jak by można było sądzić. Medycyna zna wiele takich przypadków, ja



jednak spotkałem się z tym po raz pierwszy i muszę powiedzieć, że niezwykle mnie zainteresował. — Doktor mówił o tym niemal z satysfakcją.

— I ona absolutnie nic sobie nie przypomina? — spytał sir James.

— Jak powiedziałem, absolutnie nic z tego, co wydarzyło się przed siódmym maja piętnastego roku. Po tej dacie pamięta wszystko równie dobrze jak pan czy ja.

— Jakie pierwsze fakty sobie przypomina?

— Przybicie do brzegu łodzi z grupą rozbitków. Wszystko, co było wcześniej, poszło w zapomnienie. Nie pamięta swego nazwiska, skąd pochodzi, skąd przybyła. Co więcej: nie potrafi nawet powiedzieć słowa w swoim rodzimym języku.

— To chyba jakiś zupełnie niecodzienny przypadek! — zauważył Julius.

— O nie, mój panie. Dość częsty w takich okolicznościach. Porażenie systemu nerwowego w wyniku szoku. Utrata pamięci przeważnie dotyczy przeszłości do momentu wypadku. Zaproponowałem pani Vandemeyer specjalistę od takich spraw w Paryżu, ale odmówiła. Powiedziała, że nie chce rozgłosu.

— O tak, bardzo jej zależało, by nie nadawać rozgłosu całej sprawie — mruknął sir James.

— Uległem jej życzeniu — powiedział doktor. — W pewnym sensie miała rację. Specjaliści lubią się chwalić podobnie interesującymi przypadkami. Chodzi o ich zawodowy prestiż. A siostrzenica była bardzo młoda. Miała może dziewiętnaście lat. Nie dość, że ją spotkało takie nieszczęście, a jeszcze miałyby stać się przedmiotem niezdrowej sensacji! Mogłoby to bardzo zaszkodzić jej życiowym szansom. A poza tym, bądźmy szczerzy, nie ma cudownych leków ani cudownych metod. Jest to w zasadzie sprawa czasu...

— Czasu?

— Oczywiście. Wcześniej czy później pamięć wraca, równie nagle, jak ustąpiła. Ale wówczas występuje przeważnie ciekawy fenomen — dziewczyna najprawdopodobniej nie pamiętałaby niczego z okresu od chwili utraty pamięci do chwili jej odzyskania. Jakby rozpoczęła życie na nowo od momentu zatopienia „Lusitanii”.

— A kiedy może nastąpić powrót pamięci w tym właśnie przypadku?

Doktor wzruszył ramionami.

— Tego nie można przewidzieć. Czasami pamięć całkowicie powraca już po paru miesiącach, a czasami trwa to całe lata. Słyszałem o przypadku, kiedy pacjent odzyskał pamięć po dwudziestu latach. Bywa, że kolejny szok sprawia, iż amnezja ustępuje. Pierwszy szok usypia pamięć, drugi ją budzi.

— Mówi pan, że kolejny szok...? — mruknął w zamyśleniu Julius.

— Właśnie. Taki przypadek zdarzył się w Kolorado... — I doktor Hall zagłębił się w szczegółowe opisywanie tego niecodziennego wydarzenia.

Julius jednak wydawał się nie słuchać, lecz zmarszczywszy brwi nad czymś rozmyślał. Nagle jakby się obudził i tak mocno uderzył pięścią w stół, że aż wszyscy podskoczyli.

— Chyba mam rozwiązanie, doktorze! — wykrzyknął. — Proszę o pańską profesjonalną ocenę mojego planu. Powiedzmy, że Jane odbywa kolejną podróż morską. I zdarza się dokładnie to samo. Pojawia się ponownie łódź podwodna, statek trafiony torpedą tonie, pasażerowie wsiadają do łodzi ratunkowych i tak dalej. Czy to mogłoby wywołać szok, który by przywrócił jej pamięć? Czy jej podświadomość nie zostałaby na tyle uderzona, czy jak to tam nazwać, by wszystko łącznie z pamięcią znowu zaczęło funkcjonować jak przedtem?

— Bardzo ciekawa koncepcja, panie Hersheimer. Są to jednak daleko idące spekulacje. Gdyby taka rzecz była możliwa, to w istocie pamięć mogłaby powrócić. Niestety, nie ma szansy, aby okoliczności, o których pan mówi, się powtórzyły.

— Nie w rzeczywistości, doktorze! Ja mówię tutaj o sztuczce, o wyreżyserowaniu takiego przeżycia.

— Sztuczce?

— To nic trudnego — kontynuował Amerykanin. — Wystarczy wynająć statek...

— Wynająć statek? — słabym głosem zapytał doktor Hall.

— Wynajmiemy statek, wynajmiemy pasażerów! — wykrzyknął Julius. — Z łodzią podwodną mogą być trudności, ale... Teraz, po wojnie, rządy mają masę pływającego sprzętu, z którym nie wiedzą, co dalej robić. Oczywiście nikt nie wynajmie łodzi podwodnej pierwszemu lepszemu, ale są sposoby załatwienia i tej sprawy. Zna pan takie słowo „łapówka”? Łapówki były, są i będą! Torpedę możemy sobie w zasadzie darować. Jeśli wszyscy na pokładzie zrobią dość zamieszania i będą głośno krzyżeć, że statek tonie, to powinno wystarczyć takiemu niewiniątku jak moja Jane. Kiedy włoży pas ratunkowy, kiedy zostanie sprowadzona do łodzi ratunkowej wśród histeryzujących dokoła niej ludzi, to powinna wrócić pamięcią do maja tysiąc dziewięćset piętnastego roku. Jak się panu podoba mój scenariusz?

Doktor Hall znieruchomiał ze wzrokiem utkwionym w Juliusa, a oczy jego wyrażały to wszystko, czego nie potrafiłyby słowa i czego raczej nie odważyłyby się powiedzieć, by nie obrazić rozmówcy.

— Wcale nie! — odparł Julius, zrozumiałwszy dobrze to spojrzenie. — Nie jestem szaleńcem. Wszystko, co powiedziałem, jest możliwe do zorganizowania. U nas w Stanach robi się to codziennie dla byle filmu. Czy nie wdział pan w kinie zderzeń pociągów? Co za różnica między kupnem starych wagonów a równie starej krypy? A kiedy zdobędę rekwizyty, już bez najmniejszej trudności mogę wynająć aktorów i statystów.

Doktor Hall odzyskał głos.

— Ale koszty, drogi panie, koszty! — Podniósł głos: — To by kosztowało nieprawdopodobną sumę!

— Nie ma zmartwienia. Mam pieniądze! — odparł Julius. Doktor Hall zwrócił się z niemy apelem do sir Jamesa,

który lekko się uśmiechnął i powiedział:

— Pan Hersheimer dysponuje pieniędzmi. I to całkiem sporymi.

Doktor Hall spojrział na Juliusa nowym wzrokiem. Już nie traktował go jako ekscentrycznego młodego człowieka, który spada z drzew i opowiada bajeczki. W jego oczach krył się szacunek należny bogatemu człowiekowi.

— Bardzo interesujący plan. Doskonała propozycja — mruknął. — Oczywiście, ma pan rację. Przygotować taką scenę jak do filmu... bardzo interesujące... Wy w Ameryce... No, tak. My tutaj w Anglii jesteśmy trochę zacofani. I naprawdę chciałby pan przeprowadzić taki eksperyment?

— Zapewniam pana, doktorze, że jestem absolutnie zdecydowany!

No i doktor Hall uwierzył Juliusowi, ale tylko ze względu na jego narodowość. Gdyby bowiem podobny projekt przedstawił mu Anglik, doktor miałby nadal wielkie wątpliwości, co do stanu jego umysłu.

— Nie gwarantuję, że pacjentka odzyska pamięć — zastrzegł się jeszcze. — Jest to prawdopodobne, ale wcale nie pewne. Chciałbym to raz jeszcze podkreślić.

— Oczywiście, dobrze pana rozumiem — powiedział Julius. — Niech pan mi tylko dostarczy Jane, reszta roboty należy do mnie..

— Jane?

— Pannę Janet Vandemeyer, niech będzie. Czy możemy stąd zadzwonić do pańskiego sanatorium, żeby ją nam tu przysłali, czy też pojedziemy po nią?

Doktor patrzył tępo.

— Przepraszam pana, panie Hersheimer, ale przecież pan wie...?

— Co mam wiedzieć?

— Że u mnie już nie ma panny Vandemeyer!

## TUPPENCE OTRZYMUJE PROPOZYCJĘ

Julius zerwał się jak oparzony.

— Co to znaczy, nie ma?

— Myślałem, że jest pan tego świadomy...

— Kiedy wyjechała?

— Zaraz, zaraz. Dziś jest poniedziałek, prawda? No to w ubiegłą środę... Oczywiście! To było tego samego dnia, kiedy pan spadł z drzewa!

— Przed moim upadkiem czy po?

— Zaraz, zaraz... Po, na pewno po. Otrzymałem bardzo pilny telegram od pani Vandemeyer. Młoda dama i jej pielęgniarka wyjechały nocnym pociągiem.

Amerykanin bezwładnie opadł na fotel.

— Teraz sobie przypominam. Siostra Edyta... wyjechała z pacjentką... Pan mi to powiedział. Mój Boże, a byłem już tak blisko!

Doktor Hall spoglądał bardzo skonfundowany.

— Nie rozumiem. Więc ta młoda osoba nie przebywa ze swoją ciotką?

Tuppence chciała odpowiedzieć, ale powstrzymało ją ostrzegające spojrzenie sir Jamesa, który wstał i skłoniwszy się doktorowi, powiedział:

— Jesteśmy panu bardzo zobowiązani, doktorze. I bardzo wdzięczni za wszystkie informacje. Niestety, musimy teraz poszukać nowego śladu panny Vandemeyer. A ta pielęgniarka, która z nią pojechała? Nie zna pan jej adresu?

— Pojęcia nie mam, gdzie ona teraz przebywa. Z tego, co zrozumiałem, miała pozostawać przez pewien czas z panną Vandemeyer. Ale co się stało? Czyba panny Vandemeyer nie porwano?

— Nie możemy tego wykluczyć — odparł poważnym głosem sir James.

— Czy nie sądzi pan... — doktor się zawahał — że powinienem iść na policję, skoro...?

— Nie. Nie ma po temu podstaw. Najprawdopodobniej okaże się, że dziewczyna przebywa z kimś z rodziny.

Doktor nie wydawał się całkowicie usatysfakcjonowany, wiedział jednak, że sir James powiedział już wszystko, co chciał powiedzieć, a próba wyciągnięcia czegoś więcej od tego niesłychanie sprytnego prawnika, byłaby stratą czasu. Pożegnał się więc ze wszystkimi i tylko długo za nimi patrzył, gdy wychodzili z hotelu.

Sir James, Julius i Tuppence zatrzymali się przy samochodzie i przez kilka minut się naradzali.

— Wściekłość człowieka ogarnia, kiedy pomyśli, że przez kilka dobrych godzin pan Julius przebywał pod jednym dachem z Jane Finn! — wykrzyknęła Tuppence.

— Ale ze mnie cymbał — mruknął posepnie Amerykanin.

— Zupełnie nie zdałem egzaminu.

— Ale skąd mógł pan przypuścić, że ona tam jest! — zaczęła go usprawiedliwiać Tuppence. — Prawda, że nie mógł? — zwróciła się do sir Jamesa.

— Przestańcie się tym oboje martwić! — poradził pytany.

— Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Stało się i się nie odstanie.

— Najważniejsze, co teraz? Co robimy dalej? — spytała Tuppence praktycznie.

Sir James wzruszył ramionami.

— Można by dać ogłoszenie do „Timesa”. Że poszukujemy pielęgniarki, która towarzyszyła dziewczynie. To jedyne, co mogę poradzić. I właściwie nie mam wielkiej nadziei, że coś zyskamy. Chyba nic więcej nie można zrobić.

— Nic? — wykrzyknęła Tuppence. — A Tommy?

— Możemy mieć najwyżej nadzieję, że nic złego mu się nie stało i że sam się z tego wykaraska.

Ponad jej spuszczoną głową sir James spojrział porozumiewawczo na Juliusa, a w spojrzeniu tym nie było wielkiej nadziei. Julius pojął, że sir James całą sprawę uważa za beznadziejną. Amerykanin spoważniał.

Sir James ujął dłoń Tuppence.

— Musisz mi dać znać, drogie dziecko, jeśli się czegoś dowiesz. Listy są mi przekazywane, nawet gdy wyjeżdżam z Londynu.

— Pan wyjeżdża, sir James?

— Przecież mówiłem. Już pani zapomniała, panno Tuppence? Jadę do Szkocji.

— No tak, ale myślałam... — zamilkła.

— Wiem, wiem, co chcesz powiedzieć, moje dziecko. Ale obawiam się, że już nic więcej nie mogę ci pomóc. Wszystkie ślady rozplynęły się. Stwierdzam autorytatywnie, że już tu nic więcej nie można zrobić. Nici się urwały. A jeśli pani na coś wpadnie, panno Tuppence, to proszę dać mi znać, a wtedy zobaczymy.

Te słowa bardzo ją przygnębiły.

— No cóż, chyba ma pan rację. W każdym razie dziękuję za pomoc. Do widzenia.

Julius stał pochylony nad samochodem. Na widok zmartwionej twarzy dziewczyny w bystrych oczach sir Jamesa pojawił się wyraz współczucia.

— Niech pani nie będzie taka smutna i przygnębiona, panno Tuppence — powiedział. — Moje urlopowe dni nie polegają wyłącznie na odpoczynku i zabawie. Czasami spędzam je bardzo pożytecznie.

Te słowa i ton, jakim zostały wypowiedziane, skłoniły Tuppence do podniesienia głowy i spojrzenia bacznie na twarz sir Jamesa, który uśmiechnął się tajemniczo.

— Nic już więcej nie powiem. Gadatliwość to wielka wada. Niech pani to sobie zapamięta. Nigdy nie opowiada się wszystkiego nawet osobie, którą się świetnie zna. Zrozumiała pani? — zakończył półgłosem. — Do widzenia!

Odszedł odprowadzany wzrokiem Tuppence. Zaczynała rozumieć metody sir Jamesa. Już raz, na samym początku ich znajomości, udzielił jej podobnego ostrzeżenia, również pełnego niedomówień. Co on chciał teraz powiedzieć? Czy to, że nie porzuca sprawy, że w tajemnicy będzie starał się coś zrobić podczas...

Jej rozmyślenia przerwało wezwanie Juliusa, by „wskakiwała do wozu”.

— Jest pani bardzo zamyślona, panno Tuppence — stwierdził, gdy ruszyli. — Czy nasz stary przyjaciel jeszcze coś powiedział?

Otworzyła usta i natychmiast je zamknęła. W uszach wciąż brzmiały jej słowa sir Jamesa: „Nigdy nie opowiada się wszystkiego nawet osobie, którą się świetnie zna!”. I nagle przypomniała sobie inne drobne wydarzenie: Julius przeszukujący sejf w mieszkaniu pani Vandemeyer, jej pytanie, co tam znalazł, i jego odpowiedź, że nic. I ta długa chwila milczenia, poprzedzająca odpowiedź. Czy rzeczywiście niczego nie było w sejfie? Czy też znalazł coś, czym nie chciał się z nią podzielić? Jeśli on potrafi ukrywać pewne fakty, potrafi i ona.

— Nic szczególnego — odparła.

Raczej wyczuła, niż dostrzegła, rzucone jej z ukosa spojrzenie.

— Panno Tuppence, może pojedziemy sobie do parku?

— Jeśli ma pan ochotę.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu pod koronami wielkich drzew. Dzień był przepiękny. Ożywcze powietrze, leciutki wietrzyk i ogólny nastrój poprawiły nieco humor dziewczyny.

— Co pani sądzi, panno Tuppence, czy ja odnajdę tę moją Jane Finn? — zadał pytanie głosem nie wyrażającym wielkiej nadziei. Podobna rezygnacja była mu tak obca, że spojrzała

na niego zdumiona. Skinął głową. — Tak jest. Zaczynam mieć tego wszystkiego dość. Nawet sir James nie ma już żadnej nadziei. Wyraźnie to powiedział. Ja go właściwie nie lubię — jakoś nie przypadliśmy sobie do gustu — ale muszę przyznać, że to chytra sztuka i nie rezygnowałby, gdyby były jakieś szanse na powodzenie. Prawda?

Tuppence czuła się dość nieswojo, nie powtarzając Juliu—sowi ostatniej wypowiedzi sir Jamesa, ale postanowiła wy—trwać w swojej decyzji. Zresztą należało mu się to za zachowanie przy sejfie.

— Przecież zaproponował, żeby dać ogłoszenie w sprawie pielęgniarki — przypomniała.

— Tak, ale jednocześnie powiedział, że nikła nadzieja, iż z tego coś wyjdzie. Mam tego już powyżej uszu. Chciałbym wrócić do Stanów.

— Ach nie! — wykrzyknęła Tuppence. — Musimy przecież odszukać Tommy’ego.

— W istocie, zapomniałem o Beresfordzie — przyznał jakby ze wstydem Julius. — Oczywiście, że musimy go znaleźć. Ale po... Co się ze mną dzieje! Przez cały czas chodzę właściwie półprzytomny. Po głowie nieustannie snują mi się jak najgorsze myśli. Muszę się wreszcie wziąć w garść. A tak przy okazji, skoro mówimy o Tommym. Chciałbym o coś panią zapytać...

— Słucham?

— Pani i Beresford? Jak to właściwie z wami jest?

— Nie rozumiem pytania — odparła Tuppence z wielką godnością i dodała mało konsekwentnie: — A poza tym myli się pan całkowicie.

— Żadnych cieplejszych uczuć?

— Cieplejszych uczuć!? Tommy i ja jesteśmy przyjaciółmi, ale nic więcej.

— Wszyscy kochankowie tak zawsze mówili na początku — mruknął Julius.

— Bzdura! Czy ja wyglądam na kobietę, która się zakochuje w każdym mężczyźnie, którego spotka?

— Co to, to nie. Ale wygląda pani na dziewczynę, w której nieraz zakochują się mężczyźni, których pani spotyka.

— Ooo! — powiedziała Tuppence nieco zaskoczona. — Rozumiem, że to ma być komplement?

— Oczywiście. A teraz przystąpmy do istoty sprawy. Przypuśćmy, że nigdy nie znajdziemy Beresforda, że on... że on...

— No proszę! Proszę to wykrztusić: przypuśćmy, że on nie żyje... A więc?

— I cała sprawa się na tym kończy. Co wtedy pani robi, panno Tuppence?

— Zupełnie nie wiem — odpowiedziała bezradnie.

— Zostanie pani całkiem sama, biedactwo!

— Dam sobie jakoś radę! — rzuciła ostro, bo nie znosiła, kiedy się ktoś nad nią litował.

— A jakie są pani poglądy na małżeństwo? — drażył dalej Julius.

— Owszem, w przyszłości mam zamiar wyjść za mąż — odparła. — To znaczy, jeśli... — urwała, chcąc się wycofać z tego, co miała zamiar powiedzieć, jednakże po chwili postanowiła brnąć dalej: — ...jeśli znajdę kogoś na tyle bogatego, żeby to się opłacało. Szczerze powiedziałam, co? Wiem, co sobie o mnie pan pomyśli.

— Zawsze pochwalam dobry handlowy instynkt. O jakiej wysokości pani myślała?

— Wysokości? Czy on ma być wysoki czy niski?

— Nie. O jakiej kwocie! O jakim majątku męża, tego, co to ma być bogaty?

— Tak konkretnie to o tym jeszcze nie myślałam.

— A ja bym pani odpowiadał? — Pan?

— No właśnie.

— O, nie mogłabym na to pójść.

— Dlaczego nie?

— Po prostu nie mogłabym i już.

— Raz jeszcze pytam, dlaczego nie?

— To nie byłoby w porządku.

— Co nie byłoby w porządku? Rzucam wyzwanie. Powiedziała pani, że potrzebny jej jest bogaty mąż, no to proszę. Ja panią podziwiam, panno Tuppence. Powiem inaczej: jestem panią zafascynowany. Ma pani głowę na karku. I miałbym wielką ochotę umilić pani życie. Proszę o jedno słowo, a polecimy do jakiegoś dobrego jubilera i załatwimy pierścionki, tak jak się to robi w porządnym towarzystwie.

— Nie mogę — wydusiła z siebie Tuppence.

— Z powodu tego Beresforda?

— Nie, nie. Nie z jego powodu.

— No, to o co chodzi?

Tuppence kręciła głową na lewo i na prawo jak mechaniczna zabawrka.

— Nie znajdzie pani tak łatwo kogoś, kto będzie miał więcej dolarów<sup>^</sup>.

— Nie o to chodzi! — wykrztusiła, dusząc się niemal ze śmiechu. — Ale bardzo dziękuję za łaskawe zwrócenie na mnie uwagi. Jednakże musimy skończyć na moim zdecydowanym „nie”.

— Bardzo bym prosił o zastanowienie się. Dobrze? Proszę o tym pomyśleć, powiedzmy do jutra.

— Nie ma po co.

— No, ale proszę jednak pomyśleć. O nic innego nie proszę.

— Dobrze. Będę myślała — odparła Tuppence.

I na tym rozmowa się skończyła. W milczeniu powrócili do hotelu.

Tuppence poszła na górę do swego pokoju. Po „oświadczeniach” Juliusa czuła się moralnie wyczerpana. Jego osobowość bywała czasami trudna do zniesienia. Usiadła przed lustrem i długo wpatrywała się w swoje odbicie.

— Jesteś właściwie zupełnie głupia! — powiedziała wreszcie głośno do własnego odbicia.

— On ma wszystko, czego pragniesz, do czego zawsze dążyłaś, a gdy ci to proponuje, potrafisz tylko beknąć „nie” jak jakaś owca. To może być jedyna taka szansa! Łap ją, chwytaj, póki ci jej ktoś inny nie zdmuchnie sprzed nosa. Na co jeszcze czekasz?

Jakby w odpowiedzi na to ostatnie pytanie wzrok jej padł przypadkowo na małą fotografię Tommy’ego zatkniętą za ramę lustra. Jeszcze przez chwilę próbowała się opanować, ale porzuciła daremne wysiłki, chwyciła fotografię, przycisnęła do ust i wybuchnęła płaczem.

— Tommy drogi, kochany, mój jedyny! Może nigdy już cię nie zobaczę...

Po pięciominutowej wycieczce w głąb własnej duszy i serca Tuppence wstała, wytarła głośno nos i poprawiła uczesanie.

Następnie wznowiła dialog ze swoim odbiciem w lustrze:

— Taka jest więc prawda i trzeba jej spojrzeć w oczy. Zakochałam się w głupku, który najprawdopodobniej nie dostrzega mnie nawet jako kobiety... — Przerwała na chwilę. — W każdym razie nie wiem, czy dostrzega. A jeśli dostrzega, to i tak za żadne skarby do tego się nie przyzna. Zawsze pogardzałam ludźmi sentymentalnymi, a tu nagle wyszła ze mnie sentymentalna idiotka. Wszystkie dziewczyny są takie głupie! Jeszcze tego brakuje, żebym jego fotografię położyła sobie na noc pod poduszkę. Prawdopodobnie to zrobię. To straszne, przekonać się nagle, że z niewiadomego powodu zdradza się własne zasady.

Smutno pokiwała głową nad sobą samą, a do lustra przemówiła tymi słowy:

— Nie wiem, co mam powiedzieć Juliusowi. Obiecałam, że pomyślę nad jego propozycją. No i muszę mu coś powiedzieć. Przedstawić jakiś argument, jakiś powód. On jest taki amerykański i musi mieć wszystko jasno uzasadnione... będzie nalegał na wyjaśnienia. A przy okazji, co on znalazł w tym sejfie?

Dialog z lustrem się skończył. Tuppence zaczęła znowu myśleć o wydarzeniach ubiegłej nocy. Układała sobie poszczególne fakty, których jakby ostatecznym podsumowaniem były dość enigmatyczne słowa sir Jamesa...

Nagle drgnęła, a twarz jej pobladła. Jak zafascynowana spoglądała na swoje odbicie w lustrze, na rozszerzone przerażeniem własne źrenice...

„To niemożliwe!”, pomyślała. „Absolutnie niemożliwe. Chyba zwariowałam, mogąc coś podobnego przypuścić!”

To byłoby wręcz potworne, ale jednocześnie tłumaczyłoby wszystko!

Po chwili zastanowienia usiadła i napisała krótki list, ważąc każde słowo. Wreszcie pokiwała głową zadowolona, włożyła list do koperty i zaadresowała do Juliusa. Wyszła z pokoju, przeszła kilkanaście kroków korytarzem i zapukała do saloniku Amerykanina. Tak jak przypuszczała, pokój był pusty. Zostawiła list na stole.

Kiedy wróciła do siebie, przed drzwiami czekał pikolak.

— Telegram dla pani — powiedział.

Tuppence wzięła telegram z tacki trzymanej przez chłopca, rozdarła i szybko przeczytała. Z jej ust wyrwał się radosny okrzyk. Telegram był od Tommy'ego!

## DALSZE PRZYGODY TOMMY'EGO

Z mroku znaczonego bolesnymi ukłuciami ognistych języków Tommy powoli powracał do stanu świadomości. Kiedy wreszcie otworzył oczy, ujrzał nieznany mu sufit i mury. Usiłując dźwignąć głowę, poczuł straszliwy ból w skroniach. Gdzie on się, u diabła, znalazł? Co się wydarzyło? I co się dzieje z jego głową, wokół której kręci się cały świat?

— Cholera! — zaklął i usiłował usiąść. W tym momencie przypomniał sobie opuszczony, ponury dom w Soho. Jęknął i opadł na coś twardego.

— Odzyskuje przytomność — usłyszał chrapliwy głos gdzieś blisko ucha.

Od razu ten głos rozpoznał. To przecież ów brodaty komenderujący Niemiec! Tommy natychmiast zamknął oczy. „Nie ma sensu zbyt szybko przytomnieć”, pomyślał. Niech minie trochę ten okropny ból w skroniach, wtedy łatwiej mu będzie zebrać myśli i stawić czoło sytuacji. Chwilowo usiłował znaleźć odpowiedź na pytanie, co się właściwie stało. No tak, kiedy słuchał pod drzwiami, ktoś się podkraść z tyłu i trzepnął go w głowę. Teraz już wiedzą, że ich szpiegował i będą go chcieli załatwić. Sytuacja jest w istocie niesłychanie przykra. Nikt nie wie, że on tu jest, wobec tego nie ma szansy na pomoc z zewnątrz. Może liczyć tylko na siebie.

— Cholera — zaklął znowu. Zdecydował się usiąść.

Po chwili stojący obok Niemiec podsunął mu pod usta szklanekę z wodą i rozkazał:

— Pij!

Tommy posłuchał. To nie była woda, tylko mocny alkohol. Zakrztusił się, ale jednocześnie cudownie rozjaśniło mu się w głowie.

Siedział na kanapce w pokoju, w którym odbywało się podglądane przez niego zebranie. Obok stał prowadzący je Niemiec, a z drugiej strony człowiek, który go wpuścił do budynku. Pozostali nadal siedzieli przy stole. Brakowało tylko mężczyzny nazywanego Numerem Pierwszym.

— Już lepiej? — spytał Niemiec.

— Owszem, dziękuję — odparł Tommy z humorem.

— Twoje szczęście, młody przyjacielu, że masz twardy czerep. Nasz Konrad mocno wali.

— Ruchem głowy wskazał dozorcę budynku, który wyszczerzył w uśmiechu zęby.

Tommy z lekkim trudem obrócił głowę.

— Aaa, to ty jesteś ten Konrad! — powiedział. — Moja twarda łepetyna i tobie ocaliła życie. W przeciwnym razie już zarobiłbyś na szubienicę. Nie miałbym nic przeciwko temu.

Konrad prychnął, a brodaty Niemiec wtrącił:

— No cóż, nie było żadnego ryzyka.

— Tak? — odparł Tommy. — Teraz jest w modzie nie doceniać policji, ale ja w nią wierzę.

Zupełnie świadomie zachowywał się nonszalancko. Choć Tommy Beresford nie należał do ludzi obdarzonych najwyższym intelektem, to jednak był owym typowym Anglikiem, który czuje się doskonale i potrafi się wspaniale zachować w „trudnych sytuacjach”. A obecna była taką bez wątpienia. Tommy zdawał sobie sprawę, że jego los zależy od jego własnego sprytu. Za parawanem kpiarstwa i bez troski trwał intensywny proces myślowy. Usłyszał zimnym głosem zadane pytanie:

— Czy ma pan coś ciekawego do powiedzenia, zanim rozwalimy pana jako szpiega?

— Mnóstwo! — Tommy odparł takim tonem jak poprzednio.

— Nie zaprzecza pan, że podsłuchiwał pod drzwiami?

— Oczywiście, że nie. Powinienem za to przeprosić, bo to nieładnie podsłuchiwać, ale prowadziliście tu tak niesłychanie ciekawą rozmowę...

— Jak pan się tu dostał?



— Dzięki miłemu Konradowi. Nie chcę wam podpowiadać, co powinniście z nim zrobić. Może wysłać na wcześniejszą emeryturę? Przydałby się wam nieco lepszy odzwierny.

Konrad znowu prychnął, a kiedy brodaty Niemiec zwrócił się ku niemu, powiedział:

— Znał hasło. Skądże mogłem wiedzieć...

— Racja — powiedział Tommy. — Skądże on mógł wiedzieć. Właściwie to nie można mieć do niego pretensji. Ja osobiście nie mam. Dzięki niemu mogłem wszystkim wam dobrze się przyjrzeć.

Wydało mu się, że te słowa wywołały pewien niepokój wśród siedzących przy stole. Ruchem ręki Niemiec uciszył szmerek.

— Nieboszczyk już nic nie pamięta i nic nikomu nie powtórzy! — powiedział.

— Prawda, święta prawda. Z tym że jeszcze nie jestem nieboszczykiem — wtrącił Tommy.

— Ale wkrótce nim będziesz, młody przyjacielu!

Przy stole rozległ się z kolei szmerek aprobaty. Serce Tommy'ego zaczęło bić szybciej, ale nie porzucił swej gry:

— Nie sędzę. Nie mam najmniejszego zamiaru stać się nieboszczykiem.

Tommy zauważył, że zaskoczył i zaniepokoił Niemca, który spytał:

— Proszę mi dać choćby jeden powód, dla którego miałbym zachować pana przy życiu?

— Istnieje wiele powodów... Chwileczkę, zadaje mi pan masę pytań, więc może wreszcie ja zadam jedno: dlaczego w takim razie nie zabił mnie pan, nim odzyskałem przytomność?

Niemiec zawahał się z odpowiedzią, więc Tommy wyzyskał swoją przewagę, mówiąc:

— Ja panu odpowiem. Ponieważ nie wiedział pan, co i ile wiem. I skąd wiem to, co wiem. Jeśli mnie pan teraz zabije, to nigdy się pan nie dowie.

Siedzący przy stole Borys nie mógł już dłużej spokojnie wytrzymać. Zerwał się, podszedł, wymachując rękami w wielkim podnieceniu, i wyrzucił z siebie:

— Ty wstrętny szpiclu! Marnie skończysz, draniu! Rozwalcie go!

Słowa te zostały powitane oklaskami siedzących.

— Słyszysz pan? — spytał Tommy'ego Niemiec. — I co pan na to powie?

— A cóż mam powiedzieć? — Tommy wzruszył ramionami. — Banda głupców! Wróćmy do początku. Jak się tutaj dostałem? Pamiętajcie wszyscy, co powiedział nasz kochany Konrad? Że znałem hasło! A jak mogłem poznać hasło? Chyba nie sądzicie, że wypowiedziałem pierwsze lepsze słowo, które mi przyszło do głowy?

Był bardzo zadowolony ze swojego wystąpienia. Żałował tylko, że nie ma tutaj Tuppence, by go mogła pochwalić.

— To prawda! — wykrzyknął jeden z obecnych, ten, którego Tommy uznał za robotnika. — Towarzysze, ktoś zdradził!

Rozległy się okrzyki oburzenia i groźne pomruki. Tommy uśmiechnął się mile do zebranych.

— O, już lepiej! Jakże możecie w ogóle marzyć o sukcesie, jeśli nie używacie szarych komórek?

— Pan nam powie, kto zdradził! — oświadczył Niemiec.

— Ale nie ocali pan tym życia, o nie! Wszystko pan nam powie! Nasz Borys umie przesłuchiwać ludzi. Z każdego wszystko wycisnie.

— E tam! — odezwał się Tommy pogardliwie, chociaż jednocześnie czuł ucisk w dołku. — Ani mnie nie będziecie torturowali, ani zabijali!

— A niby dlaczego? — spytał Borys.

— Bo jednocześnie zabilibyście kure, która znosi złote jajka — odparował spokojnie Tommy.

Słowra te zrobiły wrażenie na obecnych. Nastąpiła głęboka cisza. Już nie byli tacy pewni swego. Mężczyzna w lichym ubraniu wpatrywał się intensywnie w twarz Tommy'ego.

— On blefuje — powiedział.

Tommy z miejsca znenawidził tego typka. Czyżby go przejrzał?

Brodaty Niemiec wziął się w garść i ostro zapytał:

— A jakież to czekają nas złote jajka?

— No właśnie, jakie? Nic nie przychodzi panu do głowy? — spytał kpiąco Tommy, sam gwałtownie poszukując jakiejś logicznej odpowiedzi na otrzymane pytanie.

Borys zrobił nagle krok do przodu i wymachując mu pięścią przed nosem, zaczął wykrzykiwać:

— Mów, ty angielska świnię, mów, bo inaczej...

— Za bardzo się podniecasz, dobry człowieku — odparł spokojnie Tommy. — To jest najgorsze u was, cudzoziemców. Nie potraficie zachować spokoju. Słuchajcie, wy wszyscy! Czy tak zachowuje się człowiek, który wie, że może być zabity? A dlaczego jestem taki pewny siebie?... Powiem wam. Ponieważ wiem coś, co mi umożliwia zawarcie z wami porozumienia.

— Jakiego porozumienia? — spytał ostro brodaty Niemiec.

— Wy mi coś dacie i ja wam coś dam. Moje życie za...

— Zamilkł.

— Za co?

— Za papiery, które Danvers wiozł z Ameryki. Z którymi płynął na „Lusitanię”... — odparł, mocno akcentując każde słowo.

Nie spodziewał się podobnej reakcji. Wszyscy się zerwali. Brodaty Niemiec uciszył ich i kazał usiąść. Pochylił się nad Tommym, z emocji poczerwieniała mu twarz.

— *Himmel*\*! Ma pan te papiery?

Z absolutnym spokojem Tommy przecząco potrząsnął głową.

— Wie pan, gdzie one są?

— Nie mam pojęcia.

— No więc... więc... — Niemca zupełnie zamurowało. Tommy rozejrzał się po pokoju. Zobaczył rozgniewane, ale i zaskoczone twarze. Jego poprzednia pewność siebie odniosła jednak pewien skutek. Uznali, że coś się kryje za jego słowami.

— Nie wiem, gdzie są te papiery... ale wiem, że mogę je znaleźć. Mam pewną teorię...

Usłyszał pojedyncze rechoty. Podniósł rękę, uciszając zebranych.

— Określam to mianem teorii, niemniej jednak jestem pewien faktów. Fakty te znam jedynie ja. A poza tym: co macie do stracenia? Znajdę papiery — oddacie mi wolność. Nie znajdzie, to... — palcem przesunął sobie po gardle. — No co, umowa stoi?

— A jeśli nie chcemy żadnej umowy? — spytał Niemiec.

— Jeśli nam te papiery nie są potrzebne?

Tommy wyciągnął się na kanapce.

— Wolna wola. Dwudziesty dziewiąty już niedaleko. Niespełna dwa tygodnie...

Niemiec chwilę się zastanawiał, a potem dał znak Konradowi.

— Weź go stąd.

Przez pięć minut Tommy siedział na obskurnym łóżku w sąsiednim pomieszczeniu. Serce waliło mu jak młotem. Rzucił wszystko na jedną szalę. Co oni teraz zdecydują? Podczas gdy myśli przebiegały mu przez głowę, prawie bez przerwy paplał do Konrada, szydząc z niego w żywe oczy, co doprowadzało odźwiernego do szału.

Wreszcie otworzyły się drzwi, ukazał się w nich brodaty Niemiec i wydał polecenie powrotu.

— Czy do kapturowego sądu nie zabrakło wam kapturów? — zakpił Tommy. — Jazda, drogi Konradzie, prowadź więźnia, ława przysięgłych wydała wyrok!

---

\* *niem.* Wielkie nieba!

Niemiec powrócił na swoje miejsce u szczytu stołu. Ręką wskazał Tommy'emu krzesło po przeciwnej stronie.

— Akceptujemy! — oświadczył bez wstępów. — Musimy dostać papiery do ręki, zanim pana zwolnimy.

— Tylko kretyn mógł coś podobnego wymyślić — odparł Tommy. — Jakże mam je odszukać, skoro mnie przykujecie tutaj za nogę do ściany?

— A jakże pan sobie to wyobraża inaczej?

— Muszę mieć swobodę ruchów. Swobodę poruszania się, gdzie będę chciał...

Niemiec się roześmiał.

— Czy ma pan nas za dzieci, które zachwycone pańską opowieścią pozwolą panu spokojnie odejść?

— Oczywiście, że nie. Chociaż byłoby to bardzo proste rozwiązanie i najlogiczniejsze, to nigdy czegoś podobnego nie oczekiwałem z waszej strony. Ja proponuję kompromis. Dajcie mi wiernego Konrada jako obstawę. Piąstki ma zawsze w gotowości, szczerzy groźnie zęby. Idealny kandydat na strażnika.

— My jednak wolimy — odparł zimno Niemiec — by pan z nami pozostał. Jeden z naszych towarzyszy będzie dokładnie wykonywał wszystkie pańskie polecenia i instrukcje. Jeśli napotka trudności, to wróci tu w celu otrzymania koniecznych wyjaśnień.

— Wiążecie mi ręce — stwierdził Tommy. — Sprawa jest niesłychanie delikatna i mogę się spodziewać, że osoba, do której trzeba dotrzeć, wycofa się, jeśli to nie ja przyjdę do niej osobiście. I co wtedy? Obawiam się, że nikt z tego grona nie grzeszy taktem. Same słonie w składzie porcelany...

Niemiec uderzył dłonią w stół.

— Takie są nasze warunki. Albo pan je przyjmie, albo śmierć!

Tommy skrzywił się.

— Podoba mi się pański styl. Zwięzły i dobitny. Niech będzie, zgoda. Ale jest jedna bardzo istotna sprawa. Muszę się zobaczyć z dziewczyną.

— Jaką dziewczyną?

— Z Jane Finn, oczywiście!

Niemiec długo przyglądał się Tommy'emu, a potem zaczął mówić, starannie dobierając słowa:

— Czyżby nasz buńczuczny bohater nie wiedział, że ona... że się od niej niczego nie dowie?

Tommy'emu mocno zabiło serce. *Czy rzeczywiście ma szansę zobaczyć się z kobietą, której poszukiwał?*

— Nie po to jest mi potrzebna, aby mi cokolwiek powiedziała — odparł. — Nie słowami.

— No, to po co?

— Potrzebna mi jej reakcja, wyraz twarzy, gdy zadam jej jedno pytanie.

W oczach Niemca ponownie pojawił się dziwny wyraz, którego Tommy nie potrafił rozszyfrować.

— Ona nie odpowie na żadne pytanie.

— Nieważne. Mnie jest potrzebny jej wyraz twarzy i nic więcej.

— I myśli pan, że to cokolwiek panu wyjaśni? — Niemiec brzydtko się roześmiał. Było w tym wszystkim coś, czego Tommy nie mógł zrozumieć. Niemiec przyglądał mu się bacznie. — Zaczynam wątpić, czy pan rzeczywiście wie o czymś, co przedstawiałoby dla nas jakąkolwiek wartość — mruknął.

Tommy zaczął tracić poprzednią pewność siebie. Widział, że jego akcje spadają. Zachodził w głowę, gdzie mógł popełnić błąd. Powodowany nagłym impulsem powiedział:

— Być może są sprawy, o których pan wie, a ja nie wiem. Nie twierdzę, że wiem o was wszystko. Ale i ja mam w rękawie parę asów. I dlatego jestem tak pewny swego. Danvers był

niesłuchanie sprytny... — Urwał, jakby chciał dać do zrozumienia, że wie coś więcej, ale nie powie.

— Danvers, hmm... — twarz Niemca nieco się rozpogodziła. — Rozumiem. — Skinął na Konrada. — Zaprowadź go na górę — powiedział.

— Chwileczkę! — wtrącił Tommy. — A dziewczyna?

— Może da się zrobić.

— Musi dać się zrobić.

— Zobaczymy. Zdecydować o tym może tylko jedna osoba.

— Kto? — spytał Tommy, choć znał odpowiedź. — Pan Brown...

— Zobaczę się z nim?

— Może.

— Jazda! — rozkazał ostro Konrad.

Tommy posłusznie wstał. Gdy wyszli z pokoju, strażnik wskazał schody. Tommy szedł pierwszy, Konrad tuż za nim. Na wyższym piętrze otworzył drzwi do małego pokoju i kazał Tommy'emu wejść. Zapalił lampę gazową i wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

Tommy rozejrzał się po swoim więzieniu. Pokój był dużo mniejszy niż te, które poznał na dole. Panował w nim zaduch, gdyż pomieszczenie nie miało okna. Ściany wyglądały rozpaczliwie: brudne i zasmolone. Wisiały na nich jakby celowo przekrzywione cztery obrazy przedstawiające sceny z „Fausta”: Małgorzata ze szkatułką klejnotów, scena kościelna, Siebel z kwiatami i wreszcie Faust z Mefistofešem. Ten ostatni skojarzył mu się z panem Brownem. W tym ciasnym, zaryglowanym i dusznym pomieszczeniu czuł się jak odcięty od świata przez złowrogie siły, które symbolizował właśnie arcyzbrodniarz Brown–Mefistofeles. Tommy mógł walić w ciężkie drzwi i krzyżeć, a nikt go i tak nie mógł usłyszeć. Znajdował się jakby w grobowcu...

Z wielkim trudem opanował drżenie łydek i rąk. Rzucił się na stojące w rogu łóżko i zaczął rozmyślać o swym losie. Bolała go bardzo głowa, czuł przemożny głód. I ta straszna, zniewalająca cisza.

— W każdym razie spotkam się z tym kryminalistą Brownem! — wykrzyknął, by ją przerwać. — I przy odrobinie szczęścia i szczypcie blefu ujrzę wreszcie tajemniczą pannę Jane Finn. A potem...!

Tommy musiał przyznać, że owo „potem” wyglądało bardzo ponuro.

## ANNETTE

Szybko jednak przyszłość przestała być taka ważna w konfrontacji z problemami chwili obecnej, a przede wszystkim z uczuciem głodu. Tommy miał zawsze niezły apetyt. Można nawet powiedzieć, że wielki. Wspomnienie steku z frytkami wydawało się należeć do minionej epoki. Zdał sobie ze smutkiem sprawę, że nigdy nie byłby dobrym kandydatem do strajku głodowego.

Spacerował po pokoiku niby pantera w klatce. Parokrotnie, zapominając o własnej godności, walił pięściami w drzwi. Nikt jednak nie zareagował.

— Niech to diabli! — wykrzyknął. — Czy oni chcą mnie tu zagłodzić? — Przeszła mu przez głowę myśl, że to właśnie może być jedną ze stosowanych przez Borysa metod skłonięcia więźnia do zeznań. Po zastanowieniu odrzucił jednak tę myśl.

„To z pewnością ten bydlak, Konrad”, pomyślał. „Któregoś dnia policzę się z tym facetem. Sprawi mi to prawdziwą satysfakcję. Jestem pewien, że to jego złośliwość”.

Dalsze rozważania doprowadziły Tommy'ego do wniosku, że wielką przyjemnością, a jednocześnie wspaniałą rozrywką, byłoby spuszczenie czegoś ciężkiego na jajowaty łeb Konrada. Pocierając bolesne miejsce na własnej głowie, Tom—my oddał się przyjemności kombinowania, jakby to można było zrobić. Wreszcie zadał sobie proste pytanie: dlaczego marzeń od razu nie przekształcić w piękną rzeczywistość? Konrad był chyba jedynym stałym mieszkańcem tego domu. I jego dozorcą. Wszyscy pozostali przychodzili tu tylko na odpraw. Może jeszcze ten brodaty Niemiec tu się ukrywał? Dlaczego nie przyciąć się za drzwiami, a kiedy Konrad je otworzy... Właśnie wtedy spuścić mu na głowę krzesło albo jedną z ciężkich ram. Ale trzeba uważać, żeby nie trzepnąć zbyt mocno. No a potem... tylko spokojnie wyjść... A jeśli przy schodzeniu ze schodów ktoś się pojawi? Tommy rozpogodził się na myśl o szansie sprawdzenia po dłuższej przerwie siły swoich pięści. Potrafił przecież pięściami argumentować bardziej dosadnie niż słowami. Na pewno wypadłby lepiej niż podczas niedawnej rozmowy z Niemcem. Pomyśl zaczął dojrzewać, Tommy zajął się przygotowaniami. Zdjął ze ściany portret Mefistofelesa z Faustem i usadowił się z nim w strategicznej pozycji. Kipiał z emocji i różowo patrzył w przyszłość. Z każdą minutą plan wydawał mu się coraz lepszy.

Ale mijał czas, a Konrad się nie pojawiał. W pokoju nie było dziennego światła. Tommy miał dobry zegarek, którego nigdy nie zapominał nakręcić i z trudnością, ale jednak dojrzał, że jest dziewiąta wieczorem. Pomyślał ponuro, że jeśli wkrótce nie otrzyma kolacji, to pozostanie mu już tylko nadzieja na śniadanie. O dziesiątej przestał oczekiwać posiłku i rzucił się na brudny materac, by we śnie znaleźć zapomnienie o głodzie. I rzeczywiście po pięciu minutach przestał się martwić uczuciem ssania w dołku.

Obudził go chrzęst klucza w zamku. Nie należał do tego typu bohaterów, którzy wyrwani z głębokiego snu w okamgnieniu przytomnieją i myślą racjonalnie. Najpierw więc kilka razy zamrugał i dopiero wtedy zaczął się zastanawiać, gdzie właściwie jest. Wreszcie wszystko sobie przypomniał i spojrzął na zegarek. Była ósma rano.

„Śniadanie albo poranna herbatka”, pomyślał. „Módlmy się jednak o śniadanie”.

Drzwi się otworzyły. Tommy zbyt późno przypomniał sobie o zamiarze dzielenia Konrada ramą od obrazu. I na szczęście, gdyż do pokoju weszła dziewczyna. Natychmiast ocenił, że jest to jedna z najpiękniejszych istot, jakie widział w życiu. Miała gęste kasztanowe włosy ze złotymi przebłyskami, jakby w nich uwięzły słoneczne promyki. Jej twarz kojarzyła mu się z kwiatem dzikiej róży. Oczywiście miała złotopiwne, również pełne zaklętych promieni słonecznych.

Tommy'emu przyszła do głowy wspaniała myśl.

— Czy pani nazywa się Jane Finn? — spytał.

— Non, *monsieur*, jestem Annette — odparła, kręcąc przecząco głową.  
Mówiła łamaną angielszczyzną.

— Aaa! — zareagował Tommy. — *Française* \*?

— *Oui, monsieur. Monsieur parle français* \*?

— Ani słowa po francusku — odparł Tommy, który jednak zrozumiał pytanie. — Co to jest? Śniadanie?

Dziewczyna skinęła głową. Tommy wstał z łóżka, podszedł do niej i sprawdził, co znajdowało się na tacy. Chleb, margaryna i dzbanuszek kawy.

— Wyżywienie jest tu gorsze niż w Ritzu! — westchnął głęboko. — Niemniej jednak dzięki niech będą Panu za jego dary. Amen.

Przysunął sobie krzesło. Dziewczyna obróciła się w stronę wyjścia.

— Chwileczkę! — wykrzyknął Tommy. — Chciałbym cię spytać o parę rzeczy, Annette! Co robisz w tym domu? Nie mów tylko, że jesteś siostrzenicą albo córką Konrada, czy coś takiego, bo nie uwierzę!

— Jestem tu w służbie, *monsieur*. Nie jestem niczyją krewną.

— Rozumiem — odparł Tommy. — To nazwisko, które przedtem wymieniłem, myśląc, że to ty nią jesteś... Słyszałaś je kiedy?

— Słyszałam, jak mówiono o Jane Finn.

— Ale nie wiesz, gdzie ona może być?

Annette zaprzeczyła ruchem głowy.

— W tym domu jej nie ma?

— Och nie, *monsieur*. Muszę już iść. Czekają na mnie.

Wybiegła z pokoju, zamykając za sobą drzwi na klucz.

„Czekają na nią! Ciekaw jestem, kim są ci oni”, pomyślał Tommy, zachłannie pałaszując chleb. „Przy odrobinie szczęścia będę się mógł stąd wydostać z jej pomocą. Nie wygląda na to, by należała do tej ich bandy”.

O pierwszej Annette znów pojawiła się z tacą. Tym razem towarzyszył jej Konrad.

— Dzień dobry! — powiedział przyjaźnie Tommy. — Jak widzę, a raczej czuję, szanowny pan nie używa wysokiej klasy mydła.

Konrad gniewnie warknął.

— Ha! Zbiłem cię z pantałyku, stary cwaniaku! No cóż, rzadko miewa się jednocześnie rozum i urodę. Cóż to mamy na obiadek? Potrawka? Skąd wiedziałem, drogi Watsonie? To bardzo proste: cebulowo—mięsny zapach!

— Gadaj sobie zdrów! — burknął Konrad. — Może niewiele już czasu zostało ci na gadanie.

Choć uwaga zawierała bardzo niemiłą sugestię, Tommy ją zignorował. Usiadł przy stole i powiedział:

— Odejdź, hultaju! Nie tobie mleć ozorem w panów obliczu. — I zbył go gestem dłoni.

Tego wieczoru, siedząc na łóżku, Tommy intensywnie myślał. Czy z dziewczyną pojawi się po raz wtóry Konrad? A jeśli nie, to czy spróbować pozyskać Annette jako sojusznika? Postanowił niczego nie poniechać — znajdował się przecież w sytuacji naprawdę beznadziejnej.

O ósmej usłyszał znane mu już chrobotanie klucza w zamku. Zerwał się na równe nogi. Dziewczyna przyszła sama.

— Zamknij drzwi — powiedział. — Chcę z tobą porozmawiać.

Posłuchała.

— Musisz mi pomóc stąd się wydostać, Annette!

— Niemożliwe! — Potrząsnęła głową. — Na dole jest ich trzech.

---

\* *fr.* Francuzka?

\* *fr.* Tak, proszę pana. Pan mówi po francusku?

— Ooo? — zdziwił się Tommy, w głębi duszy wdzięczny za tę informację.

— Ale gdybyś mogła, to udzieliłabyś mi pomocy, prawda?

— Nie, *monsieur*.

— Dlaczego nie? Dziewczyna wahała się.

— Ja myślę... to są bliscy mi ludzie. Pan ich szpiegował. Oni mają rację, że pana zatrzymali.

— Ale to są bardzo źli ludzie, Annette! Jeśli mi pomożesz, to cię zabiorę ze sobą. I na pewno dostaniesz dużo pieniędzy!

Dziewczyna kręciła przecząco głową.

— Ja nie mogę, *monsieur*. Ja się ich boję. Ruszyła do drzwi.

— I nie zrobiłabyś nic, żeby pomóc innej dziewczynie, takiej jak ty? Jest dokładnie w twoim wieku. Nie pomożesz wyrwać jej z ich szponów?

— Mówi pan o Jane Finn? — Tak.

— I to jej pan tu przyszedł szukać? Tak?

— Właśnie.

Patrzyła na niego, przecierając dłonią czoło.

— Jane Finn... Ciągłe słyszę to nazwisko. I słyszę o niej...

— Co wiesz o niej? — rzucił chciwie pytanie. — Musisz cokolwiek wiedzieć!

Annette nagle się od niego odwróciła i poszła do drzwi.

— Nic o niej nie wiem, znam tylko nazwisko.

Nagle wydała cichy okrzyk i stanęła jak wryta, patrząc na obraz, który Tommy zdjął ze ściany poprzedniego wieczoru. W oczach dziewczyny pojawiło się przerażenie, lecz niemal natychmiast ustąpiło wyrazowi wielkiej ulgi. Bez słowa wyszła szybko z pokoju, zamykając starannie drzwi na klucz. Tommy nic z tego wszystkiego nie zrozumiał. Czy ona sobie wyobraziła, że miał zamiar uderzyć ją tą ramą? Chyba nie. Zamyślony odwiesił obraz na ścianę.

Minęły trzy dni beznadziejnej beczynności. Tommy'emu zaczęło to już działać na nerwy. Widywał wyłącznie Konrada i Annette. Dziewczyna odzywała się tylko półsłówkami, w jej oczach czaiła się nieufność. Tommy myślał, że oszaleje, jeśli ten samotny więzienny byt potrwa dłużej. Z paru mruknięć Konrada wywnioskował, że *wszyscy* czekają na rozkazy „pana Browna”. Tommy pomyślał, że musiał on chyba gdzieś wyjechać i dopiero po powrocie podejmie decyzję.

Wieczorem trzeciego dnia został brutalnie wyrwany z apatii.

Dochodziła siódma, kiedy usłyszał kroki w korytarzu. Po chwili otworzyły się drzwi i wszedł Konrad, a tuż za nim budzący lęk Numer Czternasty. W Tommym zamarło serce.

— ...brywieczór, szefie! — powiedział Numer Czternasty, złowrogo krzywiąc twarz. — Daj sznur! — zwrócił się do kompana.

Ten podał mu zwój. Po chwili Tommy, przytrzymywany przez Konrada, miał bardzo sprawnie związane nogi.

— Co wy, do cholery...! — zaczął Tommy, ale dalsze słowa zgasił wstrętny oślisły uśmiech na ustach milczącego cały czas Konrada.

Numer Czternasty związał go z dużą wprawą i po paru minutach Tommy był bezradnym pakunkiem. Wreszcie Konrad przemówił:

— Myślałeś, że nas oszukasz, co? Że nam zamydlisz oczy, że to niby wiesz, czego nie wiesz. Układy chciałeś z nami robić, warunki stawiać. A to był wszystko wielki blef. Ale przysła kryska na Matyska, ty przekłeta świnio!

Tommy milczał. Nie miał nic do powiedzenia. Nie udało mu się. Wszechmocny pan Brown w taki czy inny sposób przejrzał jego grę. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

— Wspaniałe przemówienie, drogi Konradzie — oświadczył z uznaniem. — W takim razie po co te więzy i pęta? Dlaczego ten przemiły dżentelmen obok ciebie od razu nie poderżnie mi gardła?

— Co ty sobie myślisz, draniu? — odezwał się niespodziewanie Numer Czternasty. — Że jesteśmy tacy głupi, żeby cię tu załatwić i mieć na karku policję? O nie! Karawanik zamówiony jest na jutro rano, a chwilowo wolimy nie ryzykować, jasne?

— Dużo jaśniejsze od twojej ciemnej gęby, towarzyszu!

— Zamknij się! — powiedział Numer Czternasty.

— Z wielką przyjemnością — odparł Tommy. — Ale popełniacie wielki błąd, będzie to was drogo kosztować.

— Drugi raz takie gadanie już ci nie wyjdzie — powiedział Numer Czternasty. — Pyskujesz, jakbyś dalej mieszkał w tym swoim Ritzu.

Tommy nie odpowiedział. Zamyślił się. W jaki sposób pan Brown doszedł do tego, kim on jest? Tuppence pełna niepokoju poszła na policję, a ta ogłosiła wiadomość o jego zaginięciu? I cała ta banda po prostu dodała dwa plus dwa?

Konrad i Numer Czternasty wyszli, zatraskując drzwi. Sytuacja była fatalna. Drętwiały mu już nogi, nie mógł się nawet poruszyć. Stracił nadzieję na jakąkolwiek pomoc.

Po upływie godziny usłyszał cichy chrobot klucza w zamku. Drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich Annette. Tommy'emu zaczęło bić żywiej serce. Zupełnie zapomniał o dziewczynie. Czyżby jednak przyszła mu z pomocą?

Nagle usłyszał głos Konrada:

— Wychodź stamtąd, Annette. Niepotrzebna mu dziś będzie kolacja.

— *Oni, oui, je sais bien*\*. Ale muszę zabrać naczynia.

— Zabieraj i wychodź! — rozkazał Konrad.

Nie spoglądając na Tommy'ego, dziewczyna podeszła do stołu i wzięła tacę, a potem zgasiła gazowe światło.

— Niech cię! — zaklął Konrad, który pojawił się w drzwiach. — Po coś to zrobiła?

— Zawsze gaszę. Trzeba mi było powiedzieć. Czy mam zapalić z powrotem, *monsieur*?

— Już nie potrzeba. Wyłaź!

— *Le beau petit monsieur*\*! — wykrzyknęła ze śmiechem Annette, zatrzymując się przy pograżonym w ciemnościach łóżku, na którym leżał Tommy. — Dobrze go związaliście? Cha, cha! Jak kura do pieczenia. Cha, cha!

Jej rozbawienie poruszyło Tommy'ego, lecz oto nagle poczuł drobne palce obmacujące więzy, aż trafiła na jego dłoń, w którą wsunęła mu coś małego i zimnego.

— Chodź, Annette! — usłyszał głos Konrada.

— *Mais me voilà*\*!

— Zamknij i oddaj mi klucz.

Drzwi się zatrzasnęły. Po chwili ich kroki ucichły. Tommy leżał całkowicie zaskoczony. Przedmiotem, który Annette wcisnęła mu do ręki, był scyzoryk z otwartym ostrzem. Z faktu, że Annette, wchodząc do pokoju, nie patrzyła na niego i że następnie zgasiła światło, wyciągnął wniosek, iż pokój jest pod obserwacją. Gdzieś w ścianie musi być jakaś szpara czy mały otwór. Teraz dopiero uświadomił sobie, jak Annette zawsze była spięta i ostrożna w rozmowie. Tak, najprawdopodobniej przez cały czas ktoś go obserwował. Czy powiedział coś, co by go zdemaskowało? Chyba nie. Wyraził tylko chęć ucieczki i pragnienie znalezienia Jane Finn, ale nic, co by pozwalało ustalić jego tożsamość. Pytania, jakie kierował do Annette, dowodziły, że Jane Finn nie jest mu znana osobiście, to prawda, ale przecież nigdy

---

\* *fr.* Tak, tak, dobrze wiem.

\* *fr.* Jaki elegancki pan!

\* *fr.* Już jestem!



nie twierdził, że ją zna. Zastanawiał się, czy Annette wie coś więcej? Czy zaprzeczała tak gorąco na użytek podsłuchujących? Nie miał pewności.

Narzucano się teraz najistotniejsze pytanie: czy unieruchomiony jak mumia potrafi przeciąć więzy? Bardzo ostrożnie zaczął piłować ostrzem sznur łączący obie dłonie. Było to trudne przedsięwzięcie. Gdy ostrze rozcięło mu skórę na przegubie, wydał krótki okrzyk bólu. Nie zaprzestał jednak piłowania króciutkimi pociągnięciami tam i z powrotem. Poharatał sobie dość poważnie dłoń, nim wreszcie więzy puściły. Gdy uwolnił ręce, reszta poszła łatwo. Po pięciu minutach mógł już stanąć. Chwiał się nieco, gdyż nogi zupełnie mu zdrętwiały. Opatrzył krwawiący przegub i usiadł na łóżku, by się zastanowić, co robić dalej. Konrad zabrał klucz, trudno więc było spodziewać się dalszej pomocy ze strony Annette. Ponieważ jedynym wyjściem z pokoju były drzwi, musiał siłą rzeczy poczekać, aż obaj osobnicy po niego przyjdą. A kiedy przyjdą... Tommy uśmiechnął się! Poruszając się bezszelestnie w absolutnych ciemnościach odnalazł i ponownie zdjął ze ściany obraz. Czuł wielkie zadowolenie, że jego pierwotny plan nie pójdzie na marne. Wszystko gotowe, należało teraz czekać. A więc czekał.

Noc mijała strasznie wolno. W ciągu tych kilku godzin Tommy przeżył wieczność, lecz wreszcie usłyszał kroki. Wstał, wziął głęboki oddech i ujął ramę mocno w dłonie.

Otworzyły się drzwi i wsączyło się światło z korytarza. Konrad skierował kroki prosto do gazowej lampy. Tommy żałował głęboko, że to on wszedł pierwszy. Z rozkoszą porachowałby się najpierw właśnie z Konradem, ale Numer Czternasty szedł tuż za nim. Gdy przekroczył próg, otrzymał w głowę potężny cios ramą obrazu. Padł na ziemię przy akompaniamencie brzęku tłuczonego szkła. Tommy wyskoczył z pokoju, zatrzęsął za sobą drzwi i przekręcił w zamku klucz. Wyciągał go właśnie, gdy od wewnątrz na drzwi rzucił się Konrad, głośno przeklinając.

Przez chwilę Tommy się wahał. Postłyszał jakiś odgłos z dołu, a potem krzyk brodatego Niemca:

— *Gott im Himmel*\*! Co się dzieje, Konrad?

Tommy poczuł nagle drobniutką dłoń w swojej dłoni. Obok niego stała Annette. W milczeniu wskazała dość niepewnie wyglądającą drabinę, która prowadziła na poddasze.

— Szybko na górę! — wyszeptała.

Sama poszła pierwsza, ciągnąc go za rękę. Po chwili znajdowali się już na zakurczonym strychu, pełnym porozrzucanych kawałków drewna. Tommy rozejrzał się dokoła.

— Nie możemy tu zostać. Jesteśmy jak w pułapce. Stąd nie ma żadnego wyjścia.

— Cicho! Poczekaj! — szepnęła, przykładając palce do ust. Podeszła do szczytu drabiny i zaczęła nasłuchiwać.

Walenie w drzwi i przekleństwa nie ustawały. Brodaty Niemiec jeszcze z kimś usiłowali wyważyć drzwi. Annette odezwała się szeptem:

— Oni myślą, że nadal jesteś w środku. Nie słyszą dobrze Konrada. Drzwi są za grube.

— Myślałem, że można usłyszeć wszystko, co się wewnątrz mówi.

— Owszem, ale przez szparkę z sąsiedniego pokoju. A to im szybko nie przyjdzie do głowy. Chcą wejść do środka.

— No tak, ale przecież...

— Nie martw się. — Pochyliła się i Tommy ze zdumieniem zobaczył, że dziewczyna wiąże koniec długiego sznurka do ucha nadtłuczonego dzbanka. Gdy skończyła, zapytała:

— Masz klucz do drzwi?

— Mam, ale...

— Daj mi! Wręczył go jej.

---

\* *niem.* Na Boga!

— Ja zejść z powrotem. A ty zjedź tylko do połowy i postaraj się zawisnąć za drabinką, tak żeby cię było trudniej dostrzec. Myślisz, że potrafisz?

Tommy skinął głową.

— Tuż przy klatce schodowej jest schowek. Skryj się tam. Weź koniec sznurka. Kiedy ich wypuszczę z pokoju — szarpnij!

Nim zdołał o cokolwiek zapytać, ześliznęła się lekko po drabince i dopadła do pary wyważającej drzwi, głośno krzycząc:

— *Mon Dieu! Mon Dieu! Qu'est-ce qu'il y a\**?

Niemiec obrócił się ku niej z przekleństwem na ustach.

— Zmykaj stąd! Wracaj do swego pokoju!

Tommy zaczął ostrożnie spuszczać się po wewnętrznej stronie drabiny. Byle żaden z nich się nie odwrócił! Skulił się w mrocznej wnęce. Udało się, ale nadal zagradzali mu drogę do schodów.

— Ooo! — Annette o coś się potknęła. — *Mon Dieu! Voilà la clef\**!

Niemiec bez słowa wyrwał jej klucz z ręki i otworzył drzwi. Na korytarz wytoczył się Konrad, nadal klnąc.

— Gdzie on jest? Złapaliście go? — ryknął.

— Nikogo nie widzieliśmy — odparł ostro Niemiec. Twarz mu zbladła. — Co to znaczy? W pokoju go nie ma?

— Uciekł! — krzyknął Konrad i szpetnie zaklął.

— Niemożliwe! Musiałby przechodzić koło nas.

I w tym właśnie momencie Tommy, uśmiechając się błogo, szarpnął za sznurek. Ze strychu dobiegł łoskot rozbijanego dzbanka. Mężczyźni bez wahania rzucili się do chybotliwej drabinki, przepychając jeden drugiego, i po chwili byli już na górze.

Tommy w mgnieniu oka wyskoczył ze swojej kryjówki i zbiegł na dół, ciągnąc za sobą dziewczynę. W holu nie było żywego ducha. Zdjął łańcuch i zaczął odsuwać rygle. Zaczynały się, ale wreszcie ustąpiły. Otworzył szeroko drzwi, obejrzał się. Annette zniknęła.

Skamieniał. Czyżby wróciła na górę? Co w nią wstąpiło?! Pragnął jak najszybciej zmykać, ale postanowił, że jej nie zostawi.

Nagle usłyszał jakieś krzyki na piętrze, przekleństwo z ust Niemca i wreszcie donośny, wyraźny głos Annette:

— *Ma foi\**! On uciekł! I jak szybko! Kto by przypuścił?!

Tommy nadal tkwił w bezruchu. Czy słowa Annette były w istocie adresowane do niego? Żeby czym prędzej uciekał? Chyba tak...

Jeszcze donośniej usłyszał dalsze słowa dziewczyny:

— To jest okropny dom! Ja chcę wrócić do Marguerite! Do Marguerite! Do Marguerite!

Podbiegł do schodów, spojrzał w górę. Czy ona chciała, żeby sobie poszedł, a ją tu zostawił? Ale dlaczego? Za wszelką cenę musi ją zabrać ze sobą! Nagle zamarło w nim serce. Konrad go dostrzegł i z dzikim okrzykiem rzucił się schodami na dół, a pozostali za nim.

Tommy zatrzymał Konrada silnym ciosem w szczękę. Ogluszony dozorca padł na ziemię. Następny mężczyzna potknął się o jego nogi i rozciągnął jak długi. Na górze błysnęło i rozległ się huk. Kula bzyknęła Tommy'emu koło ucha. Zrozumiał, że powinien się jak najszybciej wynosić. Nie mógł już nic zrobić dla Annette. Miał tylko satysfakcję z wyrównania rachunków z Konradem. Ten jeden cios okazał się bezbłędny.

Dopadł drzwi i zatrzasnął je za sobą. Placyk był pusty. Przy chodniku stała furgonetka piekarza. Najprawdopodobniej tym pojazdem miał być wywieziony z Londynu. Później znaleziono by jego ciało wiele kilometrów od domu w Soho. Z furgonetki wyskoczył

---

\* *fr.* Mój Boże! Mój Boże! Co się dzieje?

\* *fr.* Mój Boże! Jest klucz!

\* *fr.* Słowo daję!

kierowca i usiłował zagrozić Tommy'emu drogę. Raz jeszcze poszła w ruch pięść i kierowca leżał na chodniku.

Ruszył pędem przed siebie. W samą porę, gdyż przez otwarte drzwi posypały się za nim kule. Na szczęście żadna nie trafiła. Z placyku skręcił w uliczkę.

„Przecież nie będą strzelać na ulicach Londynu — pomyślał. — Natychmiast mieliby na karku policję. I tak dziwne, że w ogóle strzelali!”

Słyszał biegnących mężczyzn. Przyśpieszył, gnając jak na skrzydłach. Musi tu przecież być jakiś policjant! Chociaż właściwie wcale nie palił się do policyjnej ochrony, lepiej jeśliby udało się bez niej. Policji trzeba by długo ze wszystkiego się tłumaczyć. Nie miał na to ochoty. I oto nieoczekiwanie spotkał go nieprawdopodobnie szczęśliwy przypadek: potknął się o nogi jakiegoś leżącego na chodniku człowieka, który błyskawicznie się zerwał z okrzykiem strachu i rzucił do ucieczki. Tommy bez chwili wahania wskoczył do głębokiej sieni najbliższego domu. Gdy jego prześladowcy wybiegli z za rogu, zobaczyli sylwetkę uciekającego człowieka i podążyli za nim.

Tommy usiadł na progu sieni i pozwolił sobie na kilkanaście sekund odpoczynku. Potem wstał i spokojnie poszedł w przeciwnym kierunku. Rzucił okiem na zegarek. Było po wpół do szóstej. Na ulicy robiło się coraz jaśniej. Na następnym rogu minął policjanta, który spojrzał nań podejrzliwie. Bardzo go to uraziło. Gdy jednak potarł dłonią policzki, roześmiał się. Przez trzy dni nie golił się i nie mył. Ładnie musiał wyglądać!

Czym prędzej udał się do znanej mu łaźni tureckiej, która otwarta była przez całą dobę. Wyszedłszy z niej w pełen już ulicznego ruchu poranek, poczuł się znów sobą, gotów do dalszego działania.

Postanowił przede wszystkim coś zjeść. Od wczorajszego południa nic nie miał w ustach. Wszedł do baru ABC i zamówił jajka na boczku oraz kawę. Jedząc, czytał poranną gazetę. Uwagę jego zwrócił długi artykuł o Krameninie określanym „szarą eminencją bolszewizmu” w Rosji. Kramenin właśnie przybył do Londynu jako — zdaniem licznych komentatorów — nieoficjalny wysłannik. W artykule przedstawiono jego sylwetkę i karierę, twierdząc, że to właśnie on, a nie głośno obwieszczani przywódca, jest autorem rosyjskiej rewolucji.

Na samym środku kolumny znajdowała się jego fotografia.

— A więc to jest Numer Pierwszy! — wykrzyknął do siebie Tommy z ustami pełnymi jedzenia. — Nie ma wątpliwości, to on. Muszę z tym pognać, gdzie trzeba.

Zapłacił za śniadanie i udał się w kierunku Whitehallu. Gdy wszedł do właściwego gmachu rządowego, kazał portierowi zanieść na górę kartkę ze swoim nazwiskiem i dopiskiem, że ma pilne wiadomości. Po kilku minutach stanął przed obliczem człowieka, który w tym gabinecie znany był pod własnym nazwiskiem, a nie jako „pan Carter”.

Powitał Tommy'ego zmarszczeniem brwi i dość ostrą uwagą:

— Nie upoważniałem pana do przychodzenia tutaj. Byłem pewny, że oboje to zrozumieliście!

— Zrozumiałem, *sir*, lecz uznałem, że sprawa jest niesłychanie pilna i nie wolno mi tracić czasu.

Następnie, jak mógł najkrócej i jak najdokładniej, opisał swoje przygody w ciągu minionych trzech dni.

W połowie opowieści pan Carter przerwał, by przez telefon wydać kilka tajemniczych poleceń. Niezadowolenie dawno już zniknęło z jego oblicza. Gdy Tommy skończył, pan Carter kilkakrotnie z wielką aprobatą pokijał głową.

— Miałeś rację, chłopcze. Każda chwila się liczy. Obawiam się jednak, że i tak będzie za późno. Oni tam nie czekają. Na pewno natychmiast opuścili dom. Może jednak znajdziemy coś, co będzie dla nas cenną wskazówką? I jesteś pewien, że ten Numer Pierwszy to Kramenin? Nie mylisz się? To bardzo ważne. Chcemy mieć na niego jakiegoś haka, żeby nasz rząd zbyt pochopnie nie padał przed nim plackiem. A teraz pozostali. Powiadasz, że

dwie twarze wydały ci się znajome? I myślisz, że jeden to laburzysta? Przejrzyj z uwagą te fotografie, może kogoś na nich rozpoznasz.

Po minucie Tommy podał panu Carterowi jedno zdjęcie.

— To Westway! — Carter okazał pewne zdziwienie. — Nie posądzałbym go. Udaje umiarkowanego. A jeśli chodzi o tego drugiego, to ja spróbuję zgadnąć.

Pokazał kolejną fotografię. Tommy wydał okrzyk zdziwienia.

— No tak! — Carter uśmiechnął się. — Znany i ceniony poseł, irlandzki unionista. Jego przekonania to zasłona dymna. Podejrzewaliśmy go, ale nie mieliśmy żadnych dowodów. Świetnie, młody człowieku, świetnie! Wspaniale się sprawiłeś! I powiadasz, że wyznaczono datę na dwudziestego dziewiątego? Zostało nam bardzo mało czasu, niezmiernie mało...

— Ale przecież... — zaczął Tommy. Pan Carter odczytał jego myśli.

— Z groźbą strajku generalnego powinniśmy sobie poradzić, jak sądzę. Będzie trudno, ale mamy szansę. Jeśli jednak pojawi się tekst tego traktatu, to jesteśmy skończeni. W Anglii zapanuje anarchia... O co chodzi? — spytał sekretarza, który wsadził głowę zza drzwi. — Jest samochód? Jedziemy, Beresford! Obejrzymy sobie ten dom, gdzie spędziłeś trzy dni.

Przed wejściem do budynku w Soho stało dwu policjantów. Trzeci, inspektor, zameldował coś cichym głosem panu Carterowi, który obrócił się do Tommy'ego i powiedział:

— Tak jak myśleliśmy. Ptaszki wyfrunęły. Ale wszystko przejrzymy.

Chodzenie po opustoszałym domu przypominało zły sen. Wszystko było tak, jak poprzednio. Pokój z krzywo wiszącymi obrazami, w którym był więziony, skorupy dzbanka na strychu, pomieszczenie, w którym odbywało się zebranie delegatów, z długim stołem pośrodku. Nie znaleziono jednak ani skrawka jakiegokolwiek dokumentu czy notatek. Tamci musieli je albo zniszczyć, albo zabrać ze sobą. Nie natrafiono też na żaden ślad Annette.

— Bardzo mnie zaskoczyło to, co pan powiedział o tej dziewczynie — mruknął pan Carter. — I ona dobrowolnie do nich wróciła?

— Tak mi się wydawało, *sir*. Pobiegła na górę, kiedy byłem zajęty odsuwaniem rygli.

— Hm, wynikałoby z tego, że należy do tej całej bandy i że tylko jako kobieta nie mogła po prostu ścierpieć, że chcą zabić młodego człowieka. Tak, tak, ona musi do nich należeć, w przeciwnym wypadku nie wróciłaby...

— Trudno mi w to uwierzyć, *sir*. Ona była... jakby to powiedzieć... taka zupełnie inna...

— Pewno ładna, co? — zapytał pan Carter z uśmiechem, który spowodował, że Tommy się splonił aż po cebulki włosów.

Wielce skrepowany przyznał, że była niezwykle urodziwa.

— A tak przy okazji — odezwał się pan Carter. — Czy już się pokazałeś, chłopcze, pannie Tuppence? Bombardowała mnie listami na twój temat.

— Tuppence? Tak sobie myślałem, że ona się będzie troszkę niepokoić. Czy poszła na policję?

Pan Carter zaprzeczył ruchem głowy.

— No to w takim razie, jak oni mnie rozszyfrowali?

Pan Carter spojrzał pytająco, więc Tommy wyjaśnił, że jego prześladowcy wszystko o nim wiedzieli. Starszy pan w zamyśleniu pokiwał głową.

— Bardzo ciekawe. Zastanawiające! Chyba że wzmianka o Ritzu była zupełnie przypadkowa...

— Ostatecznie mogła być, *sir*. Ale skąd oni tak nagle wszystkiego się o mnie dowiedzieli?

— No cóż — pan Carter rozejrzał się dokoła — tu już nie mamy nic do roboty. Zjesz ze mną lunch, chłopcze?

— Bardzo panu dziękuję, *sir*. Ale chyba powinienem skoczyć do Ritza i zobaczyć się z Tuppence, skoro tak się o mnie martwiła.

— Słusznie, bardzo słusznie. Proszę ją serdecznie ode mnie pozdrowić i powiedzieć, żeby następnym razem nie zamartwiała się, bo nie tak łatwo daje się pan zabić.

Tommy uśmiechnął się krzywo.

— Tak jest, *sir*, nie tak łatwo mnie załatwić.

— Dzięki temu tu dziś jesteś, chłopcze — odparł pan Carter. — Do widzenia! Ale pamiętaj, że już cię znają. Musisz bardzo uważać.

— Tak jest, *sir*. Dziękuję, *sir*, i do widzenia.

Tommy zatrzymał taksówkę i kazał się wieźć do Ritza. Towarzyszyły mu miłe myśli, jak to za kilka minut przyjemnie zaskoczy Tuppence. „Ciekawe, co ona przez cały czas robiła? Pewnie węszy po śladach Rity. Aha, być może o nią to właśnie chodziło? Annette przecież wołała wtedy, że chce wrócić do Marguerite!”. To przypuszczenie nieco go zasmuciło, oznaczało bowiem, że Annette i pani Vandemeyer są w bardzo dobrej komitywie.

Taksówka podjechała pod hotel, Tommy jak burza wpadł w eleganckie podwoje, ale portier ostudził jego młodzieńczy entuzjizm, informując, że panna Cowley wyszła przed kwadrans.

## TELEGRAM

Trochę rozczarowany Tommy pomaszerował do restauracji, gdzie zamówił sobie wystawny posiłek. Cztery postne dni zrodziły tęsknotę za czymś smakowitym.

Wkładał właśnie do ust kawałek wyjątkowo dobrze sporządzonej flądry *à la* Jeanette, kiedy spostrzegł wchodzącego Juliusa. Zaczął wesoło wymachiwać jadłospisem, czym wreszcie zwrócił uwagę Amerykanina. Na widok Tommy'ego oczy wyszły mu niemal na wierzch. Szybko podszedł i chwyciwszy jego rękę, zaczął nią potrząsać ze zdecydowanie nadmiernym wigorem.

— Na Jowisza! — wykrzyknął. — Czy to ty, czy nie ty?

— Z krwi i kości ja. Niby dlaczego nie?

— Pytasz dlaczego nie! Człowieku, czy ty nic nie wiesz? Nie wiesz, że już zostałeś uznany za zmarłego? Za kilka dni mielibyśmy uroczystą mszę żałobną za twoją duszę.

— A któż to myślał, że nie żyję?

— Tuppence!

— Prawdopodobnie przypomniało się jej powiedzenie, że dobrzy ludzie umierają młodo. Chyba musi być we mnie jakaś cząstka zła, skoro przeżyłem. A gdzie może być teraz Tuppence?

— W hotelu jej nie ma?

— Nie. W recepcji powiedziano, że właśnie wyszła.

— Może po zakupy. Mniej więcej przed godziną podwoziłem ją tutaj. Ale słuchaj no! Nie mógłbyś pozbyć się tej twojej brytyjskiej flegmy i wszystko mi opowiedzieć? Coś ty, na miłość boską, robił przez ten cały czas?

— Jeśli tu jadasz — powiedział Tommy — to zamów od razu. Moja opowieść będzie długa.

Julius usiadł, skinął na kelnera i złożył zamówienie. Następnie zwrócił się do Tommy'ego.

— No to strzelaj! Przypuszczam, że miałeś parę przygód.

— Tak, parę — odparł Tommy skromnie, po czym wdał się w ich opis.

Julius słuchał jak zakłęty, zapominając zjeść połowy podanych mu potraw. Po zakończeniu opowieści uśmiechnął się i odetchnął głośno.

— Wspaniale, brawo, Tommy! Słuchałem tego, jakby mi czytano sensacyjną powieść.

— A teraz ty mi opowiedz, co się tutaj działo? — zażądał Tommy, sięgając po brzoskwinie.

— No cóż... My też mieliśmy kilka przygód...

Julius przejął rolę narratora. Zaczął od swej nieudanej wyprawy do Bournemouth, opisał powrót do Londynu, zakup samochodu, wzrastający niepokój Tuppence, wizytę u sir Jamesa i wreszcie sensacyjne wydarzenia ubiegłej nocy.

— No dobrze, ale kto ją zabił? — dopytywał się Tommy. — Zupełnie nie mogę tego zrozumieć.

— Doktor przekonał siebie, że to ona sama — odparł oględnie Julius.

— No a sir James? Co on sądzi?

— Jako prawniczy geniusz milczy jak ostryga. Wszystko, co mówi, to: „w zasadzie”, „z zastrzeżeniem” i „być może”.

Julius powrócił do szczegółów porannych wydarzeń.

— Straciła pamięć, powiadasz? — powiedział Tommy w zamyśleniu. — Teraz rozumiem, dlaczego tak przedziwnie na mnie patrzyli, kiedy wspomniałem, że chcę ją wypytać. To było moje drobne potknięcie. Ale skądże mogłem wiedzieć...

— Nie natrafiłeś na żaden ślad, gdzie może teraz być Jane? Tommy przecząco pokręcił głową.

— Nie pisnęli ani słowa. Może głupio postąpiłem, że nie naciskałem mocniej.

— Zrobiłeś, co można. I masz szczęście, żeś się od nich wyrwał. Niczego sobie nie wyrzucaj. Blefowałeś wspaniale. Z podziwu wyjść nie mogę, jak tyś to wszystko z miejsca wymyślił.

— Byłem w takich opałach, że musiałem coś wykombinować.

Po chwili milczenia Tommy powrócił do sprawy śmierci pani Vandemeyer.

— Nie ma wątpliwości, że to był chloral?

— Chyba nie. W każdym razie nazwali to zatrzymaniem akcji serca w wyniku przedawkowania środka nasennego. Coś w tym stylu. I bardzo dobrze. Dochodzenie przyczyny zgonu, i to w dodatku publiczne, byłoby nam w tej sytuacji zupełnie nie na rękę. Myślę, że Tuppence i ja, a nawet bardzo zasadniczy sir James, mamy jedno i to samo podejrzenie...

— Pan Brown? — zgał Tommy.

— Oczywiście.

— Pan Brown jednak nie fruwa — powiedział w zamyśleniu Tommy. — Nie widzę sposobu, w jaki mógłby dostać się do mieszkania i potem z niego wyjść.

— A co byś powiedział o przekazywaniu myśli na odległość? O wysłaniu magnetycznej fali, która zniewoliła panią Vandemeyer i kazała jej popełnić samobójstwo?

Tommy spojrział na Juliusa z podziwem.

— Masz pomysły! Kapitalne! Niezła jest też ta twoja frazeologia. To jednak nie dla mnie. Ja poszukuję pana Browna z krwi i kości. Sądzę, że młodzi i utalentowani detektywi powinni ruszyć do pracy, zbadać każdy pyłek i narobić sobie guzów od pukania się w czoło, aż znajdą rozwiązanie zagadki. Jazda, jedziemy na miejsce zbrodni! Jaka szkoda, że nie ma tu Tuppence. Hotel Ritz stałby się sceną rozczulającego powitania.

Kolejne pytanie w recepcji przyniosło odpowiedź, że Tuppence jeszcze nie wróciła.

— Może jednak sprawdzę na gorze — zaproponował Julius. — *A* jeśli jest w moim saloniku? Czasami go używa.

— Ruszył do windy.

Niespodziewanie Tommy usłyszał cieniutki głos obok siebie:

— Ta pani... to chyba pojechała pociągiem, *sir*...

— Ze co? — Tommy obrócił się i zobaczył stojącego obok chłopca, który zrobił się czerwony jak piwonia.

— Wsiadła do taksówki, *sir*. I słyszałem, jak powiedziała kierowcy, żeby szybko jechał na dworzec Charing Cross.

— Chłopak w mundurku pikolaka zachęcony spojrzeniem Tommy'ego ciągnął dalej: — Już przedtem wiedziałem, że chce jechać pociągiem, *sir*. Kiedy poprosiła o rozkład jazdy...

— Kiedy o ten rozkład prosiła? — przerwał mu Tommy.

— Zaraz potem, jak jej zaniósłem telegram, *sir*.

— Telegram?

— Tak, *sir*.

— O której to było?

— Około wpół do pierwszej, *sir*.

— Opowiedz mi wszystko dokładnie. Chłopiec wziął głęboki oddech.

— Zaniósłem telegram pod numer 891. Ta pani tam była. Otworzyła telegram i taka była zadowolona, że aż krzyknęła. A potem wesoło powiedziała: „Przynies mi zaraz rozkład jazdy. Tylko szybko, Henry!”. Ja wcale nie nazywam się Henry, ale...

— Imię jest nieważne. Mów dalej!

— Tak jest, *sir*. Więc jej przyniosłem, a ona mi kazała czekać. Zaczęła czegoś szukać w tym rozkładzie, a potem spojrziała na zegarek i powiedziała: „Szybko. Złap mi taksówkę”. No i stanęła przed lustrem i zaczęła wkładać kapelusz. Poleciałem po taksówkę i ledwo ją

złapałem, to ona już była. I wtedy taksówkarzowi powiedziała to, co już mówiłem na początku.

Chłopak aż się zadyszał z przejęcia. Kilkakrotnie zaczerpnął powietrza. Tommy nadal wpatrywał się w niego. W tym momencie pojawił się Julius z otwartym listem w ręku.

— Słuchaj no, Hersheimer! — zwrócił się do niego Tommy. — Tuppence samotnie ruszyła jakimś śladem...!

— Psiakrew!

— Właśnie. Pojechała taksówką na Charing Cross. Pognała po otrzymaniu jakiegoś telegramu. — Wzrok jego padł na trzymany przez Juliusa list. — O, zostawiła jakąś wiadomość! Wspaniale. Ciekawe, dokąd pojechała? — Odruchowo wyciągnął rękę po list.

Julius jednak cofnął dłoń, list złożył i schował do kieszeni. Wydawał się trochę zakłopotany.

— To nie ma z tym nic wspólnego. Dotyczy zupełnie innej sprawy... Czegoś, o co ją spytałem, i o *czym* miała mnie poinformować... — tłumaczył kulawo Julius.

— Ooo? — Tommy wydawał się zaskoczony i jakby czekał na dalsze wyjaśnienia.

— Co będę owijał w bawełnę! — wyrzucił z siebie nagle Julius. — Lepiej, żebyś wiedział. Dziś rano oświadczyłem się... Zaproponowałem panie Tuppence małżeństwo...

— Ooo! — powtórzył! Tommy mechanicznie. Poczul się jakby ogłuszony. Nie spodziewał się takiej wiadomości. Zmroziła go zupełnie.

— Pragnę cię jednak zapewnić — ciągnął Julius — że zanim to uczyniłem, jasno i otwarcie powiedziałem, że w żadnym wypadku nie chciałem wkraczać między was... jeśli coś...

Tommy nieco oprzytomniał.

— Nic się nie martw. Wszystko w porządku! — odparł.

— Tuppence i ja jesteśmy od niezliczonych lat przyjaciółmi. Nic więcej. — Zapalił papierosa nieco trzęsącą się ręką.

— Wszystko jest w najlepszym porządku. Tuppence zawsze mi mówiła, że szuka...

Zamilkł, zaczerwieniwszy się nagle, ale Julius nie wydawał się skonfundowany.

— O, ja dobrze wiem, że dolary odgrywają tutaj rolę. Panna Tuppence od razu mi to powiedziała. Uczciwa dziewczyna, przynajmniej stawia sprawy jasno. Powinniśmy bardzo dobrze do siebie pasować.

Przez chwilę Tommy przyglądał mu się ciekawie. Wydawało się, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale potem zmienił zdanie. Julius i Tuppence, ha! Właściwie dlaczego nie? Czyż nie skarżyła się, że nie zna żadnych bogatych mężczyzn? Czyż nie wyznała otwarcie, że jeśli tylko nadarzy się okazja, to poślubi pieniądze? No i poznanie młodego amerykańskiego milionera stworzyło szansę. Nie będzie się opierała, by ją wykorzystać. Była łasa na pieniądze. Zawsze to powtarzała. Wcale się z tym nie kryła. Czyż można mieć pretensję o to, że jest wierna swoim przekonaniom?

A jednak Tommy miał pretensję. Czuł głęboką, nielogiczną, namiętą urazę. I był oburzony. Można różne rzeczy gadać, ale żeby prawdziwa kobieta wychodziła za męża dla pieniędzy?! Tego się nie powinno robić. Tuppence jest wyrachowaną egoistką! On, Tommy, będzie szczęśliwy, jeśli jego *oczy* nigdy już jej nie ujrzą. A tak w ogóle, to świat jest ohydny!

Przez te myśli przedarły się słowa Juliusa:

— Tak, myślę, że będziemy do siebie bardzo dobrze pasować. Bo ja słyszałem, że kobieta zawsze po raz pierwszy odmawia. To już taki obyczaj.

Tommy schwytał go za ramię.

— Odmawia? Ona odmówiła?!

— Oczywiście. Nie powiedziałem ci tego? Bez najmniejszego powodu odpowiedziała mi „nie” i już. Słyszałem, że Niemcy nazywają to odwieczną kobiecością. Ale ona dojrzeję, na pewno dojrzeję. Po tej odmowie trochę ją jeszcze...



Tommy przerwał, rzucając ostro:

— A w tym liście co takiego napisała? Julius wyciągnął z kieszeni list i podał.

— Nie ma w nim nawet najmniejszej wzmianki o tym, dokąd pojechała i co zamierza dalej robić — zapewnił. — Jeśli nie wierzysz, możesz przeczytać sam!

Tommy natychmiast poznał szkolne pismo Tuppence:

*Julius!*

*Lubię stawiać sprawy jasno, bez niedomówień. Nie mogę myśleć o żadnym małżeństwie, dopóki nie odnajdzie się Tommy. Odłóżmy więc wszystko do tego czasu.*

*Pełna przyjaźni  
Tuppence*

Tommy'emu rozbłyły oczy. Zwrócił list Juliusowi, mówiąc:

— Miałaś rację, żadnej wskazówki na temat jej planów. Całkowicie zmieniła zdanie o Tuppence. Co za szlachetna i bezinteresowna dziewczyna! Bez wahania odmówiła ręki Juliusowi! Co prawda, list mówi i o pewnej słabości osoby piszącej, ale można to wybaczyć. I poza tym można interpretować tekst jako pewnego rodzaju nacisk na Juliusa, by nie szczędził wysiłków zmierzających do odnalezienia Tommy'ego. Właśnie dlatego mogła tak to napisać. Kochana Tuppence! Kiedy ją zobaczy, to... — tok jego myśli przerwało pojawienie się w polu widzenia małego pikolaka.

— Podejdź bliżej, Henry!

Chłopiec posłusznie podszedł. Tommy wyjął z kieszeni pięć szylingów.

— Mam do ciebie jeszcze jedno pytanie, Henry! Masz tu pięć szylingów i powiedz mi, co młoda pani zrobiła z telegramem?

— Zgniotła go w kulkę i rzuciła do kominka, i chyba powiedziała „hurra” czy coś takiego, *sir*.

— Bardzo dobrze, Henry. Wspaniale. Masz oczy i uszy otwarte! Idziemy, Julius. Musimy znaleźć ten telegram.

Pośpieszyli na górę. Tuppence zostawiła klucz w drzwiach swego pokoju. W palenisku kominka leżała pomarańczowo-biała kula papieru. Tommy wydobył ją z popiołu i wyprostował.

*Przyjeżdż natychmiast, Moat House, Ebury, Yorkshire. Ciekawy rozwój wypadków.*

*Tommy*

Zdumieni spojrzeli na siebie. Pierwszy odezwał się Julius:

— Tyś tego nie wysłał?

— Oczywiście, że nie! Co to ma znaczyć?

— To może znaczyć najgorsze — odparł Julius. — Oni ją mają...!

— Cooo?!

— Na pewno. Podpisali twoim imieniem. Tuppence wpadła w potrzask, niczego nie podejrzewając.

— O mój Boże! Co my teraz zrobimy?

— Czym prędzej ruszamy jej na pomoc! Od razu! Nie ma chwili do stracenia. Co za szczęście, że nie zabrała ze sobą telegramu. Gdyby to zrobiła, nigdy byśmy jej nie znaleźli. Musimy natychmiast jechać. Gdzie jest rozkład pociągów?

Niespożyta energia Juliusa była zaraźliwa. Pozostawiony sam sobie Tommy najprawdopodobniej usiadłby na co najmniej pół godziny w celu przemyślenia wszystkiego i opracowania planu działania. Ale z Julusem Hersheimmerem natychmiastowe działanie było regułą.

Amerykanin wymamrotał coś na temat skomplikowanego układu angielskich rozkładów jazdy i oddał książkę Tommy'emu jako osobie bardziej obytej ze sposobem rozumowania tubylców.

— Jest, jest! — oświadczył po chwili Tommy. — Ebury, Yorkshire. Ze stacji King's Cross albo St. Pancras. (Pikolak chyba się omylił. Tuppence musiała pojechać na King's Cross, a nie Charing Cross). Dwunasta pięćdziesiąt. Tym pociągiem pojechała. Następny o drugiej dziesięć. Już odszedł. Mamy teraz pociąg o trzeciej dwadzieścia. Zwykły, bardzo wolny.

— A może samochodem?

— Możesz wysłać tam wóz. Niech go weźmie szofer. Ale my pojedziemy pociągiem. Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi.

— Może masz rację. Ale aż niedobrze mi się robi, kiedy pomyślę o tym, co może grozić Tuppence.

Tommy z roztargnieniem skinął głową, rozmyślał o czymś zupełnie innym. Po chwili zapytał:

— Słuchaj no, jak sądzisz, właściwie po co ona jest im potrzebna?

— Że co? Powtórz, nie zrozumiałem?

— Moim zdaniem, oni nie mają najmniejszego zamiaru wyrządzić jej krzywdy. Ona jest jedynie zakładniczką. — Tommy zmarszczył brwi w wysiłku myślenia. — Tak, ona jest po prostu zakładniczką. Bezpośrednio nic jej nie grozi. Jeśli my, na przykład, na coś wpadniemy, to oni wtedy ją wykorzystają jako element nacisku. Będą nas szantażować jej bezpieczeństwem.

— Chyba masz rację — odparł Julius.

— A poza tym — dodał Tommy, jakby mu dopiero w tej chwili podobna myśl przyszła do głowy. — Tuppence jest bardzo sprytna. Stawiam na nią.

Podróż była bardzo męcząca — przepelnione wagony i niezliczone przystanki. Dwukrotnie się przesiadali. Raz w Doncaster, a raz na małej węzłowej stacyjce. W Ebury peron świecił pustkami. Tommy zwrócił się do samotnego tragarza, jedynej osoby na peronie:

— Czy mógłby mi pan wskazać drogę do Moat House?

— Moat House? To spory kawałek drogi. Myśli pan o tym dużym domu nad morzem?

Tommy bez wahania przytaknął. Wysłuchał wraz z Juliusem szczegółowych i bardzo zawiłych wskazówek dotyczących drogi. Gdy wreszcie wyruszyli, akurat zaczął kropić deszcz. Podnieśli kołnierze płaszczy i brnęli błotnistym traktem. Po parudziesięciu krokach Tommy nagle stanął.

— Poczekaj tu chwilę! — rzucił Juliusowi i pobiegł z powrotem na stację, gdzie ponownie zwrócił się do tragarza:

— Czy przypomina pan sobie młodą pasażerkę, która przyjechała pośpiesznym dwunasta dziesięć z Londynu? I prawdopodobnie też pytała pana o drogę do Moat House?

Tommy opisał Tuppence, jak potrafił najlepiej, ale tragarz przecząco pokręcił głową. Wspomnianym pociągiem przyjechało sporo pasażerów. Nie przypominał sobie żadnej młodej damy. Był jednak absolutnie pewien, że nikt go nie pytał o drogę do Moat House.

Tommy wrócił do Juliusa i wszystko mu opowiedział. Ogarnęło go nagle olbrzymie przygnębienie. Miał przeczucie, że ich wyprawa zakończy się niepowodzeniem. Wrogowie zdobyli trzy godziny przewagi. To aż nadto dla pana Browna, który z pewnością przewidział możliwość znalezienia telegramu wysłanego do Tuppence.

Droga wydawała się nieskończenie długa, a ponadto raz wybrali złe rozwidlenie i przeszli nadaremno spory kawał. Dopiero parę minut po siódmej spotkany chłopiec poinformował ich, że Moat House jest tuż za zakrętem.

Zardzewiała furtka zwisała smutno na opadłych zawiasach. Zarośnięty podjazd pełen był zeschniętych liści. Cała posiadłość sprawiała wyjątkowo niemiłe wrażenie i obudziła w obu

mężczyznach uczucie dziwnego lęku. Szarzało już, gdy szli tym zapuszczonym podjazdem. Liście tłumiły ich kroki. Nad głowami groźnie skrzypiały gałęzie targane przez wiatr. Od czasu do czasu jakiś przemokły liść bezszelestnie spadał na ziemię, ocierając się po drodze o ich policzki.

Po chwili ukazał się dom. Wyglądał na opuszczony. Drewniane zewnętrzne okiennice *były* zamknięte, schodki prowadzące do drzwi wejściowych omszałe. Czy rzeczywiście udało im się zwabić Tuppence na to smutne pustkowie? Wszystko wyglądało tak, jakby od miesięcy nie stanęła tu ludzka stopa.

Julius pociągnął zardzewiałą rączkę. Gdzieś w głębi rozległ się jazgot wyrwanego ze snu dzwonka i echem rozniósł po pustce wnętrza. Długo czekali. Nikt się nie pojawił. Pociągali rączkę parokrotnie. Bez skutku. Najmniejszego śladu życia. Obeszli cały dom. Wszędzie absolutna cisza i zamknięte okiennice.

— Nic z tego — powiedział Julius. Wrócili do furki.

— Gdzieś musi tu być jakaś wioska. Powinniśmy tam zapytać — zaproponował Amerykanin. — Coś nam powiedzą o tym domu. Muszą przecież wiedzieć. I czy ostatnio ktoś tu był.

— Dobry pomysł — zgodził się Tommy.

Poszli dalej drogą i wkrótce trafili na malutką osadę. Przy pierwszych domach spotkali jakiegoś rzemieślnika idącego z torbą narzędzi. Tommy zatrzymał go i zapytał o Moat House.

— Od lat stoi pusty — otrzymał odpowiedź. — Klucz jest u pani Sweeney, jeśli panowie chcą obejrzeć. Zaraz koło poczty.

Tommy podziękował i poszli dalej, trafiając wkrótce na pocztę, gdzie sprzedawano także słodycze i galanterię. Zapukali do sąsiedniego domku. Otworzyła im schludna, dorodna niewiasta, która chętnie wręczyła klucz kandydatom na wynajęcie opustoszałej posiadłości.

— Chociaż wątpię, czy to będzie panu odpowiadało, *sir* — zwróciła się do Juliusa. — Wszystko jest w strasznym stanie. Dach przecieka... i żeby tylko. Na remont trzeba wydać olbrzymie pieniądze.

— Bardzo pani dziękujemy — odparł lekko Tommy. — Zapewne ma pani rację i nic z tego nie wyjdzie, ale chcemy zobaczyć. Tak trudno jest teraz o jakiś dom...

— To prawda — zgodziła się kobieta. — Moja córka i zięć od nie wiem jak dawna szukają jakiegoś przyzwoitego domku i nic. To wszystko z powodu tej wojny. Wszystko strasznie poprzewracała. Aha, ale to już przecież będzie za ciemno, żeby oglądać dom. Czy nie lepiej, żeby panowie poczekali do rana?

— Nie, jeszcze nie będzie tak ciemno. Chcemy obejrzeć dziś wieczorem. Bylibyśmy tu dużo wcześniej, ale zbłądziliśmy. Gdzie tu jest najbliższa gospoda, żeby zatrzymać się na noc?

— No, jest tutaj... Yorkshire Arms... — powiedziała z ociąganiem. — Ale to nie dla takich dżentelmenów jak panowie...

— Nie jesteśmy wybredni. Dziękujemy za informację. Tak przy okazji: czy nie prosiła dziś panią o klucz młoda kobieta?

Pani Sweeney odparła przecząco i dodała:

— Od dawna nikt już nie prosił o klucz,

— Bardzo pani dziękujemy! — Pożegnali się i wrócili do Moat House.

Gdy frontowe drzwi otwarły się ze zgrzytem, Julius zapalił zapałkę i dokładnie zbadał podłogę za progiem.

— Głowę dam, że nikt tędy od bardzo dawna nie przechodził — powiedział. — Spójrz na ten kurz. Żadnych śladów stóp.

Przewędrowali przez cały dom. Wszędzie to samo: pokłady kurzu — nietknięte, niezarysowane.

— Nic już z tego nie rozumiem — powiedział Julius — ale jestem pewien, że nie było tu Tuppence.

— Musiała być — upierał się Tommy. Julius tylko potrząsnął głową.

— Jutro jeszcze raz musimy tu przyjść — zapowiedział Tommy. — Może zobaczymy więcej przy świetle dziennym.

Następnego poranka ponownie zjawili się w opuszczonym domu i ostatecznie musieli przyznać, acz bardzo niechętnie, że od dawna nikogo w nim nie było. Niechybnie ruszyliby w powrotną drogę do Londynu, gdyby nie szczęśliwe i zupełnie niespodziewane odkrycie. Szli właśnie w kierunku furtki. Nagle Tommy wykrzyknął, pochylił się i coś podniósł spod liści. Pokazał to Juliusowi — złota broszeczka.

— To jest broszka Tuppence! — oświadczył.

— Jesteś pewien? — spytał Julius.

— Nie mam najmniejszych wątpliwości. Bardzo często ją nosiła.

Julius głośno wciągnął powietrze.

— Więc teraz wiemy, że w każdym razie dotarła do tego miejsca. Wracamy do wsi, do naszej gospody. Ustanowimy tam naszą kwaterę główną i narobimy tyle hałasu, aż ją znajdziemy. Ktoś musiał ją widzieć!

Nie zwlekali z rozpoczęciem kampanii. Działali razem i osobno, wypytywali i przepytawali. Rezultat zero. W okolicy nie widziano nikogo, kto odpowiadałby rysopisowi Tuppence. Byli zagubieni, zaskoczeni, ale nie zniechęceni. W końcu zmienili taktykę. Wszystko wskazywało na to, że Tuppence nie przebywała zbyt długo w okolicy Moat House. Musiała zostać napadnięta, związana lub inaczej obezwładniona i wywieziona samochodem. Zaczęli pytać od nowa. *Czy poprzedniego dnia widział ktoś jakiś samochód w pobliżu Moat House? Znowu bez powodzenia.*

Julius zatelegrafował do garażu w Londynie i kazał przyprowadzić sobie rolls-royce'a. Każdego dnia jeździli nim po całej okolicy, nie tracąc nadziei, że wpadną na jakiś ślad. Ponieważ ktoś im gdzieś wspomniał, że przejeżdżała wtedy w pobliżu popielata limuzyna, zaczęli jej poszukiwać. Znalazła się w Harrowgate, lecz należała do bardzo szacownej damy. A więc niestety nie ta!

Co dzień rozpracowywali jakiś nowy okruh informacji. Julius był niestrudzony. Jak pies myśliwski szedł najniklejszym tropem. Sprawdzili dokładnie wszystkie bez wyjątku pojazdy, które tamtego dnia pojawiły się w okolicy. Nawiedzali wszystkie posiadłości w całym hrabstwie i poddali właścicieli wszystkich aut skrupulatnemu badaniu. Równie skrupulatnie Julius wszystkich przepraszał, a robił to tak zręcznie, że absolutnie rozbierał swoje ofiary. Niestety, nie zbliżyło to ich ani o krok do odszukania miejsca uprowadzenia Tuppence. Porwanie było tak świetnie zorganizowane, że nie pozostał żaden ślad. Dziewczyna jakby się rozplynęła w powietrzu.

Tommy'ego zaczęła dręczyć nowa myśl.

— Czy ty sobie zdajesz sprawę, jak długo tu już jesteśmy? — spytał Juliusa pewnego ranka przy śniadaniu. — Cały tydzień! Nic nie osiągnęliśmy, a następna niedziela to już dwudziesty dziewiąty!

— Rzeczywiście! — odparł Julius. — Zupełnie zapomniałem o tej dacie. Myślę wyłącznie o Tuppence.

— Ja też. Ale nie zapomniałem o dwudziestym dziewiątym, chociaż wydawało się to tak mało ważne w zestawieniu z poszukiwaniami Tuppence. Dziś już jednak mamy dwudziesty trzeci, a czas biegnie. Jeśli chcemy ją uratować, to musimy to zrobić przed dwudziestym dziewiątym. Potem jej życie nie będzie warte nawet jednego pensa. Zakładniczka przestanie im być potrzebna. Myślę, że już na wstępie popełniliśmy błąd. Straciliśmy tylko mnóstwo czasu, nic nie zyskując.

— W pełni się z tobą zgadzam. Tępe z nas osły! Porwaliśmy się na coś, co przekracza nasze siły. I możliwości. Więc teraz od razu skończmy z tymi głupstwami!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Zrobię to, co powinienem był zrobić dokładnie tydzień temu. Przede wszystkim wracam do Londynu i oddaję całą sprawę w ręce waszej policji. Wyobraziliśmy sobie, że jesteśmy jakimiś tam detektywami. Detektywami! Bzdura! Jesteśmy parą głupców! Ja się wyłączam. Mam tego dosyć! Niech się tym zajmie Scotland Yard!

— Chyba masz rację — odparł Tommy. — Żałuję, że od razu nie poszliśmy do Yardu.

— Lepiej późno niż wcale. Zachowaliśmy się jak para dzieciaków<sup>7</sup>. Zrobiliśmy sobie z tego zabawę. Dość. Idę na policję i niech mnie oni teraz poprowadzą za rączkę. Niech się sprawą zajmą zawodowcy. Pójdiesz ze mną?

— A po co? Jeden z nas wystarczy. Ja chyba jednak zostanę tutaj i jeszcze trochę poszperam. Mogę na coś trafić. Nigdy nie wiadomo.

— Jak sobie chcesz. No to cześć. Niedługo wrócę z paroma inspektorami. Poproszę, żeby dali sprawę najlepszym i najchytrzejszym.

Wydarzenia nie potoczyły się jednak zgodnie z planami Juliusa. Jeszcze tego samego dnia Tommy otrzymał telegram:

*Czekam w Manchester Midland Hotel Ważne wiadomości.*

*Julius*

O siódmej trzydzieści wieczorem Tommy wysiadł z bardzo wolnego osobowego pociągu. Na peronie czekał Julius.

— Tak sobie myślałem, że może przyjedziesz tym pociągiem, jeśli w ogóle otrzymasz mój telegram — powiedział.

Tommy chwycił go za ramię.

— O co chodzi? Jest Tuppence? Odnalazła się? Julius zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. Ale zastałem to w Londynie. Dziś przyszedł. Podał telegram. Tommy otworzył i przeczytał:

*Jane Finn odnaleziona. Czekam w Manchester Midland Hotel. Pilne.*

*Peel Edgerton*

Julius odebrał telegram z ręki Tommy'ego, złożył go starannie i schował.

— Bardzo dziwne, prawda? Myślałem, że gość zrezygnował.

## JANE FINN

Mój pociąg przyjechał przed pół godziną — wyjaśnił Julius, wyprowadzając Tommy'ego ze stacji.

— Wyliczyłem, że najprawdopodobniej przyjedziesz tym właśnie. Przed wyjazdem z Londynu wysłałem telegram do sir Jamesa informując go, kiedy się zjawimy. Zarezerwowałem dla nas pokoje i około ósmej dołączy do nas na kolację.

— Dlaczegoś sądził, że sir James przestał się interesować sprawą? — spytał Tommy ciekawie.

— Tak nam powiedział — odparł sucho Julius. — Ale widać, że to jest typ, który trzyma karty przy orderach. Tacy jak on nigdy nie chcą się jasno zadeklarować, póki nie są pewni swego.

— Zastanawiam się... — powiedział Tommy w zamyśleniu.

Julius spojrział z ukosa na swego towarzysza.

— Nad czym?

— Czy to był prawdziwy powód.

— Oczywiście. Daję głowę.

Tommy nie wydawał się przekonany. Sir James pojawił się punktualnie o ósmej. Julius przedstawił mu Tommy'ego.

— Niesłychanie mi miło pana poznać, panie Beresford — uściśnął mu mocno dłoń. — Tyle o panu słyszałem z ust panny Tuppence. — Uśmiechnął się mimowolnie. — Tak wiele, że wydaje mi się, jakbym od dawna pana znał.

— Dziękuję, *sir* — Tommy odwzajemnił uśmiech. Przyglądał się ciekawie sławnemu adwokatów. Podobnie jak Tuppence czuł jakąś dziwną siłę emanującą z tego człowieka. Sir James przypominał mu pana Cartera, mimo że obaj ci mężczyźni całkowicie różnili się fizycznie. Spod maski profesjonalnej ostrożności i rezerwy przebijała wielka inteligencja i błyskotliwość.

Tommy czuł przenikający go wzrok sir Jamesa, a kiedy wreszcie prawnik odwrócił od niego oczy, młody człowiek wiedział, że został poddany drobiazgowej analizie. „Czytał we mnie jak w otwartej księdze”, pomyślał Tommy, zastanawiając się, jaki był ostateczny werdykt, którego z pewnością nigdy nie pozna. Sir James wchłaniał wszystko, ale oddawał tylko to, co mu było na rękę. Tommy niemal natychmiast miał tego potwierdzenie.

Po powitaniu Julius zasypał sir Jamesa pytaniami. Jakże to udało się mu wpaść na ślad Jane Finn? Dlaczego im przedtem nie powiedział, że ruszył jej tropem i że w ogóle nadal zajmuje się sprawą... i tak dalej, i tak dalej.

Sir James gładził podbródek i uśmiechał się. Wreszcie powiedział:

— No właśnie, właśnie. Odnalazła się. I to jest wspaniałe, prawda? No, niech pan przyzna, że wspaniałe?

— Jasne, że wspaniałe. Ale jak pan w ogóle wpadł na jej trop? Panna Tuppence i ja myśleliśmy, że pan na dobre zrezygnował. Że sprawa przestała pana interesować.

— Ooo? — prawnik rzucił mu krótkie spojrzenie i powrócił do gładzenia podbródka. — Tak pan myślał? Naprawdę tak pan myślał. Hmm, mój Boże...

— Ale teraz przyznaję, że byliśmy w błędzie... — ciągnął temat Julius.

— No nie wiem, czy posunąłbym się aż tak daleko, by twierdzić, że byliście całkowicie w błędzie — odparł sir James. — Niemniej jednak wszyscy powinni się cieszyć, że udało nam się odszukać młodą damę.

— Ale gdzie ona jest? — spytał Julius, zmieniając temat.

— Myślałem, że pan ją przyprowadzi do hotelu.

— To byłoby bardzo trudne — odparł sir James poważnym głosem.

— Dlaczego?

— Młoda dama została potrącona na ulicy przez samochód. Odniosła obrażenia głowy. Zabrano ją do szpitala. Gdy odzyskała przytomność, oświadczyła, że nazywa się Jane Finn. Kiedy ja... kiedy o tym usłyszałem, załatwiłem jej przeniesienie do kliniki mojego przyjaciela i natychmiast wysłałem do pana telegram. Młoda dama jednakże ponownie straciła przytomność i do chwili obecnej jej nie odzyskała.

— Czy odniosła poważne obrażenia?

— Właściwie to nie. Z punktu widzenia medycznego są wręcz śmieszne. Stan, w jakim się znajduje, najprawdopodobniej ma związek z szokiem towarzyszącym odzyskaniu pamięci.

— Wróciła jej pamięć?! — spytał Julius podniecony.

Sir James zaczął z niecierpliwością stukać palcami po stole.

— Przecież to chyba jasne, panie Hersheimer. Skoro po wypadku podała swoje prawdziwe nazwisko... Myślałem, że pan pojął...

— A pan akurat przypadkowo znalazł się na miejscu? — spytał Tommy. — Wydaje mi się to mało prawdopodobne. Cała ta historia...

Sir James nie dał się sprowokować.

— Bywają niesłychanie dziwne zbiegi okoliczności — odparł sucho.

Tommy był teraz absolutnie pewien tego, co przedtem tylko podejrzewał, a mianowicie, iż obecność sir Jamesa w Manchesterze nie była przypadkowa. On wcale nie zrezygnował z poszukiwań, jak to sądził Julius, ale sobie tylko znanymi sposobami trafił wreszcie na ślad Jane Finn i ślad ten przywiódł go właśnie tutaj. Jedyne, co bardzo Tommy'ego dziwiło, to powody otaczania wszystkiego taką tajemnicą. Był skłonny przypisać to myślowym meandrom prawniczego umysłu.

— Zaraz po kolacji pójde zobaczyć się z Jane Finn — oświadczył Julius.

— Obawiam się, że to będzie niemożliwe — odparł sir James. — Nie sądzę, aby pozwolono nam na odwiedzinę o tak późnej porze. Proponowałbym raczej jutro rano o dziesiątej.

Julius się zaczerwienił. Było coś w sir Jamesie, co zawsze wywoływało w Amerykaninie pewien sprzeciw. Prawdopodobnie wynikało to ze zderzenia dwu władczych charakterów.

— Niemniej jednak pójde tam dziś wieczorem i spróbuję przebić się przez zaporę głupich przepisów.

— To absolutnie bezcelowe, panie Hersheimer! Słowa te zabrzmiały jak trzaśnięcie biczem i Tommy ze zdumieniem podniósł głowę. Juliusowi zadrżała ręka, którą podnosił właśnie szklankę do ust. Wyzywająco patrzył sir Jamesowi prosto w oczy. Wydawało się przez chwilę, że wzajemna niechęć obu mężczyzn wybuchnie otwartym płomieniem, ale ostatecznie pokonany Julius opuścił wzrok.

— No cóż, chwilowo pan jest szefem — powiedział.

— Dziękuję — odparł sir James. — A więc jutro rano o dziesiątej? — Z niewymuszoną grzecznością zwrócił się do Tommy'ego: — Muszę przyznać, panie Beresford, że było dla mnie poważnym zaskoczeniem spotkanie pana tutaj. Słyszałem od pańskich przyjaciół, że się bardzo o pana niepokoją. Od paru dni nie mieli żadnych wiadomości, a panna Tupence była skłonna przypuszczać, że jest pan w poważnych opałach.

— I byłem w opałach — odparł Tommy z uśmiechem. — Nigdy w życiu nie byłem aż w takich opałach!

Zachęcony pytaniami sir Jamesa opowiedział w skrócie o swoich przygodach. Gdy skończył, adwokat spojrzął na niego z szacunkiem w oczach.

— Doskonale pan sobie poradził w tej niesłychanie niebezpiecznej sytuacji — powiedział. — Moje najszersze gratulacje. Wykazał pan wielką pomysłowość i bezbłędnie przeprowadził całą operację.

Tommy zaczerwienił się po same uszy.

— Gdyby nie ta dziewczyna, nie dałbym rady, *sir*.

— Oczywiście. — Sir James lekko się uśmiechnął. — To wielkie szczęście, że... jakby tu powiedzieć, wzbudził pan w niej głęboką sympatię. — Tommy już chciał zaprotestować, ale sir James zapytał: — Chyba nie ma wątpliwości, że ona należała do bandy?

— Chyba nie, *sir*. Początkowo myślałem, że może zatrzymują ją siłą, ale jej zachowanie temu przeczyło. Bo, widzi pan, ona dobrowolnie do nich wróciła, kiedy mogła ze mną uciec.

Sir James w zamyśleniu pokiwał głową.

— Pan mówił, że chciała, aby ją odesłano do Marguerite?

— Właśnie. Chyba miała na myśli panią Vandemeyer.

— Pani Vandemeyer podpisywała się „Rita”. Tylko takiego imienia używała. Wszyscy tak do niej mówili i tak ją nazywali. Oczywiście możliwe, że ta dziewczyna знаła ją pod pełnym imieniem. Kiedy biedaczka wyrywała się do owej Marguerite, to pani Vandemeyer była umierająca albo już nie żyła. Nadzwyczaj ciekawe! Paru rzeczy jeszcze nie mogę zrozumieć. Na przykład dość nagłej zmiany stosunku dziewczyny do pana, panie Beresford. Aha, niech mi pan powie: policja oczywiście przeszukała cały dom?

— O tak, ale ptaszki uciekły.

— Nie wątpię — odparł sir James.

— Nie pozostał po nich najmniejszy ślad.

— Zastanawiam się... — Adwokat bębnił palcami po stole.

Dziwne brzmienie jego głosu kazało Tommy’emu bacznie mu się przyjrzeć. Czyżby sir James potrafił dostrzec coś, co ich oczy przepuściły?

— Jaka szkoda, że pana z nami nie było, kiedy obchodziliśmy dom — odezwał się pod wpływem nagłego impulsu.

— Ja też tego żałuję — odparł cicho sir James. Przez długą chwilę milczał, a potem spytał: — A co pan robił od tego czasu?

Tommy spojrział na niego ze zdumieniem, ale natychmiast uświadomił sobie, że sir James przecież nic o tym nie wie.

— Zupełnie zapomniałem, że panu nie powiedzieliśmy o Tuppence! — Nagle odżył w nim głęboki niepokój, chwilowo tylko stłumiony sensacyjną informacją o odnalezieniu Jane Finn.

Sir James odłożył gwałtownie nóż i widelec.

— Czy coś się jej stało? — spytał ostro.

— Zniknęła — odpowiedział Julius.

— Kiedy?

— Przed tygodniem. — Jak?

Po wystrzeleniu przez sir Jamesa tej serii lakonicznych pytań Julius i Tommy pospołu opisali cały miniony tydzień bezowocnych poszukiwań.

— Telegram podpisany pańskim imieniem? — przeszedł do istoty rzeczy sir James. — No tak, oni już sporo o was obojgu wiedzieli. Nie byli natomiast pewni, czego i ile dowiedział się pan w czasie uwięzienia w tym domu. Porwanie panny Tuppence jest reakcją na pańską ucieczkę. W razie potrzeby mogliby zamknąć panu usta groźbą, że jej coś zrobią.

— Tak sobie właśnie pomyślałem, *sir* — Tommy skinął głową.

— Ooo? Doszedłeś do tego, mój chłopcze? — Sir James spojrział na niego bystro. — Brawo! Nieźle, całkiem nieźle rozumowanie. Natomiast bardzo interesujący jest fakt, że kiedy pana w tym domu pochwycili, to nic o panu nie wiedzieli. Jest pan absolutnie pewien, że nie ujawnił im swojej tożsamości?

Tommy przecząco pokręcił głową.

— Z tego jasno wynika — odezwał się Julius — że ktoś ich poinformował. Nie wcześniej niż w niedzielę po południu.

— Ale kto?

— Wszystkowiedzący pan Brown, któż by inny.



W głosie Juliusa zabrzmiała nuta ironii i sir James podniósł głowę, patrząc przenikliwie.

— Pan nie wierzy w pana Browna, panie Hersheimmer?

— Nie, *sir*, nie wierzę — odparł młody Amerykanin. — To znaczy nie wierzę w jego wszechpotęgę. Moim zdaniem, jest on pewnego rodzaju symbolem, straszakiem dla niegrzecznych dzieci. Pan Brown to parawan. Właściwym szefem całego interesu jest ten Rosjanin Kramenin. To jest facet zdolny do wzniecenia rewolucji w trzech krajach jednocześnie, jeśli mu na to przyjdzie ochota. A Whittington jest z pewnością jego delegatem na Anglię.

— Nie mogę się z tym zgodzić — odparł krótko sir James. — Pan Brown istnieje. — Obrócił się do Tommy'ego. — Czy zauważył pan, gdzie ten telegram został nadany?

— Oj nie, nie mam pojęcia.

— Hmm. Ma go pan z sobą?

— W pokoju na górze, *sir*. W moich rzeczach.

— Będę go potem chciał obejrzeć. Nie ma pośpiechu. Skoro już pan stracił tydzień — Tommy opuścił głowę — to dzień więcej nie ma znaczenia. Najpierw zajmijmy się panną Jane Finn. Następnie postaramy się wyzwolić z niewoli pannę Tuppence. Nie sądzę, aby groziło jej coś bezpośrednio. To znaczy nic jej nie zagrozi tak długo, jak długo nie wiedzą, że mamy Jane Finn. I że wróciła jej pamięć. To musi za wszelką cenę pozostać w tajemnicy. Chyba rozumiecie, panowie?

Skinęli głowami i po omówieniu szczegółów spotkania dnia następnego adwokat pożegnał się i odszedł.

O dziesiątej rano obaj młodzi ludzie czekali w umówionym miejscu przed prywatną lecznicą. Po chwili dołączył do nich sir James. Tylko on jeden okazywał spokój. Wprowadził ich do środka i przedstawił doktorowi.

— Panowie Hersheimmer i Beresford, doktor Roylance. Jak tam pacjentka?

— Zupełnie dobrze. Nie zdaje sobie sprawy z upływu czasu. Dziś rano spytała mnie, ilu pasażerów uratowano z „Lusitani”. I czy już o tym piszą gazety. Tego należało się spodziewać. Wydaje się jednak, że tak naprawdę to coś zupełnie innego ją niepokoi...

— Chyba uda się nam to wyjaśnić. Możemy do niej iść?

— Oczywiście.

Idąc za lekarzem, Tommy czuł przyspieszone bicie własnego serca. Jane Finn! Wprost nieprawdopodobny sukces! W tym oto domu leżała, z odzyskaną cudem pamięcią, dziewczyna, w której rękach znajdowała się przyszłość Anglii. Tommy cicho jęknął. Gdyby tu teraz była Tuppence i mogła z nim przeżywać triumfalne zakończenie wspólnego przedsięwzięcia! Po chwili w pełni świadomie przestał o tym myśleć. Rosło w nim zaufanie do sir Jamesa. Oto człowiek, który bez wątpienia odkryje miejsce pobytu Tuppence. Teraz najważniejsza jest Jane Finn! Nagle ogarnął go straszny lęk. Wszystko szło zbyt łatwo... a jeśli za chwilę znajdą Jane Finn martwą... unicestwioną przez pana Browna?

Po chwili śmiał się z tych melodramatycznych przypuszczeń. Doktor otworzył drzwi i weszli do pokoju, w którym leżała na łóżku dziewczyna z obandażowaną głową. Cała ta scena wydawała mu się trochę nierzeczywista, jakby wyreżyserowana. Wszystko było dokładnie tak, jak należało się spodziewać.

*Dziewczyna* spoglądała na przybyłych szeroko otwartymi, kryjącymi nieme pytanie oczami. Pierwszy odezwał się sir James, wskazując na Juliusa:

— To jest pan Julius P. Hersheimmer, pani kuzyn, panno Finn.

Na twarzy dziewczyny pojawił się lekki rumieniec, gdy Julius się zbliżył i podał jej rękę.

— Dzień dobry, kuzynko Jane — powiedział wesoło, ale Tommy wychwycił w jego głosie lekkie drżenie.

— Jest pan naprawdę synem wuja Hirama? — spytała.

Miała bardzo miły głos z lekkim melodyjnym zachodnim akcentem. Głos ten wydał się Tommy'emu przedziwnie znajomy, ale odrzucił tę myśl jako absurdalną.

— To właśnie ja — odparł Julius.

— Zawsze czytaliśmy o wuju Hiramie w gazetach. Nigdy nie sądziłam, że któregoś dnia pana poznam — ciągnęła dziewczyna w tej samej miłej tonacji. — Matka była pewna, że wuj Hiram nigdy nie przestanie być na nią wściekły.

— Staruszek już taki był — przyznał Julius. — Ale nowe pokolenie jest zupełnie inne — dodał wesoło. — Nie ma czasu na rodzinne kłótnie. I nie ma na to ochoty. Jak tylko wojna się skończyła, to pomyślałem sobie, że muszę kuzyneczkę odszukać.

Cień przemknął przez twarz dziewczyny.

— Mówili mi straszne rzeczy, okropne, że straciłam pamięć, że minęły lata, o których nigdy nic nie będę wiedziała. Lata mojego własnego życia...

— Nie zdawałaś sobie z tego sprawy? Dziewczyna otworzyła szeroko oczy.

— Nie, zupełnie nie. Wydawało mi się, że dopiero co władowano nas do łodzi ratunkowych. Cały ten obraz mam jeszcze przed oczami! — Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Zamknęła oczy.

Julius spojrzął na sir Jamesa, który skinął głową.

— Nic się nie martw, kuzyneczko. Nie ma po co. Mamy teraz do ciebie jedno pytanie, droga Jane. Na statku był mężczyzna, który wiozł bardzo ważne papiery. Dokumenty. Różni ważni faceci w tej Anglii twierdzą, że ten człowiek wręczył je tobie. Czy to prawda?

Dziewczyna wahała się, przenosząc wzrok z Juliusa na Tommy'ego i sir Jamesa. Julius zrozumiał.

— Pan Beresford jest upoważniony przez brytyjski rząd do odebrania tych dokumentów. Sir James Peel Edgerton jest członkiem parlamentu, a gdyby chciał, to mógłby być nawet jakąś szychą w rządzie. Dzięki niemu właśnie odnaleźliśmy ciebie. Możesz więc walić prosto z mostu i wszystko nam opowiedzieć. Czy Danvers oddał ci te dokumenty?

— Tak. Powiedział, że będą miały większą szansę dotrzeć, gdzie powinny, ponieważ przy ratowaniu obowiązuje zasada „pierwszeństwo mają kobiety i dzieci”...

— Tak przypuszczaliśmy — odparł sir James.

— Pan Danvers mówił, że to bardzo ważne dokumenty, mogą mieć kapitalne znaczenie dla aliantów. Ale skoro to było tak dawno temu i wojna jest skończona, to dlaczego... jakie one mają znaczenie teraz?

— Historia się powtarza, Jane. Na początku było wielkie zamieszanie z powodu tych dokumentów, potem wszystko ucichło i teraz znowu jest okropna wrzawa. Ale z zupełnie innego powodu. Czy mogłabyś nam je oddać?

— Ale ja nie mogę ich oddać...

— Dlaczego?

— Bo ich nie mam.

— Nie... masz... ich? — spytał powoli Julius, akcentując każde słowo.

— Nie. Schowałam je.

— Schowałaś?!

— Tak. Byłam bardzo niespokojna. Wydawało mi się, że jestem obserwowana. Okropnie się przeraziłam. — Dłonią dotknęła głowy. — Właśnie to sobie najpierw przypomniałam, kiedy obudziłam się w szpitalu...

— Mów dalej! — rozkazał sir James swym spokojnym, ale stanowczym głosem. — Co sobie przypomniałaś?

Spojrzała na niego posłusznie.

— To było na przystani w Holyhead... Tam nas wysadzili... Już nie pamiętam, dlaczego właśnie tam...

— To nieważne. Mów dalej!

— Na moło panował wielki chaos. Udało mi się odłączyć od wszystkich. Nikt mnie nie widział. Wzięłam taksówkę. Kazałam się wywieźć za miasto. Kiedy byliśmy już na otwartej drodze, zaczęłam obserwować szosę za nami. Żadne inne auto nie jechało. Zobaczyłam dróżkę odchodzącą od szosy. Kazałam kierowcy stanąć. I powiedziałam mu, żeby poczekał.

Na dłuższą chwilę zamilkła, a potem wznowiła opowieść:

— Dróżka prowadziła do urwistego skalnego brzegu. Potem nad samą wodę szła ścieżyna między ciernistymi janowcami. Miały żółte kwiaty, podobne do jasnych płomieni... Rozejrzałam się. Nie było żywej duszy. Na wysokości mojej głowy zobaczyłam szczelinę w skale. Małą szczelinę, właściwie dziurę... Ale mogłam wsadzić w nią rękę, i to dość głęboko. Wyjęłam zza sukienki pakiet, który w nieprzemakalnej ceratce miałam na szyi i wepchnęłam go do tej dziury, jak tylko mogłam najgłębiej. A później złamałam gałązkę janowca... Ale pokłułam sobie palce! I zatkałam nią dziurę. W ogóle nie było widać żadnego otworu w skale. Długo stałam w tym miejscu, żeby sobie utrwalić wszystko dobrze w pamięci, wszystko dokoła. Żeby potem mogła tu trafić... Pamiętam tuż przy ścieżynie wielki głaz ciekawego kształtu. Podobny do proszącego psa na dwu łapach... No i wróciłam na szosę. Samochód czekał. Odwiózł mnie do miasta. W ostatniej chwili złapałam pociąg. Trochę się wstydziłam, że wpadłam w panikę. Pomyślałam, że może mam urojenia, ale w pociągu zobaczyłam, że mężczyzna siedzący w przedziale naprzeciwko mnie daje znaki kobiecie na fotelu obok. Znow się przeraziłam, ale byłam bardzo zadowolona, że dokumenty są bezpieczne... Wyszłam na korytarz zaczerpnąć powietrza. Miałam zamiar przejść do sąsiedniego wagonu. Ale ta kobieta zawołała mnie, mówiąc, że coś upuściłam. Kiedy się pochyliłam, żeby zobaczyć co, otrzymałam cios...

— Wskazała ręką na tył głowy. — I od tej chwili już nic nie pamiętam, aż do obudzenia się w szpitalu...

Nastąpiła cisza.

— Dziękuję pani, panno Finn — odezwał się sir James.

— Mam nadzieję, że nadto pani nie zmęczyliśmy.

— Ach nie. Trochę mnie boli głowa, ale poza tym wszystko jest w porządku. Czuję się zupełnie dobrze.

Julius zbliżył się do łóżka i po raz wtóry ujął jej dłoń.

— Do zobaczenia, kuzynko Jane. Zajmę się teraz tymi dokumentami, ale zaraz potem tu wracam i zanim odpłyniemy do Stanów, zabiorę cię do Londynu, żebyś tam poszalała jak nigdy przedtem. Poważnie mówię, więc szybciotko wyjdź!

## ZA PÓŹNO

Gdy wyszli na ulicę, odbyli zaimprovizowaną naradę wojenną. Sir James wyjął zegarek z kieszonki kamizelki.

— Pociąg do portu Holyhead zatrzymuje się w Chester o dwunastej czternaście. Jeśli natychmiast wyruszyście, to zdążycie do Chester...

Tommy patrzył zdziwiony.

— Po co ten pośpiech, *sir*? Dziś jest dopiero dwudziesty czwarty.

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg... — odezwał się Julius, nim adwokat zdołał odpowiedzieć. — Pędzimy na dworzec!

Sir James zmarszczył lekko brwi.

— Żałuję, że nie mogę jechać z wami. Ale o drugiej mam wygłosić odczyt. Bardzo to niefortunne — w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie.

Było jednak zupełnie jasne, że fakt ten w najmniejszym stopniu nie smuci Juliusa.

— Nie ma się czym martwić — rzucił. — Sprawa dziecinnie prosta. Taka sobie zabawa w ciepło—zimno. Jedno chowa, drugie znajduje.

— I ja mam nadzieję, że wszystko okaże się proste — powiedział sir James.

— A niby dlaczego nie? Co się może stać?

— Jest pan jeszcze bardzo młody, panie Hersheimmer. Gdyby pan był w moim wieku, to już dawno nauczyłyby się pan zasady, że nie wolno nie doceniać przeciwnika.

Powaga tonu sir Jamesa zrobiła duże wrażenie na Tom—mym, ale żadnego na Juliusie.

— Myśli pan, że może pojawić się towarzysz Brown i ukraść dokumenty? Gdyby tak się stało, to jestem przygotowany. — Klepnął się po kieszeni. — Mam rewolwer. Wszędzie i zawsze podróżuję z moim Wilusiem. — Pokazał groźnie wyglądającą broń. Pogłaskał ją pieszczotliwie przed schowaniem do kieszeni. — Ale tym razem chyba nie będzie mi potrzebny. Skąd by pan Brown dowiedział się o tym, co my wiemy?

Adwokat wzruszył ramionami.

— A skąd pan Brown dowiedział się o tym, że pani Vandemeyer ma zamiar go zdradzić? No i pani Vandemeyer zmarła, nim zdołała cokolwiek powiedzieć.

To uciszyło Juliusa, a sir James dodał lżejszym tonem:

— Ja po prostu chcę was ostrzec, abyście się pilnowali. Do widzenia. Życzę szczęścia. I kiedy już będziecie mieli dokumenty w rękach, nie podejmujcie zbędnego ryzyka. Jeśli tylko uznacie, że jesteście śledzeni, zniszczcie te papiery. Szczęśliwej podróży. Pałeczka w waszych rękach. — Uścisnął im dłonie.

Po dziesięciu minutach obaj siedzieli w przedziale pierwszej klasy pociągu do Chester.

Bardzo długo milczeli, a kiedy wreszcie Julius przerwał ciszę, zadał niespodziewane pytanie:

— Słuchaj no, Tommy, czy zdarzyło ci się kiedyś zrobić z siebie głupca z powodu twarzy kobiety?

Zaskoczony Tommy zaczął się zastanawiać.

— Chyba nie — odparł wreszcie. — W każdym razie nic takiego sobie nie przypominam. A dlaczego pytasz?

— Ponieważ przez ostatnie dwa miesiące robię z siebie sentymentalnego idiotę z powodu Jane Finn! Spojrzałem na jej fotografię i moje serduszko zapikało zupełnie przedziwnie, tak jak to opisują w powieściach. Ze wstydem się przyznaję, ale to jest fakt. Przyjechałem do Europy z postanowieniem znalezienia jej i zabrania z powrotem do Stanów już jako pani Hersheimmer.

— Ooo!?! — zdumiał się Tommy.

— To tylko dowodzi, jakiego idiotę można z siebie zrobić. Jedno spojrzenie na prawdziwą Jane Finn i zostałem uleczony.

Tommy jeszcze bardziej zaskoczony zdobył się jedynie na ponowne „Ooo”.

— Mówię to bez najmniejszej dla niej ujmy — ciągnął Julius. — To naprawdę miła dziewczyna i na pewno jakiś facet się w niej szybko zakocha.

— Rzeczywiście, bardzo przystojna! — Tommy odzyskał mowę.

— Bez wątpienia. Ale wcale niepodobna do fotografii. To znaczy na pewno jest podobna, musi być trochę podobna, bo ją od razu poznałem. Gdybym ją zobaczył w tłumie, to natychmiast bym sobie powiedział: „Ja tę twarz znam!”. Ale w tej fotografii było coś... — Julius westchnął i potrząsnął głową. — Miłość to przedziwna sprawa... — dokończył.

— Z pewnością — odparł cierpko Tommy. — Skoro przybywasz ze Stanów zakochany w jednej, a w ciągu dwu tygodni oświadczasz się drugiej.

Julius miał na tyle przyzwoitości, by przybrać wyraz skruchy. Chrząknął z zakłopotaniem.

— No bo widzisz, to było tak... Straciłem nadzieję, że kiedykolwiek odszukam Jane... i że to w ogóle szaleństwo, co chciałem zrobić. No i... no wiesz, Francuzi na przykład są w takich sprawach znacznie rozsądniejsi. Oddzielają całkowicie miłość od małżeństwa... Tommy się zaczerwienił.

— Niech mnie diabli! Jeśli to miało być... Julius szybko przerwał.

— Nie mów pochopnie. Nie to miałem na myśli, co sądzisz. Amerykanie mają jeszcze bardziej surowe zasady moralne niż wy tutaj... Ja po prostu chciałem powiedzieć, że Francuzi podchodzą do małżeństwa bardziej rzeczowo. Łączą się w pary, które są do siebie dopasowane, dbają o sprawy finansowe, patrzą na cały problem praktycznie, w duchu... jakby to powiedzieć... biznesu.

— Gdyby mnie kto pytał — odparł ostro Tommy — to moim zdaniem, wszyscy obecnie stajemy się zbyt związani z duchem tego cholernego biznesu. Każdy stale zadaje sobie pytanie: „A jak mi się to opłaci?”. Mężczyźni są straszeni, a kobiety jeszcze gorsze.

— Uspokój się Tommy! Za bardzo się gorączkujesz.

— Tak to czuję!

Julius spojrział na niego i uznał, że lepiej już się nie odzywać.

Tommy miał masę czasu, by ochłonąć przed przybyciem do Holyhead, i kiedy wreszcie tam dotarli, odzyskał swój beztroski uśmiech.

Po konsultacji i przestudiowaniu mapy samochodowej ustalili właściwy kierunek i bez trudu wynajęli taksówkę, którą kazali się wieźć w stronę zatoki Treaddur. Polecili kierowcy jechać wolno i pilnie baczli na pobocza, aby nie przeoczyć odchodzącego od szosy traktu. Znaleźli go niezbyt daleko za miastem. Tommy kazał kierowcy stanąć i siląc się na obojętność, zapytał, czy dróżka ta wiedzie nad morze. Usłyszawszy twierdzącą odpowiedź, najpierw hojnie wynagrodził, a następnie odprawił starego szofera.

W chwilę potem taksówka zaczęła się powoli oddalać w kierunku Holyhead. Tommy i Julius patrzyli za nią, aż zniknęła im z oczu, a następnie ruszyli w stronę brzegu.

— Mam nadzieję, że trafiliśmy na właściwą dróżkę — powiedział Tommy z obawą w głosie. — Musi ich tu być wiele.

— Na pewno ta. Patrz na krzaki janowca. Pamiętasz, co mówiła Jane?

Po obu stronach rosły obsypane złotym kwieciem krzewy. Tommy nieco się uspokoił. Pierwszy szedł Julius. Tommy parokrotnie oglądał się za siebie. Był bardzo niespokojny. Amerykanin to spostrzegł.

— O co chodzi? — spytał.

— Nie wiem. Mam takie dziwne uczucie. Stale wydaje mi się, że ktoś nas śledzi.

— To niemożliwe — odparł Julius. — Widzielibyśmy przecież.

Tommy musiał się z tym zgodzić. Czuł się jednak coraz bardziej nieswojo. Wbrew sobie zaczął wierzyć we wszechpotęgę i wszechobecność wroga.

— Bardzo bym chciał, żeby ten gość się pokazał — powiedział Julius i poklepał się po kieszeni. — Wiluś tylko marzy, żeby się popisać.

— Zawsze nosisz to ze sobą? — zapytał Tommy z rosnącą ciekawością.

— Prawie zawsze. Nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć.

Tommy zachował pełne szacunku milczenie. Wiluś budził w nim respekt. W istocie zmniejszał zagrożenie ze strony pana Browna.

Ścieżka biegła teraz wzdłuż linii opadających ku morzu skał. Julius zatrzymał się tak nagle, że Tommy wpadł na niego.

— Co się stało? — spytał.

— Spójrz tam! Ale mamy nosa! Od razu trafiliśmy!

W ścieżkę wrzynał się wielki głaz, który rzeczywiście mógł przypominać siedzącego na dwóch łapach teriera.

Tommy był daleki od dzielenia z Julusem jego wielkiego entuzjazmu.

— No cóż, tego się właśnie spodziewaliśmy. Julius spojrzał dziwnie i potrząsnął głową.

— Ta brytyjska flegma! Pewno, że „tego się właśnie spodziewaliśmy”! Niemniej jednak mam prawo być bardzo poruszony, kiedy wreszcie odnalazłem to, czego szukałem.

Tommy, którego opanowanie było w znacznej mierze udawane, przestąpił niespokojnie z nogi na nogę.

— No dobrze. Ruszmy się. Co z tą dziurą?

Uważnie przyglądali się skałom. Tommy ze zdumieniem usłyszał swój własny głos wypowiadający idiotyczne słowa:

— Po tylu latach tej gałązki już nie będzie. A na to Julius odparł z wielką powagą:

— Chyba masz rację.

Tommy wskazał nagle drżącą ręką:

— Czy to nie ta szczelina?

Julius potwierdził załamującym się głosem:

— Tak, tak... to właśnie ta! Spojrzeli na siebie.

— Podczas wojny we Francji — zaczął wspominać Tommy — ilekroć mój ordynans zapomniał się u mnie zjawić o wyznaczonej porze, zawsze mówił, że to dlatego, iż dziwnie się poczuł. Nigdy mu nie wierzyłem. Bez względu jednak na to, czy on się tak czuł, czy też nie, to zapewniam cię, że podobne uczucie istnieje. Właśnie go doznaję, i to jak!

Spoglądał na dziurę w skale z jakąś zaciętą namiętnością.

— Psiakrew! — wykrzyknął. — To niemożliwe! Pomyśl tylko. Pięć lat! Chłopcy wybierający ptasie gniazda, pikniki, tysiące spacerowiczów. Tego już tam nie ma. Sto do jednego, że nie ma. Byłoby nielogicznie sądzić inaczej.

Uważał tak naprawdę — z powodów, które wymienił, ale chyba również i dlatego, że trudno było uwierzyć we własny sukces tam, gdzie tak wielu się nie powiodło. Cała sprawa wydawała się zbyt łatwa i dlatego nie mogła być prawdziwa. Szczelina okaże się pusta!

Julius patrzył na Tommy'ego, krzywiąc twarz w uśmiechu.

— Jesteś trochę roztrzęsiony — wyśpiewał swoim południowym akcentem nie bez pewnego zadowolenia. Podszedł do szczeliny, wsadził głęboko rękę. Na twarzy pokazał mu się grymas. — Ciasno tu. Jane ma rękę na pewno kilka numerów mniejszą od mojej. Nic nie wyczuwam... Aaa! Co to jest? Boże drogi! — Zaczął wymachiwać spłowiałym pakiecikiem. — Znaleźliśmy! Mamy! Zapakowane szczelnie w ceratę. Potrzymaj, muszę wyciągnąć scyzoryk.

No i niewiarygodne okazało się prawdziwe! Tommy trzymał delikatnie w palcach cenny pakiecik. „To dziwne”, pomyślał. „Cerata tak równiutko zszyta. Nitka jakby nowa. Po tylu latach powinna być sparciała”.

Julius ostrożnie przeciął szwy i rozwinął pakiet. W środku znajdowała się jedna złożona kartka. Rozłożyli ją drżącymi palcami. Kartka była czysta! Spojrzeli na siebie zaskoczeni.

— Atrapa! — wykrzyknął Julius. — Czyżby Danvers był fałszywą przynętą?

Tommy zaprzeczył ruchem głowy. Podobne wyjaśnienie zupełnie go nie przekonywało. Nagle twarz mu się rozjaśniła.

— Atrament sympatyczny!

— Tak sądzisz?

— Warto sprawdzić. Zazwyczaj wysoka temperatura wydobywa litery. Zbierz parę patyków, rozpalimy ogień.

Po paru minutach wesoło trzaskało małe ognisko z gałązek i liści. Gdy się wypaliło, Tommy przysunął kartkę do pozostałego żaru. Papier zaczął się skręcać.

Nagle Julius chwycił Tommy'ego za ramię, wskazując na pojawiające się brunatne litery.

— Masz główkę, bracie! To był doskonały pomysł. Nigdy bym na to nie wpadł!

Tommy trzymał kartkę blisko żaru tak długo, aż uznał, że wszystkie litery są dostatecznie czytelne. Następnie spojrzął na nią i jęknął z rozczarowania.

Drukowanymi literami w poprzek całej strony biegł tekst:

*Z serdecznymi pozdrowieniami od pana Browna.*

## TOMMY DOKONUJE ODKRYCIA

Patrzyli na siebie jak ogłupiali, sparaliżowani doznany szokiem. W zupełnie niezrozumiały sposób pan Brown ich uprzedził. Tommy przyjął porażkę z rezygnacją, ale nie Julius.

— Jak on tu trafił przed nami? To zupełnie nieprawdopodobne! Absolutnie niezrozumiałe!

— Już wcześniej zauważyłem, że te szwy wyglądają jak nowe. Wydały mi się podejrzone...

— Do diabła ze szwami! Ty mi lepiej powiedz, jakim cudem on tu dotarł przed nami? Przygnaliśmy, nie tracąc chwili. Nie sposób było nas wyprzedzić. No bo jak? A poza tym, skąd on by wiedział? Czy ty myślisz, że w pokoju Jane mógł być ukryty mikrofon? Chyba tak... musiał być!

Zdrowy rozsądek Tommy'ego protestował.

— Nikt nie wiedział, że ona znajdzie się właśnie w tej prywatnej klinice. Tym mniej prawdopodobne, by ktokolwiek mógł przewidzieć, w którym pokoju.

— Racja — przyznał Julius. — No to w takim razie któraś z pielęgniarek musi być członkiem bandy. I podsłuchiwała pod drzwiami. Co ty na to?

— To jest w tej chwili nieważne. A może pan Brown już przed paroma miesiącami dowiedział się o tej skrytce i zgarnął dokumenty? Nie, to też niemożliwe! Gdyby to zrobił, byłyby już opublikowane.

— No oczywiście. Jest tylko jedna odpowiedź: ktoś nas wyprzedził o parę godzin. Ale jak to zrobił, tego naprawdę nie wiem.

— Szkoda, że nie ma z nami Peela Edgertona — powiedział Tommy w zamyśleniu.

— Dlaczego? — zdziwił się Julius. — Przecież dokumenty ukradziono przed naszym przyjściem.

— Owszem, tak... — Tommy nie potrafił sobie wytłumaczyć przedziwnego uczucia... zupełnie nielogicznego przekonania, że obecność sławnego adwokata zapobiegłaby katastrofie. Wrócił do poprzedniego stanowiska: — Nie ma sensu rozważanie, jak to zrobiono. Gra skończona. Przegraliśmy. Pozostaje mi tylko jedno.

— Co mianowicie?

— Natychmiastowy powrót do Londynu. Muszę ostrzec pana Cartera. Dzielą nas godziny od prawdziwej katastrofy. A on powinien znać wszystkie okoliczności.

Obowiązek nie należał do przyjemnych, ale Tommy nie miał zamiaru od niego uciekać. Wiedział, że musi o niepowodzeniu zameldować panu Carterowi, i że dopiero po tym jego zadanie dobiegnie końca. Wsiadł więc do nocnego ekspresu do Londynu. Julius pozostał na noc w Holyhead.

W pół godziny po przybyciu do stolicy Tommy stał przed obliczem swego przełożonego.

— Przychodzę z meldunkiem, *sir*. Zawiodłem. Bardzo zawiodłem.

Pan Carter spojrzał przenikliwie.

— Chcesz powiedzieć, że traktat...

— Jest w rękach pana Browna, *sir*.

— Aha! — powiedział pan Carter spokojnie. Wyraz jego twarzy nie zmienił się, tylko w oczach pojawił się błysk żalu. Bardziej niż słowa przekonało to Tommy'ego, że sytuacja jest beznadziejna.

— No cóż — odparł pan Carter po chwili — nie padniemy z tego powodu na kolana. Nie wolno nam się ugiąć. To dobrze, że wreszcie wiem. Musimy jakoś sobie poradzić. Nie bierz sobie tego wszystkiego tak bardzo do serca. Nie twoja wina. Zrobiłeś co mogłeś. Wystąpiłeś przeciwko najtęższemu umysłom. I byłeś bardzo blisko sukcesu. Zawsze o tym pamiętaj!

— Dziękuję, *sin*



— Właściwie to moja wina — ciągnął pan Carter. — Wyrzucam to sobie od chwili, gdy otrzymałem tamtą wiadomość...

Dziwny lęk chwycił Tommy'ego za serce.

— Czy... jeszcze coś się stało, *sir*?

— Obawiam się, że tak — odparł zapytany, wyciągając rękę po jakiś papier leżący na biurku.

— Tuppence...? — wyjąkał Tommy.

— Przeczytaj sam, chłopcze.

Litery tańczyły Tommy'emu przed oczami. Był to opis zielonego toczka oraz płaszcza, w którego kieszeni znajdowała się chusteczka z inicjałami P.L.C. Zbolałym wzrokiem spojrzął na pana Cartera, który wyjaśnił:

— Wyłowiono na brzegu w Yorkshire, koło Ebury. Boję się, że to oni...

— Mój Boże! — wykrzyknął Tommy. — Moja Tuppence! Nie spocznę, póki się nie rozliczę z tymi... tymi... wcielonymi diabłami. Nie dam im spokoju, będę za nimi węszył, aż...

Zatrzymało go współczucie widoczne w oczach pana Cartera.

— Wiem, co czujesz, drogi chłopcze. Ale przestań myśleć o zemście. To bezcelowa strata czasu. Być może moje słowa zabrzmią okrutnie, ale radzę ci szczerze: uratuj, co można. Uratuj siebie. Czas jest litościwy. Pozwala zapomnieć.

— Mam zapomnieć o Tuppence? Przenigdy! Pan Carter tylko pokiwał głową.

— Tak myślisz teraz. No cóż, dzielna to była dziewczyna. Warto ją wspominać. Jest mi niezmiernie przykro z powodu całej sprawy. Strasznie przykro.

Tommy nieco się opanował.

— Zabieram panu czas, *sir*. — Mówił to z wielkim wysiłkiem. — A siebie niech pan za nic nie wini. Byliśmy parą szaleńców, żeby podjąć się takiej sprawy. Ale wołałbym... sam oberwać... Do widzenia, *sin*

Wróciwszy do Ritza Tommy się spakował.

Robił wszystko mechanicznie, nadal pod wpływem olbrzymiego szoku z powodu tragedii, która zniszczyła jego pogodną egzystencję. Jakże im było dobrze razem! Jakże pysznie się wspólnie bawili! Jak się wspaniale zrozumieli. A teraz — nie mógł w to uwierzyć — wszystko się skończyło! Tuppence nie żyje! Mała kipiąca życiem Tuppence. Może to tylko straszliwy sen? Jakiś koszmar, który minie?

Przyniesiono mu list — kilka ciepłych słów, wyrazów sympatii od Peela Edgertona, który znalazł o tym informację w prasie. (W gazecie był duży tytuł: *Ekspielegniarka wojskowa prawdopodobnie utonęła*). List kończył się propozycją objęcia przez Tommy'ego posady na ranczu w Argentynie, gdzie sir James miał liczne interesy.

— Miły gość — mruknął Tommy, odrzucając list na bok. Otworzyły się drzwi i ze zwykłą sobie energią wpadł Julius. W rękę trzymał otwartą gazetę.

— Słuchaj no, co to ma znaczyć? Co oni za głupstwa wypisują na temat Tuppence?

— To niestety prawda — odparł cicho Tommy.

— Chcesz powiedzieć, że ją naprawdę załatwili? Tommy skinął głową.

— Prawdopodobnie przestała im być potrzebna z chwilą, gdy odnaleźli tekst traktatu, a bali się ją wypuścić...

— Cholera! — zaklął Julius. — Biedna mała Tuppence, najodważniejsza dziewczyna, jaką znałem...

Nagle coś się załamało w Tommym. Zerwał się i zaczął wykrzykiwać:

— Wynos mi się stąd, jazda! Co ona cię w ogóle obchodzi?! Nic a nic! Zaproponowałeś jej małżeństwo jako transakcję handlową. Na zimno. A ja ją kochałem! Oddałbym ciało i duszę, żeby tylko nic się jej nie stało. I słowa jednego bym nie powiedział, gdyby po tym wszystkim chciała za ciebie wyjść, ponieważ miałyby życie, jakie powinna mieć, a ja jestem po prostu

zero, bez grosza przy duszy. Ale zrobiłbym dla niej wszystko, na wszystko bym się zgodził, bo ją kochałem! Ty tego nie zrozumiesz!

— Uważaj no, co mówisz... — zaczął Julius.

— Ooo, idź do diabła! Nie mogę znieść, kiedy przychodzisz i ciągle bręczysz mi nad uchem na temat „biednej małej Tuppence”. Idź i zajmij się swoją kuzynką. Tuppence to moja dziewczyna! Nie masz prawa nawet o niej wspominać. Ja ją zawsze kochałem. Chyba od czasu, jak bawiliśmy się razem jako dzieci. Dorośliśmy i było tak samo. Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy leżałem w wojskowym szpitalu i ona się zjawiała w fartuchu i w tym śmiesznym pielęgniarskim czepku! To był chyba cud. Zobaczyć dziewczynę, którą się kocha, w pielęgniarskim stroju...

— Niech mnie piorun...! — przerwał mu Julius. — Coś ty powiedział? W pielęgniarskim stroju? Ja chyba zwariowałem! Słuchaj, gotów byłbym przysiąc, że widziałem Jane w pielęgniarskim stroju! A to przecież niemożliwe! Zaraz, zaraz! Już mam! Tommy! To była pielęgniarka, którą widziałem rozmawiającą z Whittingtonem w tej klinice czy sanatorium w Bournemouth. Ona nie była tam pacjentką, ale pielęgniarką!

— Z tego wynika, że Jane od samego początku jest w spisku z tą całą bandą — odparł gniewnie Tommy. — Kto wie, czy to nie ona ukradła te papiery Danversowi.

— Tego na pewno nie zrobiła! — wykrzyknął Julius. — To moja kuzynka i na pewno bardzo patriotyczna Amerykanka.

— Nic mnie nie obchodzi, jaka ona jest, wynoś się! — wrzasnął Tommy.

Zdawało się, że za chwilę obaj młodzi mężczyźni rzucają się na siebie z pięściami. Jednakże nagle cała złość Amerykanina jakby się rozplynęła.

— W porządku, chłopie! — powiedział spokojnie i cicho.

— Już sobie idę. Nie mam do ciebie najmniejszego żalu za to, coś powiedział. Przeciwnie, jestem ci nawet wdzięczny. Twoje słowa uświadomiły mi, jakim byłem idiotą. Uspokój się! — Tommy właśnie zrobił niecierpliwy gest. — Wynoszę się. Jadę na Dworzec Północny...

— Nic mnie nie obchodzi, na jaki jedziesz dworzec! — warknął Tommy.

Gdy tylko zamknęły się drzwi za Julusem, powrócił do swej walizki.

— Gotowe — mruknął i zadzwonił po pikolaka.

— Zabierz mój bagaż na dół — powiedział, gdy ten się pojawił.

— Tak jest, sir. Wyjeżdża pan?

— Wyjeżdżam do diabła — odparł Tommy, obojętny wobec faktu, że sprawia przykrość Bogu ducha winnemu chłopakowi.

Tenże jednak odparł z szacunkiem:

— Tak jest, *sir*. Czy mam wezwać taksówkę? Tommy skinął głową.

Dokąd się uda? Nie miał najmniejszego pojęcia. Nie miał żadnych planów poza zdecydowanym postanowieniem odpłacenia za wszystko panu Brownowi. Przeczytał raz jeszcze list sir Jamesa. Nie, nie przyjmie tej propozycji. Tuppence musi być pomszczona. „Jednak to dobry człowiek, ten sir James”, pomyślał. Chyba powinien mu odpowiedzieć. Podeszedł do biurka. Jak to zwykle bywało z wyposażeniem hotelowych pokoi, pełno było kopert, ale ani jednej kartki. Tommy zadzwonił, ale nikt się nie pojawił. Był wściekły. Przypomniał sobie jednak, że w saloniku apartamentu Juliusa widział papier listowy. Amerykanina chyba już nie będzie. Przecież zapowiedział, że natychmiast jedzie na stację. Nie grozi im więc spotkanie. A nawet gdyby jeszcze był, no to co? Zaczął się trochę wstydić za to wszystko, co powiedział. „Trzeba przyznać, że Julius to porządny facet. Właściwie dobrze to wszystko zniósł, cierpliwie. Muszę go przeprosić przy pierwszej nadarzającej się okazji”, postanowił.

Ale Juliusa nie było, salonik okazał się pusty. Tommy podeszedł do biureczka i otworzył środkową szufladę. Wzrok jego przyciągnęła niedbale rzucona fotografia. Przez chwilę stał

jak wryty. Następnie wyjął fotografię, zamknął szufladę i usiadł w fotelu. Wpatrzył się w twarz na fotografii.

Co, u diabła, robiła w biurku Juliusa Hersheimera fotografia francuskiej dziewczyny, Annette?

## NA DOWNING STREET

Premier bębnił w stół drżącymi palcami. Jego twarz wyrażała rozterkę i zmęczenie. Wznówił rozmowę z panem Carterem w miejscu, gdzie ją przerwali.

— Nie rozumiem — powiedział. — Twierdzi więc pan, że sytuacja nie jest ostatecznie taka beznadziejna? — spytał.

— Tak wynika z tego, co mi ten dzielny chłopak pisze...

— Niech no mi pan ten list jeszcze raz pokaże!

Pan Carter podał premierowi kartkę wypełnioną młodzieńczym, pochyłym pismem.

*Szanowny Panie Carter!*

*Wydarzyło się coś, co mną wstrząsnęło. Być może okaże się, że mówiąc o tym, robię z siebie głupca, ale chyba nie. Jeśli moje przemyślenia są słuszne, to ta dziewczyna w Manchesterze była osobą podstawioną, przez Browna. Wszystko zostało ukartowane wyłącznie w tym celu, byśmy myśleli, iż przegraliśmy. Wynikałoby z tego, że oni się bali, iż jesteśmy bliscy naszego celu.*

*Ja już chyba wiem, kim jest prawdziwa Jane Finn, a nawet mam pewne podejrzenia, gdzie są dokumenty. To ostatnie to oczywiście tylko przypuszczenia, ale czuję, że mam rację. Niemniej jednak przekazuję to w oddzielnej, zaklejonej kopercie. Bardzo pana proszę nie otwierać jej do ostatniej chwili, czyli do północy dwudziestego ósmego. Za chwilę Pan zrozumie, dlaczego o to proszę. Bo widzi Pan, doszedłem do wniosku, że ubranie Tuppence też zostało specjalnie podrzucone, a ona wcale się nie utopiła. Ona żyje. Przypuszczam, że w ostateczności pozwolą prawdziwej Jane Finn uciec, gdyż sądzą, że ona może tylko udawać tę utratę pamięci. Myślą sobie, że gdy ucieknie, to ich poprowadzi prosto do miejsca, gdzie ukryła dokumenty. Zdają sobie sprawę z ryzyka, gdyż prawdziwa Jane Finn wszystko o nich wie, ale zrobią to, bo muszą mieć te papiery, żeby im się udał ten cały przewrót. Ale uwaga! Gdyby jednak się tylko dowiedzieli, że już odzyskaliśmy papiery, to życie obu dziewczyn nie byłoby warte funta kłaków! Muszę więc odszukać Tuppence, zanim ta prawdziwa Jane im ucieknie.*

*Potrzebna mi jest kopia telegramu, który Tuppence otrzymała w Ritzu rzekomo ode mnie. Nie tyle kopia, ile jak gdyby ten sam telegram drugi raz. Sir James Peel Edgerton powiedział, że pan potrafi to załatwić. On jest bardzo mądry!*

*I jeszcze ostatnia rzecz: proszę kazać pilnować domu w Soho. Pilnować dzień i noc!*

*Z poważaniem,  
Thomas Beresford*

Premier podniósł głowę.

— A ten zaklejony załącznik?

Pan Carter uśmiechnął się kwaśno.

— W bankowym skarbcu. Nie chcę ryzykować.

— Nie sądzi pan... — premier przez chwilę się wahał — że lepiej byłoby otworzyć to teraz? Moglibyśmy być może odzyskać dokument, zakładając oczywiście, że teoria wysunięta przez młodego człowieka ma ręce i nogi. Możemy utrzymać ten fakt w całkowitej tajemnicy!

— Czy rzeczywiście możemy? Wątpię w to. Dokoła pełno jest szpicli. A jeśliby wiadomość przeciekła, to nie dałbym złamanego szeląga za życie obu tych panien. Zdecydowanie nie. Chłopak zaufał mi i nie mogę go zawieść.

— No cóż, skoro tak musi być... Co to jest za człowiek ten Tommy?

— Pozornie przeciętny, raczej tępawy, prostolinijny Anglik. Myśli dość wolno. Z drugiej strony praktycznie nie można wprowadzić go w błąd, oddziałując na przykład na jego

wyobraźnię. On jej po prostu nie ma. U niego liczą się tylko fakty. Problemy rozwiązuje powoli, ale kiedy dogrzebie się do faktów, nie ma siły odciągnąć go od nich. Jego towarzyska, ta młoda dama, która zaginęła, jest zupełnie inna. Ma większą intuicję niż on, ale znacznie mniej zwykłego rozsądku. Razem stanowią kapitalną parę. Mają siłę przebiccia i upór.

— Z tego listu wydaje mi się bardzo pewny siebie — zauważył premier.

— Tak. I w tym cała moja nadzieja. Ten młody człowiek tak bardzo nie dowierza sobie samemu, że musi być na sto dwadzieścia procent pewien, nim ośmieli się wyrazić opinię, zastrzegając się przy tym chyba ze sto razy, że to tylko opinia wstępna.

Premier wykrzywił usta w półuśmiechu.

— I taki właśnie, że tak powiem, chłopczyna, ma pokonać naszego przestępcę stulecia?

— Tak! Ten chłopczyna, jak pan powiedział. Ale chwilami dostrzegam za jego plecami cień innej osoby.

— To znaczy?

— Peela Edgertona.

— Peela Edgertona? — zdumiał się premier.

— Tak. Dostrzegam w tym jego rękę. — Pan Carter uderzył dłonią w otwarty list Tommy'ego. — On za tym tkwi. Za kulisami, niedostrzegalny, niesłyszalny. Zawsze uważałem, że jeśli ktokolwiek mógłby przyłapać pana Browna, to właśnie Peel Edgerton. Zapewniam pana, panie premierze, że on tkwi w tej sprawie po uszy, chociaż nie chce, by o tym wiadano. Aha, otrzymałem od niego ostatnio przedziwną prośbę...

— A mianowicie?

— Przesłał mi wycinek z jakiejś amerykańskiej gazety. Dotyczył ciała mężczyzny znalezionego przed kilkoma tygodniami w nowojorskim porcie. Prosił mnie o dowiedzenie się czegoś więcej, jeśli będę mógł.

— No i...?

— Niewiele się dowiedziałem. Mężczyzna około trzydziestu pięciu lat, biednie ubrany, twarz nie do rozpoznania. Ciało nie zostało zidentyfikowane.

— I pan sądzi, że to ma jakiś związek z... naszą sprawą?

— Tak przypuszczam. Mogę się oczywiście mylić. Nastąpiła krótka chwila milczenia, po czym pan Carter mówił dalej:

— Poprosiłem sir Jamesa, żeby się tutaj pojawił. Co prawda, wiem dobrze, że z niego nie wyciągnie się więcej niż on sam zechce powiedzieć. To typowy prawnik. Niesłuchanie ostrożny. Sądzę jednak, że mógłby rzucić jakieś światło na parę niezbyt jasnych punktów w liście młodego Beresforda... A oto i sir James!

Premier i pan Carter wstali, aby powitać nowo przybyłego. Przez głowę premiera przemknęła nieco dziwaczna myśl: „To jest, być może, mój następca!”.

— Otrzymałem list od Beresforda — zaczął z miejsca pan Carter. — Pan się z nim widział, jak mi się wydaje?

— Źle się panu wydaje — odparł adwokat.

— Ooo? — Pan Carter był nieco zaskoczony. Sir James uśmiechnął się, gładząc podbródek.

— Rozmawiałem z nim przez telefon — pośpieszył z wyjaśnieniem.

— Czy byłby pan łaskaw streścić nam tę rozmowę?

— Proszę bardzo. Beresford podziękował mi za list, który ode mnie otrzymał. W tym liście ofiarowywałem mu pracę. Następnie przypomniał mi o czymś, co mu powiedziałem w Manchesterze na temat tego telegramu — rzekomo od niego, Beresforda — który zwabił w sidła pannę Cowley. Zapytałem go, czy zdarzyło się coś nowego. Odparł, że tak, że w szufladzie biurka w hotelowym apartamencie pana Hersheimera znalazł fotografię. — Adwokat na chwilę zamilkł. Potem zaczął mówić dalej: — Zapytałem go, czy przypadkiem

na fotografii nie ma nazwiska i adresu kalifornijskiego fotografa. Odparł, że trafiłem w dziesiątkę. Następnie powiedział mi coś, czego nie wiedziałem. A mianowicie, że fotografia przedstawia francuską dziewczynę, Annette, która ocaliła mu życie.

— Co takiego?

— Właśnie to! Byłem ciekaw, co ten młody człowiek zrobił z fotografią. Na moje pytanie odparł, że położył ją z powrotem tam, gdzie ją znalazł... — Adwokat znów zrobił krótką przerwę w opowieści. — Bardzo dobrze zrobił, panowie. Wręcz doskonale. Ten młody człowiek potrafi korzystać z szarych komórek. Pogratulowałem mu. Jego odkrycie było bardzo na czasie. Oczywiście cała sytuacja uległa radykalnej zmianie od chwili, gdy zorientowaliśmy się, że w Manchesterze podstawiono nam fałszywą Jane Finn. Młody Beresford sam na to wpadł, bez mojej pomocy. Uważał jednak, że jeśli idzie o pannę Cowley, nie może polegać na własnej ocenie. Spytał, czy moim zdaniem, ona żyje. Biorąc pod uwagę wszelkie poszlaki, odparłem mu, że wszystko raczej na to wskazuje. Wówczas powróciliśmy do sprawy telegramu.

— No i...?

— Poradziłem mu, by natychmiast zwrócił się do pana o pełną kopię oryginału. Przyszło mi bowiem do głowy, że potem, gdy panna Cowley przeczytała telegram i wyrzuciła go do kominka, ktoś mógł z naklejonych na blankiet pasków niektóre słowa usunąć, a inne dodać, aby zmylić ślad i wprowadzić w błąd poszukujących.

Pan Carter skinął głową i wyjął z kieszeni zmiętą nieco kartkę.

— „Przyjedź natychmiast, Astley Priors, Gatehouse, Kent. Ciekawy rozwój wypadków. Tommy” — przeczytał.

— Zarazem chytre i proste — powiedział sir James. — Tylko zmienić kilka słów w adresie. Jednakże nasi młodzi detektywi zlekceważyli też jeden ważny fakt.

— Mianowicie?

— Oświadczenie pikolaka, że panna Cowley pojechała na stację Charing Cross. Beresford i Hersheimer byli tak bardzo pewni swego, tacy zadufani, że założyli, iż pikolak na pewno się pomylił.

— A gdzie jest teraz Beresford?

— Chyba właśnie w Gatehouse.

Pan Carter spojrzał ciekawie na sir Jamesa.

— Trochę mnie dziwi, że i pana tam nie ma.

— Jestem bardzo zajęty pewną sprawą...

— Myślałem, że wziął pan urlop?

— Nie, nie! Ale nie mam zamiaru występować w najbliższym czasie przed sądem. Powinienem być raczej powiedzieć, że jestem zajęty w ogóle innymi sprawami. Ma pan coś dla mnie na temat tego amerykańskiego nieboszczyka?

— Niestety prawie nic. To bardzo dla pana ważne dowiedzieć się, kim on był.

— O nie, ja wiem, kto to był. Nie mógłbym jeszcze tego dowiedzieć, ale wiem — odparł lekko sir James.

Ani premier, ani pan Carter nie zadali oczywistego pytania, gdyż wiedzieli, że i tak nie uzyskają odpowiedzi.

— Czego nie mogę zrozumieć, to sprawy tej fotografii — odezwał się premier. — Skąd ona się wzięła w biurku tego Amerykanina?

— Może od samego początku tam się znajdowała — podsunął adwokat.

— A ten fałszywy inspektor policji? Inspektor Brown?

— Aaa! — powiedział tajemniczo i jakby wymijająco sir James i wstał z miejsca. — Nie wolno mi zajmować panom tyle czasu. Dalej załatwiajcie ważne kwestie państwowe. Ja muszę wrócić do... moich spraw.

W dwa dni później Julius Hersheimer powrócił z Manchesteru. Na biurku znalazł list od Tommy'ego.

*Hersheimer!*

*Przepraszam, że straciłem nad sobą panowanie. Na wszelki wypadek chcę się pożegnać, gdybyśmy mieli już się nie spotkać. Zaproponowano mi pracę w Argentynie i chyba tam luyjadę.*

*Pozdrawiam,  
Tommy Beresford*

Dziwny uśmiech zagościł przez chwilę na twarzy Juliusa. Rzucił list do kosza.  
— Ale z niego głupiec! — powiedział do siebie.

## WYŚCIG Z CZASEM

Po telefonicznej rozmowie z sir Jamesem Tommy zadzwonił do portierni South Audley Mansions. Udało mu się poprosić do telefonu Alberta, który jak zwykle był na posterunku. Gdy przedstawił się jako przyjaciel Tuppence, Albert natychmiast się rozkręcił.

— Strasznie tu spokojnie ostatnio — powiedział z zalem w głosie. — Proszę przekazać pozdrowienia młodej pani...

— W tym cały sęk, Albercie — odparł Tommy — że młoda pani zaginęła.

— Co pan mówi? Ci złodzieje ją porwali?

— Właśnie oni!

— Porwali do podziemia?

— Do jakiego znowu podziemia? Co ty gadasz?

— Tak się pisze w książkach, proszę pana. Podziemie gospodarcze i złodziejskie. We wszystkich filmach bandyci i przestępcy mają taką restaurację w podziemiu. Myśli pan, że ją załatwili, sir?

— Mam nadzieję, że nie. Ale ja dzwonię, bo chcę ci zadać pytanie. Może przypadkiem masz jakąś kuzynkę, babkę albo inną odpowiednią krewną, która jest bliska wyzionęcia ducha?

— Rozumiem, *sir*. Wiem, o co chodzi. Mam taką. Moja biedaczka ciotka, która mieszka na wsi, bliska jest ostatniego czknięcia i koniecznie chce mnie jeszcze zobaczyć, zanim zaczniesz się karmić korzonkami.

Tommy był absolutnie pewien, że Albert uśmiecha się w tym momencie od ucha do ucha.

— Słuchaj no, chłopcze! Czy mógłbyś zgłosić ten fakt swoim przełożonym, dostać parę dni wolnego i spotkać się ze mną za godzinę na stacji Charing Cross?

— Może pan na mnie liczyć, *sir*! Za godzinę będę!

Tak jak Tommy przewidywał, Albert okazał się bezcennym współpracownikiem. Obaj zakotwiczyli się w gospodzie w Gatehouse. Albert otrzymał zadanie zebrania informacji. Nie miał z tym najmniejszych trudności.

Posiadłość Astley Priors należała do doktora Adamsa. Właściciel gospody powiedział, że doktor Adams już się wycofał z czynnej praktyki, ale czasami przyjmuje jeszcze chorych do prowadzonego przez siebie sanatorium. Jest tam tylko kilka pokoi. A ci pacjenci — właściciel postukał się w czoło — to „tacy rąbnięci”. Doktor Adams był popularny w całej okolicy i patronował miejscowej drużynie sportowej. „Taki bardzo miły dżentelmen”. Czy jest tu od dawna? Od jakichś dziesięciu lat, a może dłużej. Mądry musi on być, taki naukowiec, bo profesorowie i inni uczeni ludzie często do niego przyjeżdżają z miasta. Nigdy nie jest pusto w tym domu. Zawsze są jacyś goście.

W obliczu tej obfitości słów Tommy poczuł pewne wątpliwości. Czy to możliwe, aby człowiek otaczany od lat ogólnym szacunkiem, tak dobrze znany, mógł być niebezpiecznym przestępcą? Ze słów gospodarza wynikało, że doktor Adams prowadzi otwarte, uczciwe życie. Ani śladu niczego podejrzanego. Może to wszystko jest jednym wielkim nieporozumieniem?

W tym momencie przypomniał sobie owych „rąbniętych”, którymi doktor się nadal zajmuje. Zaczął wypytywać właściciela gospody, czy wśród pensjonariuszy doktora Adamsa była młoda kobieta. Opisał dokładnie Tuppence. Jednakże zapytany niewiele wiedział o pacjentach — rzadko kiedy wychodzili poza obręb sanatorium. Rysopis Annette też mu się z niczym nie kojarzył.

Astley Priors było zupełnie przyjemnym budynkiem z czerwonej cegły, otoczonym dość gęstym lasem, co uniemożliwiało obserwację z drogi.



Pierwszego wieczoru Tommy i Albert badali teren. Albert usilnie nalegał, aby się czołgali, przez co robili znacznie większy hałas, niż gdyby normalnie szli. Poza tym owo czołganie okazało się absolutnie zbędne. Cały ten prywatny park, podobnie jak wszystkie inne ogrody wokół rezydencji, po zapadnięciu mroku był pusty. Tak to w każdym razie wyglądało. Tommy przewidywał, że mogą tu biegać groźne psy. Albert zaś skłaniał się ku przypuszczeniu, że park roi się od pum albo tresowanych kobr. Jednakże nikt im nie przeszkodził w dotarciu do krzewów rosnących w pobliżu domu.

Rolety w oknach jadalni były podniesione. Wokół stołu siedziało liczne towarzystwo. Właśnie krążyła karafka z porto. Wszystko wydawało się jak najbardziej normalne. Przez otwarte okna dochodziły urywki rozmów. Trwała ożywiona debata na temat krykieta.

Tommy'ego ponownie ogarnęło nieprzyjemne uczucie niepewności. Całe towarzystwo wyglądało miło i całkiem normalnie. Czyżby po raz wtóry został wprowadzony w błąd? Jasnobrody dżentelmen w okularach, który siedział u szczytu stołu, wyglądał na wyjątkowo zacnego i zrównoważonego człowieka.

Tej nocy Tommy źle spał. Następnego poranka niez mordowany Albert, który nawiązał przyjazne stosunki z chłopakiem ze sklepu spożywczego, przejął jego funkcje w zakresie rozwożenia zamówionych produktów i szybko wkradł się w łaski kucharki u doktora Adamsa. Powrócił z informacją, że kucharka jest z pewnością „jedną z bandy”. Jednakże Tommy nie miał wielkiego zaufania do wybujałej wyobraźni chłopca, który szczegółowo wypytywany nie potrafił dostarczyć żadnego argumentu na rzecz powyższego twierdzenia z wyjątkiem opinii, że owa osoba „jest zupełnie niepodobna do kucharki, co widać już na pierwszy rzut oka”.

Następnego dnia Albert ponownie wcielił się w rolę dostawcy zakupów (z dużą korzyścią finansową dla dostawcy prawdziwego) i tym razem powrócił z ciekawą informacją. Otóż w domu przebywała młoda Francuzka. Tommy porzucił wszelkie wątpliwości. Jego teoria zaczęła się sprawdzać. Czas jednak naglił. Był już dwudziesty siódmy. Dwudziestego dziewiątego wypadało Święto Pracy, w związku z którym krążyło tyle plotek o spodziewanych rozruchach. Prasa wyrażała wielkie niepokoje, zewsząd napływały wiadomości o możliwości laburzystowskiego zamachu stanu. Koła rządowe milczały. Rada ministrów o wszystkim wiedziała i była przygotowana. Pisano także o nieporozumieniach wśród przywódców laburzystowskich. Podobno nie byli jednomyślni co do sposobów działania. Bardziej przewidujący zdawali sobie sprawę, że realizacja proponowanych planów może stać się śmiertelnym ciosem dla Anglii. Nie chcieli doprowadzić do katastrofy głodu i wielu innych nieszczęść, jakie spowodziłby strajk generalny. Byli gotowi zawrzeć z rządem ugodę. Jednakże za ich plecami działały nieprzejednane siły, które wypominając wszystkie dawne krzywdy, wykpiwały wszelką „słabość” prowadzącą do kompromisów i wzmagaly stan napięcia.

Tommy, dzięki informacjom otrzymanym od pana Cartera, orientował się dość dokładnie w sytuacji. Gdyby dokument, którego obie strony poszukiwały, znalazł się w rękach pana Browna, opinia publiczna przesłaby nieodwołalnie na stronę ekstremistów z Partii Pracy. Bez tego dokumentu siły były mniej więcej równo podzielone. Rząd kontrolujący armię i policję mógł zwyciężyć, jednakże dużym kosztem społecznym. Tommy miał dalej idące i dość nierealne marzenie: osobiście zdemaskować i schwytać pana Browna, a wówczas — myślał słusznie czy niesłusznie — cała ta przestępcza organizacja natychmiast się rozpadnie. Trzymała się tylko dzięki wpływowi niewidzialnego przywódcy. Tommy sądził, że bez niego wkradnie się w szeregi spiskowców panika i że w ostatniej godzinie co uczciwsi wichrzyciele zreflektują się i pójda na kompromis.

„Tak, to jest dzieło jednego człowieka, jednej indywidualności — pomyślał. — Bez niego z pewnością wszystko pójdzie w rozsypkę”.

Jednym z powodów, dla których Tommy prosił pana Cartera o pozostawienie koperty zaklejonej do ostatniej chwili, był właśnie ów ambitny zamiar zneutralizowania wodza

spisku. A poszukiwana kopia traktatu stanowiła przynętę. Chwilami Tommy był przerażony własnymi planami. Jakże miał podstawy sądzić, że odkrył coś, co tylu mądrzejszych i sprytniejszych od niego ludzi przeoczyło? Była to z jego strony olbrzymia zarozumiałość. Tkwił jednak w swoim uporze.

Wieczorem wybrał się wraz z Albertem po raz wtóry do parku otaczającego Astley Priors. Zamiarem Tommy'ego było dostanie się w jakiś sposób do samego budynku. Gdy ostrożnie się podkradali, Tommy nagle wstrzymał oddech. W oknie pokoju na drugim piętrze zobaczył na opuszczonej roletce cień — wyraźnie rysującą się na tle lampy sylwetkę! Tommy rozpoznałby ją wszędzie! W tym domu znajdowała się Tuppence!

Mocno chwycił Alberta za ramię.

— Zostań tu! Kiedy zacznę śpiewać, spoglądaj uważnie na to okno! — polecił.

Szybko wycofał się na podjazd i ochryplym, jakby zapijaczonym głosem zaczął wyśpiewywać zwrotkę żołnierskiej piosenki:

*Żołnierzykiem jestem,  
Brytyjczykiem w koszulinie,  
A poznasz, żem żołnierz, po kulasach moich...*

W czasie kiedy był w szpitalu, a opiekowała się nim Tuppence, gramofon nieustannie ryczał tę melodię. Tommy nie miał wątpliwości, że dziewczyna ją rozpozna i wyciągnie właściwe wnioski. Nie był muzykalny, ale płuca miał silne i jego głos niósł się po całej okolicy.

Po chwili z frontowych drzwi budynku wyszedł nieskazitelnie odziany lokaj w towarzystwie innego, równie starannie odzianego sługi. Podeszli do Tommy'ego i zaczęli z nim pertraktować, by przestał śpiewać. Ale Tommy niewzruszenie wydierał się dalej, zwracając się w przerwach do lokaja jako do „kochanego wásacza”. Sługa niższej rangi ujął Tommy'ego pod jedno ramię, sam lokaj pod drugie, i wyprowadzili go za bramę. Lokaj zagroził wezwaniem policji, jeśli Tommy pojawi się ponownie. Wszystko odbyło się zgodnie z ceremoniałem. Można by przysiąc, że lokaj jest prawdziwym lokajem, a jego pomocnik prawdziwym sługą. Tylko że w tym wypadku lokajem był pan Whitting—ton!

Tommy wrócił do gospody i czekał tam na powrót Alberta. Ów godny współnik pojawił się niebawem.

— No i co? — spytał z niecierpliwością Tommy.

— Wszystko w porządeczku, *sir*. Kiedy oni pana wyganiali, okno się otworzyło i coś z niego wypadło. — Albert podał Tommy'emu skrawek papieru. — Owinięty był nim biurkowy przycisk — wyjaśnił.

Na kartce było nabazgrane:

„Jutro o tej samej porze”.

— Świetna robota! — pochwalił Tommy. — Jesteśmy na dobrej drodze!

Jednakże Albert jeszcze nie skończył:

— No to ja też napisałem wiadomość na kartce, owinałem nią kamień i wrzuciłem przez okno — pochwalił się.

Tommy aż jęknął.

— Twoja nadmierna gorliwość nas zgubi! — powiedział.

— A coś napisał?

— Napisałem, że jesteśmy w gospodzie. I napisałem, że jeśli jej się uda wydostać, to niech tam przyjdzie i zakumka jak żaba.

— Chyba odgadnie, że to ty — odparł Tommy z westchnieniem ulgi. — Masz zbyt wielką wyobraźnię, Albercie. Na pewno byś nawet nie poznał rechotu żaby. Czyś ty kiedy w Londynie słyszał żabę?

Chłopiec wydawał się zgnębiony.

— No, głowa do góry! — pocieszył go Tommy. — Nie stało się nic złego. Ten lokaj to mój dobry znajomy. Założę się, że mnie poznał, chociaż nawet nie mrugnął. Oni nie chcą wzbudzać podejrzeń. Dlatego nam tak łatwo dotychczas szło. Nie chcą mnie całkowicie zniechęcić ani też nadmiernie ułatwiać sytuacji. Jestem pionkiem w grze, Albercie. Oto czym jestem... Bo widzisz, mój drogi, jeśli pająk pozwoli musze zbyt łatwo podejść, to mucha będzie podejrzewać pułapkę. W ich mniemaniu pan Thomas Beresford to bardzo pożyteczny młodzieniec, który pojawia się akurat we właściwym momencie. I niech pan Beresford ma się teraz na baczności!

Tommy położył się spać w stanie silnego poruszenia. Opracował szczegółowy plan działania na następny wieczór. Był przekonany, że mieszkańcy Astley Priors są gotowi pozostawić mu pewien margines swobody działania. Dlatego przygotowywał dla nich dużą niespodziankę.

W południe jego spokój został zakłócony. Otrzymał wiadomość, że w barze ktoś na niego czeka. Był to ubłocony i niechlujnie wyglądający woźnica.

— Słucham, dobry człowieku? — zwrócił się do niego Tommy.

— Znalazłem to. Chyba dla pana ta kartka, *sir* — odparł zapytany, podając Tommy'emu usmolony list, a właściwie w czworo złożony świstek, na którym można było odczytać: *Proszę to oddać dżentelmenowi, który mieszka w gospodzie koło Astley Priors. Oddawca otrzyma za to dziesięć szylingów.*

Charakter pisma wskazywał na Tuppence. Dziewczyna sprytnie adresowała posłanie opisowo, zakładając, że Tommy może tu przebywać pod przybranym nazwiskiem. Chciał odebrać kartkę z rąk woźnicy, ale ten trzymał ją mocno.

— A moje dziesięć szylingów?

Szybko wyjął banknot z kieszeni i woźnica wypuścił list z ręki. Tommy rozłożył papier i przeczytał:

*Drogi Tommy!*

*Od razu wczoraj zgadłam, że to ty. Nie przychodź dziś wieczorem. Będę na ciebie czatować. Rano wyjeżdżam. Słyszałam, że podobno do Walii, do Holyhead. Postaram się wyrzucić tę kartkę na drogę, kiedy wyruszymy. Annette opowiedziała mi o twojej ucieczce. Głowa do góry!*

*Twoja  
Twopence*

Tommy głośno wezwał Alberta, jeszcze zanim skończył czytanie.

— Pakuj moje rzeczy! Ruszamy w drogę!

— Tak jest, *sir* — odparł głośno Albert, wbiegając na piętro.

„Do Holyhead? Czy to oznacza, że...?” — Tommy był zaintrygowany. Raz jeszcze przeczytał powoli list. Nad głową słyszał ciężkie stąpanie Alberta.

Chwilę się zastanawiał, po czym głośno wezwał chłopaka z powrotem:

— Albert, zaczekaj! Jestem durniem! Rozpakowuj! Zostajemy.

W głębokim zamyśleniu Tommy wyglądał kartkę. „Jestem być może wielkim durniem — pomyślał. — Ale ktoś inny też nim jest! I wreszcie wiem kto!”

## JULIUS WKRACZA DO AKCJI

W swoim apartamencie w hotelu Claridge rozparty na kanapie Kramenin dyktował sekretarzowi po rosyjsku.

Zadzwoił telefon, sekretarz podniósł słuchawkę, rozmawiał ze dwie minuty, po czym zwrócił się do swego chlebobdawcy:

— Jest ktoś w recepcji, kto chciałby się z panem zobaczyć.

— Kto taki?

— Nazywa się Julius P. Hersheimer.

— Hersheimer? — powtórzył Kramenin, marszcząc brwi. — Gdzieś to nazwisko przedtem słyszałem...

— Jego ojciec był w Ameryce jednym z królów stali — odparł sekretarz, którego obowiązkiem było wiedzieć wszystko. — Ten młody człowiek musi być chyba multimilionerem.

Kramenin chwilę się namyślał.

— Zejdź na dół, Iwan, i dowiedz się, czego on chce. Sekretarz wstał i wyszedł, zamykając za sobą bezszelestnie drzwi. Po paru minutach wrócił.

— Nie chce powiedzieć, po co właściwie się zjawił. Mówi, że to sprawa prywatna i że musi się spotkać z panem w cztery oczy.

— Multimilioner... — mruknął Kramenin. — Hmm... No cóż, przyprowadź go tutaj, Iwan!

Sekretarz ponownie wyszedł i dość szybko powrócił, eskortując Juliusa.

— *Monsieur* Kramenin? — spytał Julius ostro. Rosjanin, przyglądając się gościowi jadowitym wzrokiem, lekko skinął głową.

— Miło mi pana poznać! — oświadczył Amerykanin.

— Mam do omówienia z panem niesłychanie ważną sprawę. Ale tylko w cztery oczy. — Spojrzał znacząco na sekretarza.

— To mój sekretarz, *monsieur* Grieber, przed którym nie mam żadnych tajemnic.

— Być może. Ale ja mam — odparł sucho Julius. — W związku z tym będę panu bardzo zobowiązany, jeśli każe mu pan zniknąć.

— Drogi Iwanie — powiedział miękko Kramenin — może byłbyś łaskaw przejść do sąsiedniego pokoju...

— Sąsiedni pokój mi nie odpowiada — przerwał Julius.

— Znam te książęce apartamenty. I chcę, żeby tu nie było nikogo oprócz nas dwóch. Niech pan wyśle swego człowieka do sklepu po orzeszki ziemne.

Kramenin kwaśno przyjął dość specyficzny humor Amerykanina, z drugiej strony jednak zżerała go ciekawość, czego też może od niego chcieć ten milioner.

— Czy sprawa zajmie panu dużo czasu?

— Jeśli się dogadamy, to może i całą noc — odparł Julius.

— Hmm... No dobrze. Drogi Iwanie, już cię dziś nie będę potrzebował. Masz wolny wieczór. Możesz iść do teatru, jeśli chcesz...

— Dziękuję, ekscelencjo — powiedział sekretarz. Skłonił się i wyszedł.

Julius stał w otwartych drzwiach, patrząc za odchodzącym. Wreszcie odetchnął zadowolony, zamknął drzwi i powrócił na środek salonu.

— Może przystąpi pan wreszcie do rzeczy, panie Hersheimer?

— Z wielką chęcią. — Nagle zmienił ton: — Ręce do góry albo strzelam!

Przez długą chwilę Kramenin patrzył tępo w potężny pistolet, a potem z komicznym wprost pośpiechem podniósł obie ręce wysoko ponad głowę. I w tej właśnie sekundzie

Hersheimmer jednoznacznie ocenił swego przeciwnika: ten człowiek był zwykłym tchórzem. Teraz pójdzie wszystko łatwo!

— To gwałt! — wykrzyknął Kramenin histerycznym głosem. — Bandycka napaść! Pan chce mnie zabić?!

— Nie zabiję, pod warunkiem że pan ściszy głos. I przestanie sięgać do dzwonka. Nie ruszać się! No, teraz już lepiej!

— Czego pan ode mnie chce? Niech pan nie działa pochopnie. Proszę pamiętać, że moje życie ma wielką cenę dla mojego kraju! Wiem, że złe języki...

— Moim zdaniem, człowiek, który pana podziurawi, wyświadczy dobry uczynek całej ludzkości — odparł Julius. — Ale niech się pan uspokoi. Tym razem nie mam jeszcze zamiaru pana zabijać. O ile, oczywiście, zachowa się pan rozsądnie.

Rosjanin aż zadrżał, dostrzegając niemą groźbę w oczach Juliusa. Przesunął językiem po wyschłych wargach.

— Czego pan chce? Pieniędzy?

— Nie. Chcę Jane Finn!

— Jane Finn? Ja... nigdy o niej nie słyszałem.

— Łże pan! Zna ją pan doskonale.

— Mówię panu, że nigdy o takiej dziewczynie nie słyszałem!

— I ja panu mówię! Ostrożnie, bo mój Wiluś aż mi się wrywa do działania.

Rosjanin drgnął jak smagnięty batem.

— Nie odważyłby się pan tu strzelić...

— Odważyłbym, odważyłbym, drogi panie Kramenin! Kramenin musiał wyczuć coś w głosie Juliusa, co go przekonało, że groźba jest realna, gdyż powiedział z niechęcią:

— Zakładając, że wiem, o kim pan mówi... Co z tego?

— Powie mi pan, i to zaraz, gdzie ona jest. Kramenin potrząsnął przecząco głową.

— Nie mogę.

— Dlaczego?

— Nie mogę. Żąda pan rzeczy niemożliwej.

— Aaa! Boi się pan? Kogo? Pana Browna? A co, trafiłem? Więc pan Brown jednak istnieje. A ja wątpiłem. Tymczasem na sam dźwięk jego nazwiska już pan się trzęsie ze strachu!

— Widziałem go — odparł powoli Kramenin. — Rozmawialiśmy twarzą w twarz i ja nie wiedziałem, że to on. Dowiedziałem się o tym dopiero potem. Był jednym z wielu w gromadzie ludzi. Nawet bym go nie poznał, gdybym go po raz wtóry zobaczył. Kim on właściwie jest? Nie wiem, ale wiem jedno: jest człowiekiem, którego trzeba się bać.

— Proszę mówić! On się nigdy nie dowie.

— On wie wszystko. I karze natychmiast. Nawet ja, Kramenin, nie umknąłbym przed jego zemstą!

— Więc nie powie mi pan?

— Żąda pan rzeczy niemożliwej!

— No to wobec tego bardzo mi pana żal — powiedział wesoło Julius. — Pociesza mnie jednak myśl, że skorzysta na tym cały świat. — Podniósł lufę pistoletu.

— Stop! — wrzasnął ochryłym głosem Rosjanin. — Chyba nie chce pan mnie zabić?!

— Oczywiście, że chcę, i zrobię to. Zawsze słyszałem, że dla was, rewolucjonistów, życie jednostki nic nie znaczy, gdy chodzi o wielką sprawę. Dałem panu szansę ocalenia swojej brudnej skóry, ale widzę, że pan nie ma zamiaru z tego skorzystać.

— Oni mnie zabiją, jeśli powiem!

— Decyzja, co pan zrobi, należy do pana. Powiem tylko jedno: mój Wirus to absolutny pewniak. Na pana miejscu nie ryzykowałbym konfrontacji z nim. Łatwiej umknie pan Brownowi niż Wilusiowi, co do tego nie ma wątpliwości.

— A pana powieszają, jeśli mnie pan zabije! — Kramenin znalazł dość wątpliwą metodę obrony.

— O nie, szacowny cudzoziemcze! Bardzo się pan myli. Zapomina pan o magicznej sile dolarów. Natychmiast rzuci się do obrony gromadkę adwokatów, ci powołają kilka sław lekarskich jako biegłych i w efekcie sąd orzeknie, że mi się coś w główce poplątało. Spędzę kilka miesięcy w cichym sanatorium, mój stan psychiczny ulegnie poprawie, ci sami lekarze orzekną, że już jestem wyleczony, i wszystko skończy się jak najlepiej dla małego Juliusa. Myślę, że kilka miesięcy wycofania się z życia publicznego jest ceną wartą zapłacenia za samą przyjemność sprzątnięcia pana z tego świata. Tak, tak! Niech się pan nie łudzi, że mógłbym zawisnąć!

Rosjanin uwierzył. Sam był skorumpowany, więc cenił siłę pieniędzy. Czytał o procesach w Ameryce przebiegających mniej więcej właśnie tak, jak to przedstawił Julius. Kramenin sam zresztą kupował i sprzedawał sprawiedliwość. Krewki Amerykanin miał go w garści.

— Liczę do pięciu — oświadczył Julius — a kiedy już powiem cztery, to może pan przestać martwić się panem Brownem. Być może przyśle on nawet parę kwiatków na pański pogrzeb, ale nie poczuje już pan ich zapachu! Gotów? Więc zaczynam! Raz, dwa, trzy, cztery...

Rosjanin przerwał, krzyząc:

— Niech pan nie strzela, niech pan nie strzela! Wszystko powiem!

Julius opuścił lufę rewolweru.

— Tak sobie pomyślałem, że w końcu pan zmądrzeje. Gdzie ona jest?

— W Gatehouse, w hrabstwie Kent. Posiadłość nazywa się Astley Priors.

— Czy znajduje się tam wbrew swej woli?

— Nie wolno jej opuścić domu. Jest tam bezpieczna. Ta głupia idiotka straciła pamięć! Niech ją diabli...!

— Co bardzo złości pana i pańskich przyjaciół. Wiem. A druga dziewczyna? Ta zwabiona w zeszyły tygodniu?

— Też tam jest — odparł Kramenin posepnie.

— To świetnie! — powiedział Julius. — Wszystko nam się doskonale układa, prawda? I mamy wspaniały wieczór na wycieczkę!

— Na jaką wycieczkę?

— Do Gatehouse, oczywiście! Myślę, że lubi pan przejażdżki samochodowe?

— Ja mam jechać? Zdecydowanie odmawiam!

— Tylko spokojnie. Czy pan mnie uważa za idiotę i myśli, że mógłbym tu pana zostawić? Natychmiast zadzwoniłby pan do swoich przyjaciół. O nie, mój nieboraczku, jedzie pan ze mną. Czy za tamtymi drzwiami jest pańska sypialnia? No, to proszę. Uwaga! Wiluś idzie tuż za panem! Proszę włożyć płaszcz, ale ciepły. Doskonale. Widzę, że podbity futerkiem. Ho, ho! I kto to nosi takie rzeczy? Socjalista! A więc jesteśmy gotowi. Zejdziemy na dół i przejdziemy przez hol do mojego samochodu. I proszę nie zapominać, że kochany Wiluś tylko czatuje na okazję, aby zaszczekać przez moją kieszeń. Jedno słowo, jedno spojrzenie na któregoś z wygalowanych portierów, a nowa twarzyczka znajdzie się jeszcze dziś w kostnicy.

Razem zeszli na dół i wyszli przed hotel. Rosjanin dygotał z wściekłości. Na schodach kręciło się paru pikolaków i bagażowych. Kramenin już otwierał usta, ale w ostatniej sekundzie stracił odwagę. Amerykanin sprawiał wrażenie człowieka, który nie blefuje.

Kiedy wreszcie dobrnęli do samochodu, Julius odetchnął z ulgą. Minęli najniebezpieczniejszą strefę. Na szczęście strach skutecznie zahipnotyzował Kramenina.

— Wsiadaj, bracie! — rozkazał Julius. I dostrzegając rzucane z ukosa spojrzenia swego więźnia, dodał: — Kierowca nic panu nie pomoże. To marynarz. Służył w Rosji na łodzi podwodnej, kiedy wybuchła rewolucja. Pańscy rewolucjoniści zamordowali jego brata. George!

— Słucham, *sir*? — Szofer odwrócił się.

— Ten dżentelmen to rosyjski bolszewik. Nie chcemy go zabić, ale może to okazać się konieczne. Rozumiesz?

— Doskonale, *sir*.

— Pojedziemy do Gatehouse w hrabstwie Kent. Znasz drogę?

— Znam, *sir*. Około półtorej godziny jazdy.

— Skrót do godziny. Bardzo się śpieszę.

— Postaram się, *sir*!

Samochód włączył się w ruch uliczny.

Julius rozparł się wygodnie obok swojej ofiary, przez cały czas trzymając rękę w kieszeni. Nie przeszkadzało mu to zachowywać się bardzo towarzysko.

— Któregoś dnia wypadło mi zabić człowieka w Arizonie... — zaczął rozmowę.

Po godzinie biedny Kramenin był ledwie żywy. Po nieboszczyku w Arizonie przyszła kolej na bandziora z San Francisco, a następnie na krwawy epizod w Górach Skalistych. Opowieści Juliusa, nie zawsze zgodne z prawdą, były jednak bardzo obrazowe.

Kierowca zwolnił, obwieszczając przez ramię, że właśnie wjeżdżają do Gatehouse. Julius polecił Rosjaninowi wskazywać drogę. Planował podjechać pod sam dom, gdzie Kramenin miał wysiąść i zażądać wydania mu obu młodych kobiet. Julius wyjaśnił bardzo szczegółowo, co przez ten cały czas będzie robił Wiluś, który absolutnie nie toleruje nieposłuszeństwa i niepowodzeń. Kramenin był już tak zdruzgotany wszystkim, co go spotkało, że więcej się nie opierał. Ostatecznie dobiła go szybkość jazdy — na każdym zakręcie żegnał się z życiem.

Samochód skręcił w podjazd i po chwili zatrzymał się przed wejściem. Kierowca odwrócił głowę, czekając na polecenie.

— Najpierw zawróć, George, następnie zadzwoń i siadaj z powrotem za kierownicą. Silnika nie gaś. Trzymaj nogę na sprzęgle i bądź gotów wrywać stąd, ile sił, kiedy dam ci znak.

— Tak jest, *sir*.

Frontowe drzwi otworzył lokaj. Kramenin poczuł na żebrach lufę rewolweru.

— Jazda! — syknął Julius. — I bardzo uważnie, braciszku! Rosjanin skinął na lokaja. Wargi mu zbieleły, głos się załamywał.

— To ja... Kramenin. Sprowadź na dół dziewczynę! Natychmiast! Nie ma czasu do stracenia!

Whittington, patrząc ze zdziwieniem, zapytał:

— Pan?! Co się stało? Przecież plany...

Kramenin przerwał mu, wypowiadając słowa, które niepotrzebnie wywołały panikę:

— Jesteśmy zdradzeni! Plany trzeba porzucić. Musimy ocalić własną skórę. Dziewczyna! Natychmiast! To nasza jedyna szansa!

Whittington przez chwilę wahał się.

— Ma pan polecenie... od niego?

— Oczywiście! Skąd bym inaczej tu się wziął? Pośpieszcie się! Nie ma czasu do stracenia! I niech ta druga idiotka również tu zjeździe!

Whittington zawrócił i wbiegł do domu. Julius czekał w straszliwym napięciu. Po kilku minutach wyszły z domu dwie postacie okutane w peleryny. Zbiegły po schodach i wsiadły do samochodu. Drobniejsza z nich trochę się przy tym opierała, ale Whittington bezceremonialnie ją wepchnął do środka. Julius pochylił się do przodu i na twarz padło mu światło z otwartych drzwi. Stojący za Whittingtonem mężczyzna wydał okrzyk zdumienia. Maskarada się skończyła.

— Jedziemy, George! — rozkazał Julius.

Kierowca puścił sprzęgło i samochód szarpnął do przodu.

Mężczyzna na stopniach zaklął, błyskawicznie sięgnął do kieszeni i wyjął broń. Padł strzał. Kula bzyknęła bardzo blisko głowy wyższej z kobiet.

— Na podłogę, Jane! — krzyknął Julius. — Kładź się! — Pchnął ją i przydusił do ziemi. Sam się nieco uniósł, starannie wycelował i strzelił.

— Trafiłeś go? — spytała podniecona Tuppence.

— No oczywiście! — odparł Julius. — Ale nie zabiłem. Takie skunksy trzeba kropnąć parę razy, zanim zdechną! Wszystko w porządku, Tuppence?

— W jak najlepszym. A gdzie jest Tommy? A kim jest ten? — wskazała na trzęsącego się ze strachu Kramenina.

— Tommy jest najprawdopodobniej w drodze do Argentyny. Doszedł do wniosku, że gryziesz ziemię. Ostrożnie wyjeżdżaj z bramy, George! Świetnie! Minie pięć minut, zanim się zorganizują i ruszą za nami. Ale przedtem podzwonią tu i tam, więc uwaga podczas jazdy na pułapki. I w ogóle zapomnijmy o głównej drodze. Objazdami! Pytałaś, kto to jest, Tuppence. Pozwól, że ci przedstawię: *monsieur* Kramenin. Przekonałem go, żeby dla własnego zdrowia wybrał się z nami na przejażdżkę.

Rosjanin milczał, nadal umierając ze strachu.

— Ale powiedz mi, dlaczego oni nas wypuścili? — spytała Tuppence podejrzliwie.

— Pewno dlatego, że *monsieur* Kramenin poprosił ich tak ładnie, że nie mogli odmówić!

To już było zbyt wiele dla Rosjanina. Nagle wybuchnął:

— Niech pana piekło pochłonie! Oni już wiedzą, że ich zdradziłem. Moje życie jest niewarte funta kłaków. Nie przeżyję nawet godziny w tym kraju!

— Całkowicie się z panem zgadzam i dlatego radzę wracać natychmiast do Rosji.

— To niech mnie pan wypuści! Zrobiłem, czego pan żądał. Chyba nie jestem już panu potrzebny?

— Święta racja. Pańskie towarzystwo nie sprawia nam najmniejszej przyjemności. Może pan natychmiast nas opuścić. Myślałem, że woli pan wrócić do Londynu.

— Pan nigdy nie dojedzie do Londynu! — warknął Kramenin. — Niech mnie pan wypuści teraz, od razu!

— Z miłą chęcią. Zatrzymaj się, George! Może któregoś dnia odwiedzę pana w Rosji, *monsieur* Kramenin. Liczę na serdeczne powitanie i na...

Nim Julius skończył mówić, na co liczy, i nim samochód całkowicie się zatrzymał, Rosjanin wyskoczył na szosę i zginął w mroku nocy.

— Bardzo mu się spieszyło. Tak mu się spieszyło, że nie pożegnał się z damami — skomentował Julius. — Jane, możesz się już podnieść.

Leżąca dotychczas na podłodze samochodu dziewczyna przemówiła po raz pierwszy:

— Jak tyś go zmusił, żeby tu z tobą przyjechał? Julius poklepał swój rewolwer.

— To zasługa Wilusia!

— Jesteś wspaniała! — stwierdziła patrząc z podziwem na Juliusa. Jej policzki nabrały rumieńców.

— Nie wiedziałyśmy z Annette, co nas czeka — powiedziała Tuppence. — Ni stąd, ni zowąd stary Whittington kazał nam wychodzić. Już myślałyśmy, że to koniec. Bardzo się bałam.

— Annette? — zdziwił się Julius. — Tak ją nazywasz? Przez chwilę wydawał się jakby zagubiony.

— To jest przecież jej imię, no nie? — Tuppence szeroko otworzyła oczy.

— Może jej się zdaje, że to jej imię — odparł Julius. — Ale tylko dlatego, że biedaczka straciła pamięć. W rzeczywistości jedzie tu z nami w samochodzie sama Jane Finn!

— Co takiego?! — wykrzyknęła Tuppence. Odpowiedzi już nie otrzymała, gdyż niespodziewanie rozległ się strzał i kula utkwiała w tapicerce tuż obok jej głowy...



— Kładźcie się! — ryknął Julius. — Zasadzka! Ale oni szybko się zorganizowali. George, gaz do dechy!

Nagle przyspieszenie rzuciło ich do tyłu. Padły jeszcze trzy strzały, ale żaden nie trafił. Julius spojrzął do tyłu.

— Nic nie widać. Nie mam do kogo strzelać. Ale to chyba nie koniec. Aaa! — Podniósł dłoń do policzka.

— Jesteś ranny? — spytała Annette.

— Tylko draśnięcie. Annette zerwała się z podłogi.

— Wypuście mnie! Zatrzymajcie się i wypuście! — wykrzykiwała. — Oni polują na mnie. Oni mnie szukają. Nie chcę, żebyście przeze mnie stracili życie! Wypuście mnie! — Zaczęła majstrować przy klamce drzwi.

Julius pochwyił dziewczynę i mocno trzymał. Przyglądał się jej uważnie — przed chwilą mówiła po angielsku bez śladu francuskiego akcentu.

— Siadaj! Spokojnie, dziecino! Widzę, że nie masz żadnych problemów z pamięcią? Oszukiwałaś ich przez cały czas, co?

Annette spojrzała na Juliusa, skinęła głową i nagle zalała się łzami. Julius poklepał ją po ramieniu.

— Spokojnie, spokojnie, mała! Nie damy ci zrobić krzywdy. Łkając, spytała niewyraźnie:

— Pan jest z Ameryki? Poznają po akcencie. Jakże bym chciała tam wrócić!

— Wróćisz. Jestem Amerykaninem. I jestem twoim kuzynem. Nazywam się Julius Hersheimer. Specjalnie przyjechałem do Europy, żeby cię odszukać. I miałem z tym nie lada problem!

George zwolnił.

— Zbliżamy się do skrzyżowania, *sir*. Gdzie mam jechać? Jechali wolniutko. Nagle od tyłu ktoś wskoczył do otwartego samochodu i wylądował wśród pasażerów.

— Bardzo przepraszam! — powiedział Tommy, gramoląc się. Powitały go zdumione okrzyki.

— Byłem w krzakach na podjeździe. Potem uczepiłem się z tyłu, kiedy ruszaliście. Przy szybkości, z jaką jechaliście, nie mogłem wam nawet dać znać o sobie. Ledwo się trzymałem. Dziewczęta, zaraz wysiadamy!

— Wysiadamy? — spytała Tuppence.

— Tak. Tu jest zaraz stacja. Za trzy minuty nadjedzie pociąg. Jeśli się pośpieszycie, to zdążycie go złapać.

— Coś ty, do diabła, wymyślił! Co to ma znaczyć? — zapytał ostro Julius. — Czy tobie się zdaje, że oszukamy tamtych, jeśli porzucimy samochód?

— Ani ty, ani ja nie wysiadamy — odparł Tommy. — Tylko panie.

— Zwariowałaś, Beresford! Zupełnie oszalałaś. Ich nie można puścić samych! Jeśli to zrobisz, to je złapią!

— Wysiadaj, Tuppence. Zabierz ją ze sobą i zrób dokładnie, co ci mówię. Nikt was nie skrzywdzi. Jesteście bezpieczne. Jedźcie do Londynu. Idźcie prosto do sir Jamesa Edgertona. Będziecie z nim naprawdę bezpieczne!

— Niech cię diabli! — wykrzyknął Julius. — Jane! Zostajesz tu! Zwariowałaś, Beresford!

Tommy jednym nagłym ruchem wyrwał rewolwer Juliusowi i wymierzył w niego.

— Może mi teraz uwierzysz, że mówię zupełnie poważnie? Wysiadajcie obie i róbcie, co wam kazałem. Uważaj, Julius, bo strzelam!

Wóz stanął i Tuppence wysiadła, ciągnąc za sobą niezbyt chętną Jane.

— Jedźmy do Londynu, Jane! Skoro Tommy jest pewien, to znaczy, że wszystko w porządku! Szybko, bo nie zdążymy na pociąg.

Pobiegły.

Julius wybuchnął.

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz! Tommy mu przerwał:
- Zamknij się! Chcę z panem zamienić parę słów, panie Hersheimer.

## OPOWIEŚĆ JANE

Ciągnąc Jane, Tuppence wbiegła na stację. Słyszała nadjeżdżający pociąg.

— Szybko, bo nie zdążymy!

Wpadły na peron w chwili, gdy pociąg się zatrzymywał. Tuppence otworzyła drzwi do przedziału pierwszej klasy i zajęły miejsca. Obie ciężko dyszały.

Jakiś mężczyzna zajrzał do przedziału, ale poszedł dalej. Jane patrzyła na niego rozszerzonymi ze strachu oczami.

— Myślisz, że to może być jeden z nich? — szepnęła do Tuppence.

— Nie, na pewno nie. Nic się nie bój. — Tuppence ujęła dłoń Jane. — Tommy nie poleciłby nam jechać pociągiem, gdyby sądził, że łączy się z tym ryzyko.

— Ale on ich nie zna tak jak ja! — Dziewczyna zadygotała. — Nie potrafisz tego zrozumieć. Pięć lat! Pięć długich lat! Czasami już myślałam, że oszaleję.

— Przestań się dręczyć. To już się skończyło.

— Wierzysz w to?

Pociąg pędził wśród ciemnej nocy. Nagle Jane Finn znowu zadygotała.

— Co to było? Chyba wdziałam twarz za oknem!

— Nie ma tam nikogo. Patrz! — Tuppence podeszła do okna, odpięła pas i opuściła szybę w drewnianej ramie.

— Jesteś pewna, że nie ma nikogo?

— Jestem pewna!

Jane zaczęła się usprawiedliwiać:

— Wiem, że zachowuję się jak śmiertelnie przestraszony zając. Gdyby oni mnie teraz złapali, toby mi... — Otworzyła szeroko nieprzytomnie patrzące oczy.

— Przestań! — powiedziała surowo Tuppence. — Usiądź wygodnie, oprzyj się, o niczym nie myśl! Możesz być pewna, że Tommy nie powiedziałby, że będziemy bezpieczne, gdyby istniało jakieś ryzyko.

— Ale mój kuzyn był innego zdania. Nie chciał, żebyśmy jechały.

— To prawda... — przyznała Tuppence, nagle nieco zakłopotana.

— O czym pomyślałaś? — spytała ostro Jane.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi...

— „To prawda” powiedziałaś takim dziwnym głosem.

— Rzeczywiście o czymś sobie pomyślałam — przyznała Tuppence. — Ale wolę ci tego nie mówić. Nie teraz. Może nie mam racji. Sama nie wiem. Nie, chyba mam. Kiedyś, już dość dawno temu, przyszła mi pewna myśl do głowy. Jestem pewna, że Tommy też na to wpadł... Ale nic się nie martw, będziemy mieli dość czasu później. Zrób to, co ci radzę: oprzyj głowę, nie myśl o niczym!

— Postaram się — odparła Jane. Długie rzęsy opadły na piwne oczy.

Tuppence siedziała sztywno wyprostowana — niby czujny terier na straży. Wbrew samej sobie była niespokojna. Wzrok jej biegał od jednego okna do drugiego. Patrzyła na sznur od rączki alarmu. Sama nie potrafiłaby powiedzieć, czego się obawiała, ale była bardzo daleka od tej pewności siebie, jaką wyrażała słowami w rozmowę z Jane. I to nie dlatego, by nie wierzyła Tommy'emu, ale po prostu trudno jej było założyć, iż ktoś tak uczciwy i prostolinijny jak Tommy może ze stuprocentową gwarancją powodzenia stawić czoło chytrej przebiegłości arcyzbrodniarza, jakim jest pan Brown.

Wszystko pójdzie jak z płatka, kiedy już znajdą się w mieszkaniu sir Jamesa Edgertona. Byle tylko dotarli tam bezpiecznie! Ale czy to się uda? Czy nie zostały już zmobilizowane tajemne siły przeciwnika? Nie pocieszał jej nawet zachowany w pamięci widok Tommy'ego z rewolwerem w ręku — Tommy'ego, który był taki pewny siebie! Może już został

obezwładniony przez przeważające siły wroga...? W myślach Tuppence przygotowywała kolejny krok.

Pociąg wreszcie wjechał na stację Charing Cross, zwolnił i stanął.

Jane obudziła się z drzemki.

— Dojechaliśmy? Myślałam, że nigdy się nam to nie uda. — A ja byłam pewna, że dojedziemy do Londynu bez przeszkód — odparła Tuppence. — Jeśli ktoś zamierza pofiglować, to właśnie teraz. Wychodzimy szybko i do taksówki!

Po chwili minęły barierkę, przy której opłaciły przejazd, i wsiadły do taksówki.

— Na dworzec King's Cross — poleciała Tuppence kierowcy i nagle aż podskoczyła: w chwili gdy ruszali, do taksówki zajrzał jakiś mężczyzna. Była prawie pewna, że jest to ten sam człowiek, który przed odjazdem pociągu zajrzał do ich przedziału. Czyżby pułapka? — Bo widzisz — odwróciła się do Jane — nie chcę, by wiadano, że jedziemy do sir Jamesa. Ktoś mógł podsłuchiwać, a jeśli usłyszał, że jedziemy na King's Cross, to sobie może pomyśli, że mamy zamiar udać się do pana Cartera, który mieszka na północ od Londynu i jedzie się do niego właśnie z tego dworca.

Taksówka stanęła w ulicznym korku na Holborn. Tuppence tylko na to czekała.

— Otwórz prawe drzwi! — syknęła do Jane. — Szybko! Obie wysiadły w gęstwinę unieruchomionych chwilowo pojazdów. Parę minut później siedziały już w taksówce jadącej w przeciwnym kierunku. Tym razem Tuppence podała adres Carlton House Terrace.

— No, chyba wyprowadziłyśmy ich w pole — powiedziała z satysfakcją w głosie. — Uważam, że jestem dość sprytna. Ten poprzedni taksówkarz pewnie strasznie klnie, ale zapisałam numer taksówki i w wolnej chwili wyślę mu należność. O ile to był prawdziwy taksówkarz, a nie podstawiony członek bandy, to mi na pewno wybaczy. Ojej! Co się dzieje?

Rozległ się chrobot, potem nastąpiło uderzenie. Wpadła na nich inna taksówka!

Tuppence wysiadła w mgnieniu oka. Zbliżał się policjant. Nim podszedł, wręczyła kierowcy pięć szylingów i ciągnąc za sobą Jane, zmieszała się z tłumem przechodniów.

— Stąd to zaledwie parę kroków — powiedziała zdyszana. Wypadek zdarzył się bowiem na Trafalgar Square.

— Czy to zderzenie to rzeczywiście wypadek, czy oni to zaaranżowali? — spytała Jane.

— Sama nie wiem. Mogło być jedno albo drugie. Pobiegły, trzymając się za ręce.

— Może mi się tylko wydaje — powiedziała w pewnej chwili Tuppence — ale mam uczucie, jakby ktoś biegł za nami.

— Szybciej, szybciej, o Boże! — szeptała Jane. Znajdowały się już na rogu Carlton House Terrace i wstąpił w nie nowy duch. Nagle zastąpił im drogę potężny mężczyzna pod dobrą datą.

— Dobry wieczór, panienki! — wykrzyknął, głośno czkając. — A dokąd tak wam spieszno?

— Proszę zejść z drogi! — rozkazała Tuppence władczo.

— Słówko tylko zamienię z pani przyjaciółeczką... — Wyciągnął jakby niepewną rękę i pochwycił Jane za ramię. Tuppence usłyszała za sobą kroki. Nie próbowała nawet odwrócić głowy, żeby sprawdzić, czy to zbliża się wspólnik, czy też ktoś podąża im na pomoc. Pochylając głowę wykonała manewr z lat dziecięcych: dała po prostu byka w brzuch napastników. Sukces tego mało sportowego wyczynu był natychmiastowy. Mężczyzna ciężko padł na chodnik. Tuppence i Jane umknęły. Do celu ich ucieczki nie było już daleko. Znów postyszały za sobą szybkie kroki. Brakowało im tchu, gdy wreszcie dopadły drzwi rezydencji sir Jamesa. Tuppence nacisnęła dzwonek, a Jane waliła z całych sił mosiężną kołatką.

Rzekomo pijany mężczyzna, który je poprzednio zaczepił, dobiegł do schodków. Chwilę się wahał. I właśnie wtedy otworzyły się drzwi. Obie dziewczyny wpadły w nie jednocześnie. Z biblioteki wyszedł sir James.

— Ooo! Co się stało?

Szybkim krokiem zbliżył się do Jane, pod którą ugięły się nogi. Objął ją ramieniem i prawie zaniósł do biblioteki, po czym położył na obitej skórą kanapce. Z oszklonej szafki na alkohole wyjął karafkę i nalał do kieliszka troszkę brandy. Przyłożył kieliszek do ust Jane i skłonił ją do wypicia. Dziewczyna po chwali podniosła się, usiadła, ale oczy miała nadal rozbiegane i przerażone.

— Już wszystko w porządku. Nie bój się, moje dziecko. Jesteś tu bezpieczna!

Jane powoli odzyskiwała równy oddech, kolory wróciły jej na twarz.

Sir James spojrzął na Tuppence i zauważył żartobliwie:

— Najwyraźniej wiadomości o zejściu pani z tego świata były równie przesadzone, jak informacja o podobnym losie pani chłopaka, Tommy'ego.

— Młodzi Łowcy Przygód są bardzo przywiązani do życia. Niełatwo ich zabić — odparła.

— Widzę, widzę! — odparł chłodno. — Czy mam rozumieć, że wspólne przedsięwzięcie zakończyło się sukcesem i że ta osoba — wskazał na Jane — jest w rzeczywistości Jane Finn?

Jane się wyprostowała.

— Tak — odparła cicho. — Jestem Jane Finn. I mam wiele do opowiedzenia...

— Najpierw pani odpocznie...

— Nie! Teraz! — Podniosła nieco głos. — Będę się czuła znacznie bezpieczniej, kiedy wszystko wyjawię.

— Jak pani sobie życzy — odparł sir James i usiadł w jednym z wielkich foteli stojących naprzeciwko kanapy.

Stłumionym głosem Jane rozpoczęła długą opowieść:

— Płynęłam „Lusitanią”, żeby podjąć pracę w Paryżu. Byłam bardzo przejęta wojną i chciałam w jakiś sposób pomóc. W Ameryce uczyłam się francuskiego i moja nauczycielka powiedziała mi, że pewien paryski szpital poszukuje personelu. Napisałam list i zaproponowałam moje usługi. Otrzymałam pozytywną odpowiedź. Nie miałam żadnej rodziny, więc nic mnie nie zatrzymywało w Ameryce.

Po storpedowaniu „Lusitanii” podszedł do mnie mężczyzna. Już przedtem go parokrotnie widziałam. Odniosłam wtedy wrażenie, że on się kogoś czy czegoś obawia. Spytał mnie, czy jestem patriotką. Powiedział mi, że wiezie niezwykle ważne dokumenty. Poprosił, żebym te papiery wzięła. Następnie miałam szukać pewnego ogłoszenia w „Timesie”. Jeślibym go nie znalazła, należało zanieść pakiet do ambasady amerykańskiej i oddać ambasadorowi.

To, co potem nastąpiło, to był koszmar. Jeszcze teraz te obrazy powracają mi często przed oczy... Opowiem to w skrócie. Pan Danvers ostrzegł mnie, żebym się pilnowała.

Powiedział, że być może jest śledzony od samego Nowego Jorku. Chociaż sądził, że raczej nie. Z początku nie miałam żadnych podejrzeń. Ale na statku do Holyhead moje podejrzania wzbudziła kobieta, która bardzo chciała się mną opiekować. Bardzo starała się zbliżyć i zaprzyjaźnić. Pani Vandemeyer. Z początku byłam jej wdzięczna za wszystkie uprzejmości, ale jednocześnie coś mnie od niej odpychało. Nie podobała mi się. I wiedziałam, że na tym irlandzkim statku, którym płynęliśmy, często rozmawia z jakimiś bardzo dziwnymi typami. Tak na mnie spoglądali, że czułam, iż mówią o mnie. Przypomniałam sobie, że na „Lusitanii”, kiedy pan Danvers oddawał mi papiery, ta kobieta stała tuż obok. A jeszcze przedtem widziałam, że starała się zagadać do pana Danversa. Zaczęłam się bać, ale nie wiedziałam, co mogłabym zrobić w tej sytuacji.

Wpadł mi do głowy pomysł, żeby zostać w Holyhead i nie jechać tego dnia do Londynu, ale szybko doszłam do wniosku, że byłoby to niemądre. Postanowiłam udawać, że nic nie podejrzewam. Miałam nadzieję, że jakoś mi się uda. Pomyślałam sobie, że nic mi się nie stanie, jeśli będę czujna. Na wszelki wypadek zrobiłam jedną rzecz: rozerwałam pakiet, wyjęłam z niego dokumenty, w ceratkę włożyłam puste kartki i ponownie wszystko zaszyłam. Mogli mnie teraz okradać z pakietu.

Martwiłam się, co zrobić z dokumentami. Rozłożyłam je. To były tylko dwie kartki. I te dwie kartki włożyłam między strony ogłoszeniowe tygodnika. Brzegi stron zlepiłam lekko klejem, który ściągnęłam po zwilżeniu z paru kopert. A tygodnik włożyłam niedbale do kieszeni płaszcza.

W Holyhead usiłowałam wejść do wagonu, w którym znajdowali się ludzie budzący moje zaufanie. Jednakże w przedziwny sposób zawsze otaczał mnie tłumek popychający w kierunku, w którym nie chciałam iść. Było w tym coś zupełnie niesamowitego. I groźnego zarazem.

No i wreszcie znalazłam się w tym samym przedziale, co pani Vandemeyer. Wyszłam na korytarz wagonu, ale wszystkie pozostałe przedziały były przepełnione, więc musiałam wrócić na to jedyne wolne miejsce. Pocięczałam się myślą, że jest tu kilka innych osób. Tuż naprzeciwko mnie siedział bardzo miły pan z żoną. Czulałam się bezpiecznie prawie do samego Londynu. Oparłam głowę o poduszkę i przymknęłam oczy. Wyglądało to, jakbym spała. Ale nie spałam i wszystko widziałam. Nagle zobaczyłam, że ten miły pan wyjmując coś ze swojej torby i podaje pani Vandemeyer mrugając porozumiewawczo...

Kiedy zobaczyłam to mrugnięcie, zamarłam. Moim jedynym pragnieniem było wyjść z przedziału na korytarz. Wstałam, usiłując zachowywać się jak najbardziej naturalnie. Oni jednak coś zauważyli, gdyż pani Vandemeyer powiedziała „teraz!” i coś mi rzuciła na twarz, a jednocześnie poczułam straszne uderzenie w tył głowy...

Jane wzdrygnęła się. Sir James wymamrotał jakieś słowa współczucia. Po dłuższej chwili dziewczyna podjęła swoją opowieść:

— Pojęcia nie mam, jak długo byłam nieprzytomna. Kiedy przyszedłam do siebie, czulałam mdłości i byłam cała obolała. Leżałam na jakimś brudnym łóżku, zasłonięta parawanem. W pokoju rozmawiały dwie osoby. Jedną z nich była pani Vandemeyer. Próbowałam słuchać. Początkowo mało rozumiałam, ale po pewnym czasie chwyciłam sens rozmowy i byłam absolutnie przerażona! O mało nie zaczęłam głośno krzyczeć.

Nie znaleźli dokumentów. Rozpruli ceratę i zobaczyli czysty papier. Byli wściekli. Nie mieli pewności, czy to ja je ukryłam, czy też Danvers wiozł atrapę, podczas gdy dokumenty prawdziwe miał przy sobie zupełnie ktoś inny. I rozmawiali, że trzeba mnie będzie... — zamknęła oczy — przycisnąć, żeby dowiedzieć się prawdy!

Po raz pierwszy w życiu poznałam, co to znaczy prawdziwy strach. Strach zupełnie obezwładniający. Kiedy przyszli sprawdzić, czy się obudziłam, miałam zamknięte oczy i udawałam, że nie odzyskałam przytomności. Bałam się jednak, że usłyszą przyspieszone bicie mojego serca. Ale odeszli. Zaczęłam się zastanawiać, co mogłabym zrobić. Wiedziłam jedno: że długo nie oprę się torturom.

I wtedy nie wiadomo skąd i jak przyszedł mi do głowy pomysł! Utrata pamięci! Zawsze mnie to interesowało i bardzo dużo o tym czytałam. Byłam doskonale zorientowana w objawach. Pomyślałam, że jeśli dobrze zagram komedię, to uda mi się ocalić. Odmówiłam modlitwę i wzięłam głęboki oddech. Potem otworzyłam oczy i zaczęłam głośno mamrotać... po francusku!

Natychmiast pojawiła się pani Vandemeyer. Miała twarz tak wykrzywioną złością, że niemal umierałam ze strachu. Jednakże zdobyłam się na niepewny uśmiech i spytałam po francusku, gdzie jestem.

Widziałam, jak ją to zaskoczyło. Zawołała mężczyznę, z którym rozmawiała. Stał z boku parawanu, ale twarz miał w cieniu. Odezwał się do mnie po francusku. Miał bardzo zwyczajny głos i mówił spokojnie, ale mimo to, zupełnie nie wiem dlaczego, bardzo się go przestraszyłam. Niemniej jednak dalej grałam swoją rolę. Ponownie spytałam, gdzie jestem, i powiedziałam, że koniecznie muszę sobie coś przypomnieć, koniecznie muszę... ale teraz nie mogę, wszystko uciekło. I zaczęłam okazywać coraz większy niepokój, że nic nie pamiętam. Spytał mnie, jak się nazywam. Odparłam, że nie wiem, że nic sobie nie mogę przypomnieć.

Ten człowiek chwycił nagle moje ręce. Chwycił w przegubach i zaczął wykręcać. Ból był straszny. Zaczęłam krzyczeć. Ale on dalej wykręcał. Wiem, że się okropnie wydzieralam, ale udało mi się przez cały czas myśleć po francusku. I dzięki temu wypowiadałam słowa jedynie po francusku. Nie wiem, jak długo bym to wszystko wytrzymała, ale na szczęście zemdlalam. Jeszcze usłyszałam jego ostatnie słowa: „Ona nie udaje. Poza tym taka młoda nie wiedziałaby, jak udawać”. Widocznie zapomniał albo nie wiedział, że Amerykanki dojrzewają wcześniej niż Angielki i że bardziej się interesują różnymi nowinkami.

Kiedy odzyskałam przytomność, pani Vandemeyer była dla mnie słodziutka jak miód. Takie pewno otrzymała polecenie. Mówiła do mnie po francusku i tłumaczyła, że doznałam urazu i byłam bardzo chora. Zapewniała, że wkrótce wyzdrowieję. Udawałam oszołomioną i jakby otumanioną. Skarżyłam się, że „doktor” za mocno chwycił mnie za ręce i że jeszcze mnie boli. Ona wyraźnie odetchnęła z ulgą, kiedy to powiedziałam.

Potem pani Vandemeyer wyszła z pokoju. Podejrzewałam, że to może być pułapka, więc jeszcze długo leżałam zupełnie bez ruchu. Wreszcie jednak zdecydowałam się wstać. Obeszłam cały pokój. Pomyślałam sobie, że jeśli nawet ktoś mnie obserwuje z ukrycia, to nic nie szkodzi. To, co robię, jest bardzo naturalne. Pokój był ponury, brudny. Drzwi były na pewno zamknięte na klucz. Celowo ich nie dotykałam. Na ścianach wisiały zniszczone obrazy przedstawiające sceny z „Fausta”.

Sir James i Tuppence jednocześnie wykrzyknęli „Aaa!”. Jane skinęła głową.

— Tak. To był ten sam dom w Soho, gdzie więziono pana Beresforda. Oczywiście ja wówczas nie wiedziałam, że jestem w Londynie. Gdy tak chodziłam po pokoju, serce aż skoczyło mi z radości, kiedy zobaczyłam mój płaszcz niedbale przerzucony przez oparcie krzesła. I z kieszeni wystawał zwinięty w rolkę tygodnik!

Gdybym tylko mogła być pewna, że nikt mnie nie podgląda! Rozejrzałam się po ścianach. Nie zauważyłam żadnej szpary, żadnej dziurki, ale czułam, że coś takiego na pewno jest. Usiadłam nagle na skraju stołu, schowałam twarz w dłoniach i zaczęłam cicho łkać, powtarzając „*Mon Dieu! Mon Dieu!*”. Mam bardzo dobry słuch. Wyraźnie usłyszałam szelest sukni i ciche skrzypnięcie. To mi wystarczyło. Ktoś mnie obserwował zza ściany!

Z powrotem położyłam się na łóżko. Po pewnym czasie pani Vandemeyer przyniosła mi kolację. Nadal była niezwykle słodka. Najwidoczniej nakazano jej zdobyć moje zaufanie. Nagle pokazała mi pakiet w ceratce i spytała, czy ja to poznaję. Przyglądała mi się bacznie.

Wzięłam pakiet do ręki i zaczęłam go obracać, marszcząc brwi. Zaprzeczyłam. Powiedziałam jej, że czuję, iż coś powinnam o tym pakiecie wiedzieć, że jakby coś we mgle migotało, ale nim to coś mogłam skonkretyzować, zniknęło. Potem mi powiedziała, że jestem jej siostrzenicą i że mam ją nazywać „ciotką Ritą”. Posłusznie się do niej tak zwróciłam, a ona powiedziała, żebym się nie martwiła, gdyż wkrótce odzyskam pamięć.

Przeżyłam straszną noc. Czekając na pojawienie się pani Vandemeyer, przygotowałam plan. Chwilowo dokumenty były bezpieczne, ale nie mogłam ryzykować pozostawienia ich dłużej między kartkami tygodnika. Oni mogli w każdej chwili pismo wyrzucić. Czuwałam chyba do drugiej nad ranem. Wtedy wystąpiłam i cichutko wymacałam drogę wzdłuż ściany po lewej ręce. Zdjęłam z haka jeden z obrazów. Małgorzatę trzymającą szkatułkę z klejnotami. Na palcach podeszłam do płaszcza i z kieszeni wyjęłam pismo oraz parę kopert, które też tam się znajdowały. Następnie zwilżyłam w umywalce papierową taśmę oklejającą obraz od tyłu. Udało mi się taśmę odkleić, a wraz z nią odszedł karton pod obrazem. Poprzednio wyrwałam już z tygodnika dwie sklezione strony z dokumentami. Teraz włożyłam je pod karton, a taśmę posmarowałam trochę klejem ściągniętym ze skrzydełek kopert. Uznałam, że gdy wszystko wyschnie, nikt nie pozna, że ktoś tu coś majstrował. Powiesiłam obraz na ścianie, tygodnik schowałam z powrotem do kieszeni płaszcza i położyłam się do łóżka. Byłam bardzo zadowolona z tego, co zrobiłam. Przecież nie przyjdzie im do głowy rozrywać własne obrazy.

Miałam nadzieję, że dojdą do wniosku, iż Danvers wiozł tylko przynętę i że puszcza mnie wolno.

I rzeczywiście tak na początku myśleli, co, jak się potem dowiedziałam, mogło się dla mnie źle skończyć. Otóż postanowili pozbyć się mnie. Nie mieli najmniejszego zamiaru puszczać mnie wolno. I zrobiliby to, gdyby ten pierwszy mężczyzna, który był ich szefem, nie powiedział, że być może zdążyłam gdzieś schować dokumenty i że kiedy odzyskam pamięć, to im powiem gdzie. Przez wiele tygodni bardzo mnie pilnowali. Raz po raz całymi godzinami przesłuchiwali. Dręczyli pytaniami jak zawodowi oprawcy. Ale jakoś wszystko przetrwałam. Chociaż żyłam w strasznym napięciu...

Zawieźli mnie z powrotem do Irlandii. Przebyliśmy razem całą trasę od chwili wyjścia rozbitków z „Lusitani” na ląd. Sądziło się, że mogłam dokumenty ukryć gdzieś po drodze. Pani Vandemeyer i jeszcze jedna kobieta przez cały czas mi towarzyszyły. Ani na chwilę nie pozostawiały samej! Mówiły o mnie jako o młodej siostrzenicy pani Rity, cierpiącej na amnezję w wyniku szoku doznanego na „Lusitani”. Nie miałam żadnej szansy zwrócenia się do kogokolwiek o pomoc bez zdemaskowania się. Bałam się ryzykować. Pani Vandemeyer, zawsze bogato i wspaniale ubrana, wyglądała niesłychanie godnie. Byłam pewna, że w razie czego uwierzono by jej słowom, że cierpię, przypuśćmy, na manię prześladowczą czy coś podobnego. Bałam się konsekwencji, gdyby prawda o moim podstępie wyszła na jaw.

Sir James ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Pani Vandemeyer miała niezwykłą osobowość. To, plus jej pozycja, oczywiście by zadecydowało — powiedział.

— Bez trudu narzuciłaby wszystkim swoją wersję. Pani sensacyjnych oskarżeń nikt nie potraktowałby poważnie. Nikt by w nie nie uwierzył.

— To samo sobie pomyślałam — powiedziała Jane Finn.

— Wreszcie odesłano mnie do sanatorium w Bournemouth. Nie mogłam się zorientować, czy to jest rzeczywiście prawdziwe sanatorium. Miałam przydzieloną pielęgniarkę. Byłam podobno na specjalnych prawach. Ta pielęgniarka okazała się tak miła i wydawała się taka autentyczna, że postanowiłam jej zaufać i wszystko opowiedzieć. Dosłownie w ostatniej chwili zrządzenie losu ocaliło mnie przed wpadnięciem w pułapkę. Zostawiła uchylone drzwi i usłyszałam jej rozmowę na korytarzu. Była jedną z nich! W dalszym ciągu podejrzewali, że udaję. A ją przysłali właśnie po to, aby sprawdziła, czy tak nie jest! Od tej chwili zupełnie się załamalam i nikomu już nie ufałam.

Gdy teraz o tym wszystkim myślę, dochodzę do wniosku, że chyba sama się zahipnotyzowałam. Po pewnym czasie niemal zapomniałam, że jestem jakąś tam Jane Finn. Tak usilnie grałam rolę Janet Vandemeyer, że nerwy odmówiły mi posłuszeństwa. Przez całe miesiące trwałam w absolutnym otępieniu. Byłam pewna, że wkrótce umrę i wszystko przestało być ważne. Mówią, że osoba zdrowa, zamknięta w szpitalu psychiatrycznym, wkrótce upodabnia się do jego pacjentów. Tak chyba było ze mną. Odgrywana rola weszła mi w krew. W rezultacie nie byłam już nawet nieszczęśliwa. Po prostu ogarnęła mnie apatia. I tak upływały lata...

Nagle sytuacja zaczęła się zmieniać. Któregoś dnia przyjechała z Londynu pani Vandemeyer. Wspólnie z doktorem zaczęli zadawać mi pytania. Rozpoczęły się też eksperymenty z nową terapią. Zaczęto mówić o wysłaniu mnie do specjalisty w Paryżu. Ostatecznie jednak zrezygnowano, nie chcąc najwidoczniej ryzykować. Raz usłyszałam strzęp rozmowy, z której wynikało, że jacyś ludzie — ponoć przyjaciele — zaczęli mnie poszukiwać. Dowiedziałam się też, że pielęgniarka, która się mną opiekowała, pojechała do Paryża, aby zasięgnąć opinii specjalisty. Podała się tam za mnie. Specjalista przeprowadził badania i dokonał kilku testów. Ujawnił, że ona udaje. Tymczasem rzekoma pacjentka podpatrywała jego metody, a potem wypróbowała je na mnie. Z pewnością nie potrafiłabym oszukać lekarza specjalisty, który strawił życie, studiując problemy pamięci, ale udało mi się



raz jeszcze oszukać ludzi, którzy mnie więzili. Ułatwił mi to fakt, że już od dłuższego czasu nie uważałam się za Jane Finn, ale za Janet Vandemeyer.

Którejś nocy niespodziewanie zawieziono mnie do Londynu. Z powrotem do tego domu na Soho. I nagle, pozbywszy się przytłaczającej atmosfery sanatorium, poczułam się zupełnie inaczej. Jakby obudziła się we mnie przeszłość, od dawna gdzieś zagrzebana.

Kazano mi usługiwać panu Beresfordowi. Wówczas nie znałam jego nazwiska. Podejrzywałam, że to kolejna pułapka. Trudno mi było w to uwierzyć, bo on wyglądał tak uczciwie. Byłam jednak bardzo ostrożna w tym, co mówię, ponieważ wiedziałam, że nas podsłuchują. W ścianie dość wysoko jest malutki otwór.

W niedzielę po południu przyniesiono do domu jakąś wiadomość. Wszyscy byli bardzo zaniepokojeni. Udało mi się coś niecoś podsłuchać. Wiadomość dotyczyła pana Be—resforda. Było to polecenie, żeby go zabić. Dalszych wydarzeń nie ma co opisywać, bo je znacie. Myślałam, że zdążę jeszcze wrócić na górę i wyjąć dokumenty zza obrazu, ale mnie zaskoczyli. Więc zaczęłam krzyczeć głośno, że on uciekł i że ja chcę wrócić do Marguerite. Trzy razy bardzo głośno wykrzykiwałam to imię. Wiedziałam, że oni pomyślą, iż chodzi o panią Vandemeyer, a miałam nadzieję, że pan Beresford skojarzy to imię z obrazem, na którym była Małgorzata. Byłam pewna, że musiał się przyglądać tym obrazom, gdyż jeden z nich pierwszego dnia zdjął ze ściany. Nawiasem mówiąc, dlatego właśnie wahałam się, czy można mu zaufać. Zamilkła.

— A więc dokumenty znajdują się nadal za obrazem? — zapytał powoli sir James.

— Tak. — Jane opadła na poduszki sofy zmęczona długim opowiadaniem.

Sir James wstał. Spojrzał na zegarek.

— Chodźcie! Jedziemy! Musimy natychmiast tam jechać — powiedział.

— Teraz wieczorem? — spytała Tuppence zdumiona.

— Jutro może być za późno — odparł poważnie sir James.

— Poza tym jadąc tam natychmiast, mamy szansę schwytania owego superprzestępcy, pana Browna.

W bibliotece zapanowała cisza. Po chwili sir James zaczął mówić dalej:

— Byłyście obie śledzone. Co do tego nie ma wątpliwości. Kiedy wyjdziemy z domu, znowu udadzą się za nami, ale nie będą przeszkadzać, w zamiarach pana Browna leży bowiem, abyśmy go zaprowadzili do skrytki dokumentów! Jednakże dom w Soho jest dzień i noc pod nadzorem policji. I to bardzo ścisłym. Wielu agentów go pilnuje. Kiedy wejdziemy do tego domu, pan Brown zaryzykuje i wejdzie za nami. Nie cofnie się przed niczym, mając szansę uzyskania potężnego instrumentu do rozpalenia jutrzejszej pożogi, którą sam zaplanował. Poza tym będzie uważał, że ponosi minimalne ryzyko, gdyż wejdzie do domu jako... sojusznik, przyjaciel...

Tuppence zaczerwieniła się, otworzyła usta i wyrzuciła z siebie pod wpływem nagłego impulsu:

— Jest coś, o czym pan nie wie. Coś, czego panu nie powiedziałyśmy. — Z zakłopotaniem spojrzała na Jane.

— Co takiego, panno Tuppence? — spytał ostro. — Proszę mówić. Musimy być pewni każdego szczegółu.

Zwykle wygadana Tuppence nagle straciła kontenans.

— Kiedy to jest skomplikowane... Jeśli nie mam racji... Wtedy byłoby to okropne. — Skrzywiła twarz, patrząc na nieświadomą problemu Jane. — Jeśli nie mam racji... byłoby to nie do wybaczenia...

— Chce pani, żebym pani pomógł?

— Tak, bardzo proszę. Pan wie, kim jest pan Brown, prawda?

— Wiem — odparł z powagą sir James. — Wreszcie wiem.

— Wreszcie? — spytała Tuppence niepewnym głosem. — Bo ja myślałam, że... — umilkła.

— Dobrze pani myślała, panno Tuppence. Od dłuższego czasu podejrzewam, kim on jest. Konkretnie od owej nocy, podczas której umarła pani Vandemeyer.

— Ooo! — wypowiedziała Tuppence.

— Stoimy tu wobec logiki faktów. Są jedynie dwie możliwości. Albo pani Vandemeyer sama zaaplikowała sobie i wypła chloral, którą to alternatywę absolutnie odrzucam, albo...

— Tak, tak?

— Albo wypła ten chloral w podanej przez panią brandy. Trzy osoby miały dostęp do brandy. Pani, panno Tuppence, ja i trzecia osoba, a mianowicie pan Julius Hersheimmer.

Jane Finn poruszyła się niespokojnie, spoglądając na sir Jamesa zdumionym wzrokiem.

— Na pierwszy rzut oka wydawało się to nieprawdopodobne. Pan Hersheimmer, syn amerykańskiego prominenta i milionera, był znaną w Ameryce postacią. Wydawało się rzeczą niemożliwą, by był jednocześnie panem Brownem. Nie można jednak uciec od logiki faktów. Trzeba ją akceptować. Czy pamięta pani nagłe poruszenie pani Vandemeyer? Oto jeszcze jeden dowód, jeśli potrzeba.

Skorzystałem z okazji już przedtem, aby ostrzec panią, panno Tuppence. Z pewnej wypowiedzi pana Hersheimmera w Manchesterze zorientowałem się, że potraktowała to pani poważnie. Postanowiłem udowodnić, że nieprawdopodobne jest jednak możliwe. Pan Beresford zadzwonił do mnie i powiedział coś, co przedtem podejrzewałem, a mianowicie, że pan Hersheimmer cały czas miał fotografię Jane Finn. Nigdy jej nikomu nie oddawał...

Jane przerwała sir Jamesowi, zrywając się z kanapy i gniewnie mówiąc:

— O co pan go oskarża? Co pan ma na myśli? Że pan Brown to Julius? Julius, mój własny krewny?

— Nie, panno Finn — odparł sir James. — On nie jest żadnym pani krewnym. Człowiek, który nazywa siebie Juliusem Hersheimmerem, nie jest z panią spokrewniony!

## PAN BROWN

Słowa sir Jamesa miały piorunujący efekt. Tuppence i Jane zdębiały. Adwokat podszedł do biurka, z którego wziął mały wycinek z gazety i wręczył go Jane. Tuppence czytała przez ramię. Wiadomość dotyczyła ciała niezidentyfikowanego mężczyzny w Nowym Jorku.

— Tak jak już to powiedziałem, moje panie — kontynuował sir James — postanowiłem udowodnić, że nieprawdopodobne bywa możliwe. Przeszkodą na mojej drodze był niezaprzeczalny fakt, że nazwisko Julius Hersheimer nie było nazwiskiem fikcyjnym. Rozwiązałem zagadkę dopiero wówczas, gdy trafiłem na tę notkę w gazecie. Prawdziwy Julius Hersheimer postanowi odszukać swą kuzynkę. Udał się na Zachód, gdzie uzyskał sporo informacji oraz zdobył fotografię, która miała mu pomóc w odnalezieniu *dziewczyny*. W przeddzień odpłynięcia z Nowego Jorku został zamordowany. Ciało odziano w stare łachy, twarz zmasakrowano, by utrudnić rozpoznanie. Jego miejsce zajął pan Brown, który bezzwłocznie popłynął do Anglii. Żaden z przyjaciół czy bliskich prawdziwego Hersheimera nie spotkał się z „nowym” przed opuszczeniem przez niego Ameryki. Oszust od przybycia do Anglii działał ręką w rękę z tymi, którzy go poszukiwali. Jedynie raz był o krok od katastrofy. Pani Vandemeyer знаła jego tajemnicę. I gdyby nie szczęśliwy pomysł panny Tuppence, żeby pospacerować w pobliżu mieszkania pani Vandemeyer, byłaby ona już daleko, kiedy przyszlibyśmy tam wieczorem. Panu Brownowi naprawdę zagroziło wtedy zdemaskowanie. Wykonał więc desperackie posunięcie, licząc na to, że chroni go przybrana tożsamość. I prawie mu się udało.

— Nie mogę w to uwierzyć... — szepnęła Jane. — On wydawał się taki wspaniały...

— Prawdziwy Julius Hersheimer był naprawdę wspaniały! A pan Brown jest doskonałym aktorem. Ale proszę spytać panny Tuppence, czy nie żywiła też pewnych podejrzeń.

Jane spojrzała na Tuppence, która skinęła głową.

— Nie chciałam tego mówić, Jane, gdyż wiedziałam, że sprawi ci to przykrość, a może nawet głęboko zrani. Poza tym nie byłam pewna. Nadal nie mogę zrozumieć, dlaczego skoro jest panem Brownem, pomógł nam uciec?

— Julius Hersheimer pomógł wam uciec?

Tuppence opowiedziała sir Jamesowi przebieg wydarzeń owego wieczoru i zakończyła ponownie stwierdzeniem, że zupełnie nie rozumie, dlaczego on to zrobił.

— A ja chyba rozumiem — odparł adwokat. — Z postępowania Beresforda wnoszę, że i on zrozumiał. Jane Finn była ostatnią nadzieją znalezienia dokumentów. Postanowiono pozwolić jej uciec, ale w taki sposób, by nie mogła podejrzewać, że ucieczka została zainscenizowana. Otóż bandzie wcale nie przeszkadza, że po okolicy kręci się Beresford, a nawet, że komunikuje się z panną Tuppence. We właściwym czasie Beresford miał być zneutralizowany. No i nagle pojawia się pan Julius Hersheimer i ratuje swoją kuzynkę w melodramatycznym stylu, organizując całą akcję. Kulki fruują, ale nikt nie zostaje trafiony. Co następnie miało się wydarzyć? Jane Finn pojechałaby prosto do domu na Soho w celu odzyskania dokumentu, który oddałaby na przechowanie swemu kuzynowi. A jeśli to on sam przeszukiwał dom, to udałby, że już poprzednio ktoś odnalazł schowek i zabrał dokument. Miałby z tuzin sposobów wybrnięcia z sytuacji, a każdy dobry i uwieńczony sukcesem: dokumenty byłyby w jego ręku. A jeśli o was chodzi, moje panie, to sądzę, że przydarzyłby się wam fatalny wypadek. Bo zdajecie sobie sprawę, moje drogie, że wiecie zbyt dużo. Tak to ogólnie wygląda, moim zdaniem. Przyznam się, że nie byłem zbyt czujny. Na szczęście ktoś inny był.

— Tommy? — spytała Tuppence, wymawiając jego imię dziwnie miękko.

— Tak. Najwidoczniej, kiedy przyszła chwila, w której powinni byli się go pozbyć, okazał się chytrzejszy od nich. Niemniej jednak teraz trochę się o niego niepokoję.

— Dlaczego?

— Ponieważ Julius Hersheimer to pan Brown, a po to, żeby powstrzymać pana Browna, nie wystarczy jeden człowiek z jednym rewolwerem.

Tuppence nieco zbladła.

— Czy możemy coś zrobić?

— Nic, póki nie pójdziemy do domu na Soho. Jeśli Beresford nie dał się rozbroić i jest górą, nie mamy się czego obawiać. Jeśli natomiast na spotkanie z nami przyjdzie do Soho nasz wróg, będziemy przygotowani! — Z szuflady w biurku wyjął wojskowy oficerski rewolwer i schował go do kieszeni, po czym dodał: — No, jesteśmy już gotowi! Chyba nawet nie będę pani pytał, panno Tuppence, czy chce pani tam iść?

— W istocie, pytanie zbędne — odparła.

— Natomiast proponuję, aby panna Finn pozostała. Będzie tu bezpieczna, a ponadto widzę, że jest ogromnie wyczerpana po tym wszystkim, przez co ostatnio przeszła.

Jednakże ku zdziwieniu Tuppence Jane potrząsnęła przecząco głową.

— Nie. Ja też pójdę. Te papiery były mnie powierzone na przechowanie. Uważam, że powinnam towarzyszyć sprawie do samego końca. Zresztą czuję się już o wiele lepiej.

Sir James kazał podprowadzić pod drzwi swój samochód. Podczas stosunkowo krótkiej drogi do Soho serce Tuppence waliło niespokojnie, ale lękała się jedynie o Tommy'ego. Poza tym odczuwała wielką radość — zwyciężyli!

Samochód zatrzymał się przy małym skwerku na Soho. Gdy wysiedli, sir James podszedł do agenta w cywilu, który wraz z paroma innymi pilnował domu, i coś do niego powiedział. Następnie wrócił do obu młodych kobiet.

— Dotychczas nikt nie próbował wejść do budynku. Pilnują go także od tyłu, więc są pewni, że dom jest pusty. Każdy, kto próbowałby dostać się już po nas, natychmiast zostanie aresztowany. Idziemy?

Policjant wyjął klucz. Wszyscy tutaj znali sir Jamesa. Mieli również polecenie dotyczące Tuppence. Nieznana im była tylko trzecia osoba — Jane Finn. Cała trójka weszła do środka, zamykając za sobą drzwi. Powoli wchodzili na górę rozchybotanymi schodami. Tuż u szczytu schodów znajdowała się kotara zasłaniająca wnękę, w której wtedy schował się Tommy. Tuppence usłyszała całą opowieść od Jane, przebywającej tu wówczas jako Annette, i dlatego teraz patrzyła na ten obszarpany aksamit z wielkim zainteresowaniem. Miała przez chwilę złudzenie, że zasłona drgnęła, jakby ktoś się za nią ukrywał! Tak silne było to wrażenie czyjejś obecności, że była gotowa przysiąc, iż ktoś tam naprawdę jest, że widać nawet zarys sylwetki... A jeśli to pan Brown, to znaczy Julius, czyhał tam na nich...? „Ależ mam przywidzenia!”. Ledwie powstrzymała ochotę, by odejść, odsunąć kotarę i sprawdzić...

Weszli do pokoju, w którym więziony był Tommy. „Tu przynajmniej nie ma się gdzie schować”, pomyślała Tuppence z uczuciem ulgi. Skarciła się w myślach za te niedorzeczne obawy i przypuszczenia. Musi przestać ulegać absurdalnemu wrażeniu, że pan Brown znajduje się w tym samym pomieszczeniu... „Ojej! A co to było? Ciche stąpanie po schodach? A jednak ktoś tu jest!” Była bliska ataku hysterii.

Jane podeszła do obrazu przedstawiającego Małgorzatę. Pewną dłonią zdjęła go ze ściany. Obraz był bardzo zakurzony, a z tyłu, między ramą i ścianą, zwisały festony z pajęczych sieci. Sir James wręczył jej otwarty scyzoryk. Wycięła nim cienki brunatny karton... Na ziemię wypadły zlepione strony z tygodnika. Jane podniosła je, rozszczępiła postrzępione brzegi i wyjęła dwie kartki pokryte gęstym pismem!

Tym razem nie była to żadna atrapa. Znaleźli prawdziwe dokumenty!

— Mamy! — wykrzyknęła Tuppence. — Wreszcie...

Była szalenie podniecona, zapomniała o niepokojach, o krokach na schodach, o wyimaginowanych odgłosach sprzed minuty. Oczy wlepiła w kartki trzymane przez Jane.

Sir James wziął je do ręki i obejrzał uważnie.

— Tak — powiedział po chwili. — To jest tekst owego nieszczęsnego traktatu.

— A więc pełny sukces!? — powiedziała Tuppence z zadziwieniem, w którym drżała nutka niewiary.

Sir James potwierdził, składając obie kartki i chowając je do portfela. Rozejrzał się ciekawie po nędznym pomieszczeniu.

— A więc to tutaj pani młody przyjaciel, panno Tuppence, był przez tak długi czas przetrzymywany? W istocie paskudna dziura. Nie ma żadnych okien, grube, ściśle dopasowane drzwi. Cokolwiek miałyby się wydarzyć w tym pokoju, nie byłoby ani zauważone, ani dosłyszane na zewnątrz.

Tuppence wzdrygnęła się. Słowa sir Jamesa wywołały w niej przedziwny niepokój. A jeśli naprawdę ktoś się ukrywa w budynku? Ktoś, kto zaraz zatrzaśnie drzwi, zamykając ich w tym pokoju jak szczury w pułapce? Uświadomiła sobie natychmiast absurdalność takiego myślenia. Dom był otoczony przez policję, która — w razie gdyby z tego domu nie wyszli — wkroczyłaby do środka i przeszukała wszystkie pomieszczenia. Uśmiechnęła się z powodu tych głupich myśli i podniosła głowę, napotykając wzrok sir Jamesa bacznie się jej przyglądającego. Kilka razy potwierdzająco skinął głową.

— Ma pani rację, panno Tuppence. Węszy pani niebezpieczeństwo. Ja też. A również i panna Finn.

— To prawda — odezwała się Jane. — To zupełnie absurdalne, ale ja coś czuję...

— Czuje pani, my wszyscy czujemy... obecność pana Browna! Tak, tak — dodał, widząc gest Tuppence — nie ma wątpliwości, że... pan Brown tutaj jest!

— W tym domu?

— W tym pokoju... Jeszcze pani nie rozumie? Ja jestem panem Brownem!

Patrzyły oniemiałe. Twarz sir Jamesa uległa transformacji. Jakby się zmieniły jego rysy. To był zupełnie inny człowiek. Spoglądał na nie z dziwnym, okrutnym uśmiechem.

— Nie opuście tego pokoju żywe, moje panny! Powiedziała pani przed chwilą, że wszystko skończyło się sukcesem. Tak jest! Ale moim! Mam traktat! — Zły uśmiech rozlał się po całej jego twarzy. — Mam pani powiedzieć, panno Tuppence, jak to potoczy się dalej? Otóż wkrótce policja wtargnie do budynku i znajdzie trzy ofiary pana Browna. Trzy, nie dwie, rozumie pani? Na szczęście trzecia ofiara będzie żyła, lekko tylko ranna, i dokładnie opowie przebieg zajścia. Ze wszystkimi szczegółami. A co z traktatem? Zabrał go pan Brown! Komu przyjdzie do głowy zaglądać do kieszeni sir Jamesa Peela Edgertona? Obrócił się do Jane.

— Oszukałaś mnie, moja panno! Przyznaję. Ale już nigdy nikogo nie oszukasz!

Za plecami sir Jamesa rozległ się jakiś szmer, jednakże upojony sukcesem nawet nie zwrócił na to uwagi. Spokojnie włożył rękę do kieszeni, sięgając po broń.

— No to szach-mat Młodym Łowcom Przygód — powiedział.

I nagle poczuł, że ktoś go chwytą z tyłu i wrywa mu z ręki rewolwer. Usłyszał też głos Juliusa Hersheimera mówiącego swym charakterystycznym śpiewnym amerykańskim akcentem:

— Wydaje nam się, że schwytaliśmy szanownego pana na gorącym uczynku.

Sławny adwokat poczerwieniał. Zachował jednak pełne panowanie nad sobą. Przenosił spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego. Tym drugim był Tommy i właśnie w nim w końcu utkwiał wzrok.

— Ha! To pan! Mogłem przypuszczać — mruknął pod nosem.

Widząc, że pan Brown się nie opiera, puścili go. Błyskawicznie podniósł do ust lewą rękę, na której nosił sygnet.

— *Ave Caesar! Morituri te salutant!*\* — powiedział wciąż patrząc na Tommy'ego.

W parę sekund twarz jego stała się trupio blada, wykrzywiona w śmiertelnej konwulsji. Padł na ziemię jak zmięta szmata, a w pokoju zapachniało gorzkimi migdałami.

---

\* *lac.* „Witaj, Cezarze, mający umrzeć pozdrawiają Cię” — słowa, którymi gladiatorzy rzymscy pozdrawiali Cezara, wkraczając na arenę.

## KOLACJA W SAVOYU

Dostawcy żywności długo będą wspominać kolację wydaną wieczorem trzydziestego przez pana Juliusa Hersheimera dla grona przyjaciół. Przyjęcie to odbyło się w prywatnym salonie, a polecenie pana Hersheimera było dosadne i krótkie: daję wam *carte blanche*! A kiedy milioner daje *carte blanche*, to nie ma końca niespodziankom.

Na stołach znalazły się wszystkie przysmaki, na które sezon albo się już skończył, albo jeszcze nie zaczął. Kelnerzy roznosili niczym precjoza butelki starych, bezcennych win. Salon był udekorowany wszystkimi możliwymi kwiatami z różnych stref klimatycznych i z różnych kontynentów, a na paterach leżały obok siebie najbardziej egzotyczne owoce zarówno z maja, jak i listopada. Lista gości była skromna, choć doborowa: ambasador amerykański, pan Carter (który ośmielił się, jak to sam powiedział, przyprowadzić wieloletniego przyjaciela, sir Williama Beresforda), archidiakon Cowley, doktor Hall, dwoje Młodych Łowców Przygód — panna Prudence Cowley i pan Thomas Beresford. Gościem honorowym była panna Jane Finn.

Julius nie szczędził wysiłków, aby to wystąpienie panny Finn w tak dostojnym towarzystwie okazało się wielkim sukcesem.

Do drzwi apartamentu, który Jane dzieliła z Tuppence, ktoś niespodziewanie zapukał. Tuppence otworzyła i zobaczyła na progu Juliusa dzierżącego w dłoni czek.

— Słuchaj, Tuppence — zaczął. — Czy możesz mi wyświadczyć przysługę? Weź ten czek, idź z Jane na miasto i kup jej, co trzeba na dzisiejszy wieczór. Wszyscy są zaproszeni na kolację do Savoyu. Rozumiesz? No więc, pójdziesz z nią? I w ogóle nie licząc się z pieniędzmi. Niech to kosztuje, ile chce.

— Oczywiście, że z nią pójdę. To będzie dla nas wielka rozrywka. Ubieranie Jane to sama przyjemność. Taka śliczna dziewczyna!

— O tak — zgodził się pan Hersheimer ochoczo.

Ta pełna zapału odpowiedź wywołała iskierki w oczach Tuppence.

— Aha, tak przy okazji — powiedziała skromniutko. — Jeszcze nie udzieliłam ci odpowiedzi...

— Jakiej odpowiedzi? — spytał ze zdziwieniem Julius, a twarz mu nieco zbladła.

— No, wiesz jakiej... kiedy mnie spytałeś... czy za ciebie wyjdę. — Wzorem wiktoriańskiej heroiny Tuppence skromnie spuściła oczy. — I nie chciałem się pogodzić z tym, że powiedziałam „nie”. Prosiłem, żebym się zastanowiła... No więc już się zastanowiłam i mam odpowiedź...

— Słucham, jaką? — Na czole Juliusa perlił się pot. Tuppence przestała nagle grać rolę dobrze wychowanej panienci z powieści.

— Ach, ty stary bałwanie! Co ci w ogóle strzeliło wtedy do głowy, żeby mi się oświadczać? Przecież ja doskonale wiedziałam, że nic cię nie obchodzi.

— O nie, nie! Wcale tak nie było. Ja miałem... i nadal mam... bardzo wysokie mniemanie o tobie i wielki szacunek... I olbrzymi podziw...

— Hmm! — odparła Tuppence. — Ale to są wszystko uczucia, które idą do kosza, kiedy pojawiają się nieco inne, te specjalne. Prawda, głupolku?

— Ja zupełnie nie wiem, o czym ty mówisz — obruszył się Julius, czerwieniąc się na twarzy.

— Dobrze, dobrze! — Roześmiała się, zamykając za nim drzwi. Natychmiast je jednak otworzyła, by rzucić jeszcze za odchodzącym: — Będę jednak zawsze pamiętała, że zwodziłeś mnie obietnicą małżeństwa.

— Kto to był? — spytała Jane, gdy Tuppence wróciła do pokoju.

— Julius.

— Czego chciał?

— Właściwie, to chciał się z tobą zobaczyć, ale nie dałam mu tej szansy. Niech ujrzy cię dopiero dziś wieczorem, kiedy wkroczysz w salony niby Kopciuszek wystrojony przez dobrą wróżkę. Idziemy, moja droga. Na zakupy! I to jakie!

Niecierpliwie oczekiwane Święto Pracy, dwudziestego dziewiątego, minęło tak jak każdy inny dzień. W Hyde Parku i na Trafalgar Square odbyły się wiece i przemówienia. Skromniutkie pochody, których uczestnicy wyśpiewywali „Czerwony sztandar”, przemaszerowały paroma ulicami w dość chaotycznych formacjach. Redaktorzy dzienników, które zapowiadały strajk generalny i rządy terroru, musieli bić się w piersi. Co bezczelniejsi albo bardziej pomysłowi usiłowali przekonywać w swoich komentarzach, że ład społeczny uratowano i porozumienie ze związkami zawarto — ponieważ rząd skorzystał z rad dawanych przez prasę. W niedzielnych gazetach pojawiła się krótka wiadomość o nagłym zgonie sir Jamesa Peela Edgertona, sławnego adwokata. Gazety poniedziałkowe już obszerniej przypominały prześwietną karierę zmarłego. Natomiast nigdy, ani teraz, ani potem, nie podano dokładnej przyczyny śmierci tej zasłużonej osobistości.

Tommy miał rację w swoich przewidywaniach i ocenie sytuacji. Spisek był imprezą zależną od jednego człowieka. Organizacja, pozbawiona przywódcy, po prostu się rozpadła. Kramenin w wielkim pośpiechu, już wczesnym rankiem w niedzielę, powrócił do Rosji. Cała banda zaś w olbrzymiej panice opuściła Astley Priors, pozostawiając liczne dokumenty, które doszczętnie skompromitowały spiskowców. Niemal w ostatniej chwili rząd zwołał konferencję z przywódcami związkowymi. Przedstawił znalezione dokumenty, a także oprawny w brązową skórę notes znaleziony w kieszeni sir Jamesa. Notes zawierał kompromitujące zapiski dotyczące spisku. Przywódcy laburzystowscy przyznali, że byli bezwolnym narzędziem w rękach prowodyrów i że zostali wprowadzeni w błąd. Rząd uczynił pewne ustępstwa, które laburzyści gorliwie zaakceptowali. A więc Pokój, a nie Wojna!

Rząd zdawał sobie sprawę, że ledwo uszedł pogromowi. Narodowej tragedii uniknięto dosłownie w ostatniej chwili. Pan Carter miał żywo w pamięci scenę, która rozegrała się w przeddzień wieczorem w obskurnym budynku w Soho.

Gdy wszedł do ponurego pokoju, zobaczył na ziemi martwego przyjaciela. Przyjaciela od kilku dziesiątków lat, który sam odebrał sobie życie! Z portfela zmarłego wydobył złowrogi tekst traktatu i od razu, w obecności całej trójki, dokumenty spalił. Anglia została ocalona!

A teraz, wieczorem trzydziestego, pan Julius P. Hersheimer podejmował swych gości w salonie Savoyu.

Pierwszy przybył właśnie pan Carter. Towarzyszył mu starszy pan o twarzy choleryka. Na jego widok Tommy zaczerwienił się aż po korzonki włosów. Zrobił kilka niepewnych kroków w stronę gości.

— Ha! — rzucił pogardliwe ów dżentelmen. — To ty jesteś moim siostrzeńcem? Hmm, specjalnie nie ma na co patrzeć, ale powiedziano mi, żeś odwalił kawał dobrej roboty. Twoja matka musiała cię świetnie wychować. Zapomnijmy o tym, co było, dobrze? Jesteś przecież moim spadkobiercą. W przyszłości zamierzam wypłacać ci pensję. A Chalmers Park traktuj odtąd jako swój dom.

— Dziękuję, *sir*. Jestem wzruszony dobrocią stryja.

— Pokaż no mi tę młodą damę, o której tyle słyszałem!

Tommy przedstawił Tuppence.

— Ha! — ponownie stwierdził sir William. — Za moich czasów młode kobiety wyglądały inaczej.

— Ale były takie same — odparła Tuppence. — Wyglądać mogły inaczej, bo inne nosiły stroje.

— Może masz rację, moje dziecko. Kobiety były i są takie same. Bezczelne wówczas i beczelne dziś.

— W pełni się zgadzam, *sir* — odparła Tuppence. — Sama jestem beczelna.



— Wierzę ci, moje dziecko — odparł, chichocząc, i chcąc okazać dobry humor, uszczypnął ją w ucho. Młode kobiety panicznie bały się „starego niedźwiedzia” — jak go nazywano — znanego wroga kobiet. Tuppence swoją śmiałością podbiła go zupełnie.

Następny przybył nieśmiały archidiakon, wyraźnie zagubiony w towarzystwie, w którym się znalazł, ale zadowolony, że jego córka zasłużyła na powszechne uznanie. Nie przeszkodziło mu to rzucać na nią od czasu do czasu niespokojne spojrzenia. Jednakże Tuppence zachowywała się nadzwyczaj poprawnie. Nie zakładała nogi na nogę, gryzła się w język, kiedy zachodziła potrzeba, i nie paliła papierosów.

Po archidiakonie wszedł do salonu doktor Hall, a tuż za nim amerykański ambasador.

— Możemy siadać do stołu — oświadczył Julius, gdy już dokonano prezentacji wszystkich gości. — Tuppence, czy będziesz łaskawa...! — Szerokim gestem wskazał jej honorowe miejsce u szczytu stołu.

Tuppence przecząco potrząsnęła głową.

— Nie. Dziękuję! To miejsce powinna zająć Jane. Za wytrwałość okazaną przez te wszystkie lata powinna zostać królową tego wieczoru!

Julius posłał jej wdzięczne spojrzenie. Jane nieśmiało zajęła wskazane miejsce. Chociaż i przedtem widać było jej urodę, teraz wprost olśniewała w przepięknej sukni. Tuppence dobrze spełniła swoje zadanie. Suknia pochodząca od sławnego krawca była modelem o nazwie „tygrysia lilia”. Cała w złote, czerwone i brązowe pasy, podkreślała biel szyi i kasztanowe sploty włosów okalające piękną twarz dziewczyny. Wszyscy spoglądali na nią z zachwytem.

Gdy towarzystwo się rozkręciło, oszołomione podawanymi wspaniałościami, wszyscy zapragnęli dowiedzieć się wreszcie szczegółów dotyczących wydarzeń minionych dni. Poproszono o to Tommy’ego.

— Byłeś przez cały czas strasznie tajemniczy — oskarżył go Julius. — Nawet mi oświadczyłeś, że wszystko porzucasz i płyniesz do Argentyny. Przyznaję, że miałeś pewne powody. Choć strasznie mnie rozbawiło, kiedy się dowiedziałem, że ty i Tuppence podejrzewaliście, że jestem panem Brownem!

— Sami tego nie wymyślili — wtrącił pan Carter. — Zostało to im chytrze podsunięte przez mistrza intryg, który wpadł na ten pomysł, czytając przypadkową wiadomość w nowojorskiej gazecie. Niewiele brakowało, a wpadłby pan w te sieci.

— Nigdy nie czułem do niego sympatii — wyznał Julius. — Od samego początku odnosiłem wrażenie, że jest w nim coś dziwnego. I od samego początku podejrzewałem, że to on tak sprawnie zamknął usta pani Vandemeyer. Ale myśl, że może być panem Brownem, zrodziła się we mnie dopiero wtedy, kiedy się dowiedziałem, że rozkaz zgładzenia Tommy’ego nadszedł bezpośrednio po naszej rozmowie z sir Jamesem w niedzielę.

— A ja nigdy tego nie podejrzewałam — powiedziała Tuppence z żalem. — A przecież zawsze myślałam, że jestem dużo sprytniejsza od Tommy’ego. Ale on pokonał mnie w tej grze.

— Tym razem Tommy prześcignął sam siebie — zgodził się Julius. — Więc niech teraz nie siedzi jak milczek i wszystko nam dokładnie opowie!

Szmer głosów potwierdził to zaproszenie.

— Kiedy tu nie ma co opowiadać — zaprotestował Tommy. Wydawał się okropnie skrepowany. — Byłem ciemny jak tabaka w rogu, póki nie znalazłem fotografii Annette i nie zdałem sobie sprawy, że to ona jest Jane Finn. I dopiero wtedy uświadomiłem sobie, dlaczego tak natrętnie wykrzykiwała wtedy w Soho imię Marguerite. Skojarzyłem to z obrazem. Potem chciałem po prostu sprawdzić, czy myślę głupio, czy nie.

— Mów dalej, chłopcze! — zachęcił go pan Carter, gdy wszystko wskazywało na to, że Tommy zamierza na tym zakończyć swą relację.

— Cała ta sprawa z panią Vandemeyer bardzo mnie niepokoiła — ciągnął Tommy. — Zabić mógł albo Julius, albo sir James, Ale nie wiedziałem, który z nich. Zaczęłem podejrzewać Juliusa, kiedy znalazłem tę fotografię w jego biurku. A przecież powiedział, że oddał ją inspektorowi Brownowi. Następnie przypomniałem sobie, że to sir James podstawił fałszywą Jane Finn. W końcu już nie wiedziałem, kogo mam podejrzewać, i postanowiłem podejrzewać obu. Na wszelki wypadek, gdyby to on miał być panem Brownem, pozostawiłem Juliusowi wiadomość, że wyjeżdżam do Argentyny. Jednocześnie „zgubiłem” list sir Jamesa z ofertą pracy w Argentynie, żeby Julius wiedział, że to nie lipa z tym wyjazdem. Wysłałem też list do pana Cartera oraz zadzwoniłem do sir Jamesa. Pomyślałem, że w każdym wypadku najlepszą metodą będzie powiedzenie mu wszystkiego, oczywiście z wyjątkiem wymienienia miejsca, gdzie są ukryte dokumenty. Pomoc, jaką uzyskałem od sir Jamesa, aby trafić na ślad Tuppence i Annette, prawie że uspiła moje podejrzenia. Mówię „prawie”! Nadal podejrzewałem obu. Postanowiłem podchodzić do sprawy bez żadnych uprzedzeń, A prawdę poznałem dopiero wtedy, kiedy otrzymałem fałszywą wiadomość od Tuppence!

— Ale jak się domyśliłeś?

Tommy wyjął z kieszeni kartkę i puścił ją w obieg.

— To rzeczywiście wygląda na jej pismo. Ale wiedziałem, że nie mogła tego napisać z powodu podpisu. Tuppence nigdy by nie podpisała listu „Twopence”, ale ktoś, kto nigdy nie widział tego imienia na piśmie, tylko słyszał je — mógł to zrobić. Przecież to tak samo brzmi. Widział je Julius — pokazywał mi otrzymany od niej list. Nie widział sir James! Od tej chwili wszystko było już proste. Wysłałem Alberta, aby czym prędzej odszukał pana Cartera. Sam udałem, że opuszczam okolice Astley Priors, ale cichcem zaraz wróciłem. Kiedy jak burza pojawił się Julius, byłem prawie pewien, że nie było to przewidziane planem pana Browna. Czułem, że zaczną się kłopoty. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli sir James nie zostanie złapany na gorącym uczynku, to pan Carter nigdy mi nie uwierzy na słowo...

— Oczywiście, że nie uwierzyłbym! — przyznał pan Carter.

— I właśnie dlatego wysłałem Tuppence i Jane do sir Jamesa. Wiedziałem, że wcześniej czy później spotkamy się w domu na Soho. Zagroziłem Juliusowi rewolwerem specjalnie w tym celu, by ta informacja dotarła do sir Jamesa przez Tuppence. Żeby go uspokoić. Z chwilą gdy obie dziewczyny zniknęły nam z pola widzenia, kazałem Juliusowi pędzić do Londynu. W czasie drogi wszystko mu opowiedziałem. Zdążyliśmy na Soho sporo przed czasem. Spotkaliśmy przed domem pana Cartera. Po uzgodnieniu szczegółów, wydano odpowiednie dyspozycje policjantom. Kazano im informować, że nikt nie wchodził do domu. Weszliśmy na pierwsze piętro i schowaliśmy się we wnęce za kotarą. I to wszystko.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Co do jednej rzeczy się mylisz — odezwał się niespodziewanie Julius. — Co do fotografii Jane. Była mi odebrana, ale ją potem odnalazłem.

— Gdzie? — spytała Tuppence.

— W skrytce ściennej sypialni pani Vandemeyer.

— Domyślałam się, że coś tam znalazłeś! — powiedziała Tuppence z wyrzutem. — I przyznam ci się, że właśnie od tej chwili zaczęłam cię podejrzewać. Dlaczego to ukryłeś?

— Myślę, że tak troszkę to i ja stałem się podejrzliwy. Raz mi ją zabrano, więc sobie pomyślałem, że nie wypuszczę jej z rąk, póki jakiś fotograf nie zrobi mi tuzina odbitek.

— Każde z nas coś ukrywało — zauważyła Tuppence. — To chyba wpływ pracy detektywa.

Podczas ciszy, która teraz nastąpiła, pan Carter wyjął z kieszeni mały notatnik w zniszczonej brązowej oprawie.

— Beresford przed chwilą powiedział, że nie uwierzyłbym w winę sir Jamesa Peela Edgertona, jeślibym go nie złapał na gorącym uczynku. To prawda. Dopiero kiedy przeczytałem jego zapisy w tym notatniku, uzmysłowiłem sobie prawdę o całej konspiracji.

Ten notatnik znajdzie się w rękach Scotland Yardu, ale jego zawartość nigdy nie zostanie opublikowana. Ze względu na chwalebna przeszłość sir Jamesa byłoby to niewskazane. Ale wam, którzy znacie prawdę, chciałbym odczytać parę fragmentów, które rzucą pewne światło na tę mimo wszystko wybitną osobowość:

„...Chyba jestem szalony robiąc te notatki. W pełni zdaję sobie z tego sprawę. Stanowią one dowód przeciwko mnie. Nigdy jednak nie cofałem się przed ryzykiem. A odczuwam wielką potrzebę wyrażenia tego, co czuję... Ten notatnik będzie można mi odebrać jedynie po śmierci...”

„... Od młodych lat zdawałem sobie sprawę, że dysponuję wielkimi zdolnościami. Jedyne głupiec nie docenia swoich możliwości. Moja inteligencja jest o wiele wyższa od przeciętnej. Sukces był moim przeznaczeniem. Tylko mój wygląd fizyczny nieco mi przeszkadzał. Jestem niepozorny. Niepozorny i nie zwracający uwagi...”

„... Kiedy jeszcze byłem chłopcem, przeczytałem sprawozdanie z przebiegu sławnego procesu o morderstwo. Olbrzymie wrażenie zrobiła na mnie potęga słowa obrońcy. Po raz pierwszy pomyślałem o rozwijaniu talentów w tej właśnie dziedzinie... Poświęciłem też wiele uwagi sylwetce oskarżonego. To był głupiec. Nieprawdopodobny, niewiarygodny dureń. Nawet talenty krasomówcze jego adwokata nie miały szansy go uratować... Czuję instynktową pogardę dla tego zbrodniarza... I wtedy właśnie przyszło mi do głowy, że poziom przestępców w ogóle jest niebywale niski. Świat przestępczy składa się z nieudaczników, drobnych rzeźmieszków, ludzi wykołejonych... Dziwne, że ludzie o bardzo wysokiej inteligencji prawie nigdy nie wykorzystują wielkich szans, jakie daje zbrodnia... Bawiła mnie ta myśl, pasjonowała... Co za wspaniałe pole do popisu, jakie nieograniczone możliwości! Od samej myśli o tym doznawałem zawrotu głowy...”

„...Zacząłem czytać podstawowe dzieła o przestępcach i przestępczości. Wszystkie potwierdzały moją początkową opinię. Do świata przestępczego ciągnęli degeneraci, ludzie wykoławieni, chorzy, niemal nigdy o szerokich horyzontach myślowych. Ci nie obierali takiej drogi. Zacząłem się poważnie zastanawiać. Powiedzmy, że moje najskrytsze ambicje się zrealizują i zostanę adwokatem, a następnie w zawodzie tym odniosę prawdziwy sukces? Że wstąpię na arenę polityki? Że zostanę premierem Wielkiej Brytanii? Co wtedy? Czy to będzie oznaczało zdobycie prawdziwej potęgi? Na każdym kroku hamowany i ograniczany przez kolegów, przez system, przez proces demokratyczny, którego będę tylko drobnym kółeczkiem! Nie, to nie dla mnie! Potęga, jakiej chciałem, miała być absolutna! Chciałem być autokratą! Dyktatorem! Jednakże taką potęgę można osiągnąć jedynie środkami pozaprawnymi. Trzeba grać na słabościach ludzkiej natury, na słabościach społeczeństw, aby stworzyć i kontrolować potężną organizację, z pomocą której będzie można obalić istniejący system i samemu rządzić! Ta myśl dosłownie mnie odurzyła...”

„...Zdawałem sobie sprawę z tego, że będę musiał prowadzić podwójne życie. Człowiek taki jak ja przyciąga uwagę ludzi. Muszę zrobić błyskotliwą publiczną karierę, która skutecznie zamaskuje moje działania na innej płaszczyźnie... I muszę stworzyć wybitną publiczną osobowość. Za wzór wzięłem sylwetki sławnych adwokatów<sup>7</sup> — jurystów<sup>7</sup>. Narzuciłem sobie ich zachowanie, postępowanie, kultywowałem ich magnetyzm. Doszedłem do wniosku, że gdybym wybrał karierę aktorską, to zostałbym największym aktorem na świecie! Żadnego przebiegania, żadnych szminek, żadnych fałszywych wąsów i bród! Moją publiczną osobowość przybierałem, gdy tego chciałem, tak jak każdy inny nakłada rękawiczki. Gdy odkładałem ją na bok, zostawałem sobą. Nie zwracającym niczyjej uwagi, spokojnym, przeciętnym człowiekiem. Nazywałem siebie wówczas panem Brownem. Są setki Brownów, są setki ludzi podobnych do mnie...”

„...Odniosłem wielki sukces w mojej fałszywej publicznej karierze. Moim przeznaczeniem był sukces! Odniosę też sukces w karierze prawdziwej. Taki człowiek jak ja nie może ponieść porażki...”

„...Przeczytałem wiele biografii Napoleona. On i ja mamy wiele wspólnego...”

„...Moim zajęciem jako prawnika jest obrona przestępców. Człowiek powinien dbać o ludzi sobie bliskich...”

„...Parę razy się bałem. Po raz pierwszy we Włoszech. Uczestniczyłem w kolacji, na której był również znany psychiatra, profesor D. Rozmowa dotyczyła problemu obłąkania. Profesor D. powiedział, że jest bardzo wielu obłąkanych, którzy o tym nie wiedzą, a ich otoczenie nawet się tego nie domyśla. I nie wiem, dlaczego spojrzał na mnie, kiedy to mówił. Spojrzał dziwnie... Bardzo mi się to nie podobało...”

„...Wojna bardzo mnie rozstroiła i zaniepokoiła... Początkowo myślałem, że przyśpieszy realizację moich planów. Niemcy są tacy sprawni. Mieli doskonały wywiad, wspaniałych agentów... Ulice pełne są młodych ludzi w mundurach. Wszystko pustogłowi szaleńcy... Ale już nie wiem... nie rozumiem... Wygrali wojnę... Zadają sobie pytanie...”

„...Realizacja moich planów dobrze postępuje... Przez jakąś szczelinę przecisnęła się młoda kobieta. Ale nie sądzę, aby naprawdę coś wiedziała. Na wszelki wypadek musimy zrezygnować z Estonii... Lepiej nie ryzykować...”

„...Wszystko idzie dobrze. Bardzo dokuczliwa jest ta utrata pamięci. Ona nie udaje! Mnie ta dziewczyna nie oszuka...!”

„...Dwudziesty dziewiąty... To już niedługo...” Pan Carter na chwilę podniósł wzrok sponad brązowego notatnika.

— Nie będę czytał fragmentów dotyczących szczegółów planowanego zamachu stanu. Jest tu natomiast coś, co się odnosi do was trojga. W obliczu zaszłych wydarzeń wydaje się szczególnie interesujące.

„...Skłaniając dziewczynę, by przysłała do mnie z własnej nieprzymuszonej woli, rozbroiłem ją. Sukces! Ma ona jednak intuicyjne przebłyski, które mogą być niebezpieczne... Trzeba się jej pozbyć... Z Amerykaninem nic nie mogę zrobić. Nie lubi mnie i podejrzewa. Ale nie wie i nie może wiedzieć. Mojego pancerza nikt nie przeniknie... Chwilami myślę, że nie doceniałem tego drugiego młodego człowieka. Nie jest zbyt sprytny, ale nie da się omamić, gdy staje w obliczu faktów...”

Pan Carter zamknął notatnik.

— To był jednak wielki człowiek — powiedział. — Szaleniec czy geniusz? Kto to wie?

Nastąpiła cisza. Pan Carter wstał.

— Wznoszę toast. Za spółkę Młodych Łowców Przygód, których w pełni nobilituje odniesiony sukces!

Wszyscy się przyłączyli.

— Jeszcze pragnęlibyśmy czegoś się dowiedzieć — kontynuował pan Carter. Spojrzał na amerykańskiego ambasadora. — Chyba przemawiam również i w pana imieniu. Proszę mianowicie, aby nam panna Jane Finn opowiedziała swoją historię, którą zna tylko panna Tuppence. Przedtem jednak wypijmy jej zdrowie. Zdrowe jednej z najodważniejszych córek Ameryki, której należą się dzięki od dwóch wielkich narodów!

## A POTEK...

To był bardzo piękny toast, Jane! — powiedział pan Hersheimer, kiedy rolls-royce'em wracał z kuzynką do hotelu Ritz.

— Za pomyślność Młodych Łowców Przygód?

— Nie. Ten za ciebie. Nie ma drugiej dziewczyny na świecie, która by przetrwała wszystko tak jak ty! Byłaś naprawdę wspaniała!

— Wcale nie czuję się taka wspaniała ani tym bardziej wspaniale — odparła. — Czuję się strasznie zmęczona i opuszczona. Marzę o powrocie do Ameryki. Tu jestem zupełnie samotna.

— No właśnie. Chciałbym coś na ten temat powiedzieć. Słyszałem, jak ambasador mówił, że jego żona zaprasza cię, byś od razu zamieszkała w jej rezydencji. Miłe zaproszenie, ale ja mam inny plan. Czy wysłabyś za mnie, Jane? Nie przestrasz się i z miejsca nie mów „nie”. Wiem, że tak od razu nie możesz mnie pokochać. To oczywiście jest niemożliwe. Ale ja cię pokochałem od pierwszej chwili. Od momentu, jak ujrzałem twoje zdjęcie. No, a kiedy cię wreszcie zobaczyłem, to po prostu oszalałem! Jeśli tylko zgodzisz się za mnie wyjść, to nie będę ci się narzucał, zostawię ci czas. Może nigdy mnie nie pokochasz i jeśli tak się stanie, to ci zwrócę wolność. Ale ja chcę mieć prawo troszczyć się o ciebie, opiekować się tobą...

— I ja też tego pragnę — odparła. — Żeby ktoś się mną zaopiekował. Był dla mnie dobry. Ty sobie nie wyobrażasz, jaka się czuję samotna!

— Wyobrażam sobie, rozumiem. No więc wszystko uzgodniliśmy. Jutro rano poproszę arcybiskupa o specjalne zezwolenie.

— Och, Julius!

— Nie chcę cię pośpieszać, Jane, ale jaki sens miałoby czekanie? Nic się nie bój! Wcale się nie spodziewam, że od razu będziesz mnie kochała.

Ale malutka dłoń spoczęła na jego dłoni.

— Ja już cię kocham! — powiedziała Jane Finn. — Pokochałam cię od pierwszej chwili, kiedy w samochodzie ta kula przeleciała ci koło policzka...

Pięć minut później Jane cicho szepnęła:

— Chociaż nie znam prawie wcale Londynu, to jednak wydaje mi się, że strasznie długo jedziemy z Savoyu do Ritza...

— Wszystko zależy, którędy się jedzie. My jedziemy przez Regent Park...

— Julius! Co sobie pomyśli kierowca?

— Za te pieniądze, które mu płacę, powinien wiedzieć, że nie wolno mu zbyt wiele myśleć. A poza tym: jedynym powodem zorganizowania tej kolacji w Savoyu była chęć odwiezienia cię potem do Ritza. Nie widziałem innej możliwości porozmawiania z tobą sam na sam. Trzymasz się przecież Tuppence, jakby to była twoja syjamska siostra. Jeszcze jeden taki dzień, a zarówno ja, jak i Beresford dostaniemy bzika. Beresford zupełnie szaleje...

— Ooo? To on...?

— Właśnie. Jest zakochany po uszy.

— Tak podejrzewałam — powiedziała Jane w zamyśleniu.

— Skąd, jak?

— Z tego wszystkiego, czego mi Tuppence nie powiedziała.

— Teraz to już nic nie rozumiem. Jane tylko się roześmiała.

W tym samym czasie Młodzi Łowcy Przygód siedzieli sztywno wyprostowani w taksówce, która przedziwnym zbiegiem okoliczności także jechała do Ritza absurdalnie okrężną drogą przez Regent Park. Tuppence i Tommy byli bardzo skrepowani. Zupełnie nie rozumieli, co się

stało, ale nagle przestali być sobą. Byli jak sparaliżowani, nie potrafili wydusić z siebie ani słowa. Zniknęło nagle to, co ich dotychczas łączyło — stosunek koleżeński.

Tuppence nie potrafiła wymyślić nic, co mogłaby powiedzieć.

Ta sama niemoc dotknęła Tommy'ego.

Tkwili więc tak wyprostowani i bali się na siebie spojrzeć.

Wreszcie Tuppence uczyniła heroiczny wysiłek:

— Zabawa była nie lada, prawda?

— O tak! — odparł. Zapadła cisza.

— Lubię Juliusa! — spróbowała jeszcze raz. Tommy nagle się ożywił:

— Nie wyjdiesz za niego, słyszysz? Nie wyjdiesz! Zakazuję ci!

— Ooo! — odparła słabo Tuppence.

— Absolutnie zakazuję!

— On wcale nie chce ożenić się ze mną — powiedziała. — Prosił mnie o rękę z uprzejmości.

— Akurat! — odparł Tommy.

— Naprawdę! On jest strasznie zakochany w Jane. Prawdopodobnie w tej chwili oświadcza się jej.

— Ona właśnie doskonale do niego pasuje — zgodził się Tommy łaskawe.

— Czy nie uważasz, że to przepiękna kobieta?

— Bez przesady — odpowiedział.

— Może ty wolisz inne wartości... — podsunęła skromnie Tuppence.

— Ja... a niech to diabli! Przecież ty dobrze wiesz, co wolę, Tuppence!

— Polubiłam twego wuja, Tommy... — zmieniła szybko temat. — A tak przy okazji: co przyjmujesz? Propozycję pana Cartera pracy w ministerstwie czy zaproszenie Juliusa na doskonale płatną pracę w Ameryce na jego ranczu?

— Chyba pozostanę na starych śmieciach, chociaż to bardzo miło ze strony Hersheimmera. Ale będę się czuł lepiej w Londynie.

— A ja dla siebie nie widzę miejsca — powiedziała.

— Ja je widzę — odparł Tommy. Rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

— Jest jeszcze sprawa pieniędzy — zauważyła.

— Jakich pieniędzy?

— Dostaniemy czek. Pan Carter mi powiedział.

— Zapytałaś ile? — burknął Tommy sarkastycznie.

— Zapytałam, ale ci nie powiem.

— Tuppence! Jesteś niemożliwa.

— Dobra była zabawa, co, Tommy? Myślę, że będziemy mieli jeszcze wiele, wiele przygód.

— Złóścisz mnie, Tuppence. Chwilowo mam dosyć przygód.

— No cóż, kupowanie to też wspaniała zabawa. — Powiedziała to niemal marzycielskim głosem. — Kupowanie starych mebli, kolorowych dywanów, futurystycznych jedwabnych kotar. No i musi być politurowany stół do jadalni. Kanapa z wieloma poduszkami...

— Stop, stop! Po co to wszystko?

— Być może i dom... Albo mieszkanie!

— Dla kogo mieszkanie?

— Myślisz może, że będę się wstydziła powiedzieć? Otóż wcale nie! Mieszkanie dla nas!

— Moja najdroższa! — wykrzyknął Tommy i oplótł Tuppence ramionami. — Wreszcie powiedziałaś! Byłem zdecydowany zmusić cię do powiedzenia tego! Należało mi się to za te wszystkie sytuacje, kiedy tłumiałaś w zarodku moje próby romantycznych zwierzeń!

Tuppence uniosła twarz do pocałunku. Taksówka godnie objeżdżała północny skraj Regent Parku.

— Ale tyś mi się właściwie jeszcze nie oświadczył — zauważyła. — Nasze babki nigdy by tak nie nazwały tej prowokacji. Ale po doświadczeniu z zupełnie niewydarzonymi oświadczynami Juliusa chyba zwolnię cię z tego obowiązku.

— Oświadczyń czy nie, nie uda ci się wykręcić od małżeństwa ze mną.

— Dobra to będzie zabawa — stwierdziła Tuppence. — Małżeństwo jest bardzo różnie określane. Jako przystań, ucieczka, szczyt szczęścia, niewolnictwo. Jest jeszcze wiele innych nazw. Ale ja ci powiem, co ja sędzę...

— No, słucham.

— Sport! Zabawa! Gra!

— Wspaniała zabawa! — zgodził się Tommy.